

OLGA KRUK

UPADEK

Wszyscy
upadamy w ciszy

FILIA

An aerial photograph of a dense, dark green forest. A dirt road winds through the trees from the bottom right towards the center. The text is overlaid on the image.

OLGA KRUK

UPADEK

Wszyscy
upadamy w ciszy

FILIA

OLGA KRUK

UPADEK

FILIA

*Yesterday, upon the stair,
I met a man who wasn't there
He wasn't there again today
I wish, I wish he'd go away...*

William Hughes Mearns, *Antigonish*
[I met a man who wasn't there]

Sam jednak, z własnej woli, postradałem równowagę psychiczną, która nawet najgorszym z ludzi pozwala niekiedy stawiać czoła pokusom. W moim wszelako przypadku każda pokusa oznaczała upadek.

Robert Louis Stevenson, *Doktor Jekyll i pan Hyde*

Prolog

Bolesny, zduszony krzyk wyrywa się z mojego wnętrza, gdy czuję ostrze przecinające skórę na prawym nadgarstku. I mimo że bardzo boli, to cieszę się, że to już ostatni. Czuję, jak ciepła krew spływa po moich palcach i nawet słyszę, jak krople upadają na posadzkę. Myślę, że mój słuch się wyostrzył po czasie, który spędziłam w ciemności.

Krew wypływa ze mnie i więdnę jak kwiat.

Ile minęło czasu? Kilka dni? Kilka tygodni, miesięcy? Czasami mam wrażenie, że spędziłam tu całą wieczność. Przypominają mi się opowieści mamy o piekle i czyścicu, którymi straszyla mnie, gdy byłam mała, i zastanawiam się, czy ten koszmar kiedyś się skończy? Czy wszystkie moje męki będą odtwarzane raz po raz, w kółko, aż odpokutuję za wszystkie moje grzechy? Czy jednak w pewnym momencie moje serce po prostu się zatrzyma, nastanie wieczna cisza, a ja w końcu przestanę cierpieć?

Zastanawiam się, za czym będę najbardziej tęsknić. Myślałam o naprawdę wielu rzeczach. Miałam czas na myślenie.

Podzieliłam wszystko według kategorii zmysłów.

Moje oczy najbardziej będą tęsknić za widokiem czerwonych maków, które obradzały co roku na łące za moim rodzinnym domem. Ich kolor był tak głęboki i intensywny. Pamiętam, jak razem z mamą wiłyśmy z nich wianki. Zawsze gdy działo się coś złego, starałam się powrócić do tych pięknych wspomnień i kwiatów w kolorze krwi.

Będzie brakować mi śpiewu ptaków zamieszkujących wysokie drzewo, które rośnie obok mojego balkonu. Zaczynały swoje arie wczesnym porankiem, czasem gdy było jeszcze całkowicie ciemno. To one towarzyszyły mi w ciemnej jak piekło bezsenności.

Będzie mi brakowało smaku wczesnych, kwaśnych malin, które zbieraliśmy z braciszkiem, pomimo wyraźnych słów mamy, że to jeszcze nie czas. I choć miały smak o wiele gorszy niż słodczyz dojrziałych owoców, był to nasz rytuał, nasze małe nieposłuszeństwo i nasz wspólny sekret.

Będzie mi brakowało słodkiego, lekko mdlącego zapachu więdnących róż umierających w wazonie na moim stole. Mimo że zawsze, gdy je kupowałam w kwiaciarni, czy ścinałam w ogrodzie rodziców, zawsze, gdy brałam w dłonie bukiet, uważając, by przypadkiem się nie ukłuć, wiedziałam, że będą powoli umierać, a ja będę na tę śmierć patrzeć. A mimo to nie przestawałam. Nie mogłam odzwyczaić się od waszego, zwiastującego własną śmierć, zapachu.

Będzie mi brakowało delikatnej sierści mojego starego, kochanego kota, który mruczał za każdym razem, gdy go głaskałam. Gdy wracałam późnym wieczorem do domu, gdy nasypywałam mu jedzenia do miski. Mam nadzieję, że ktoś się nim zaopiekuje. Mam nadzieję, że nie trafi do schroniska, że nie umrze z głodu.

Szkoda, że to wszystko tak się skończy. Żałuję tak wielu rzeczy. Tylu rzeczy, które wcale nie były nieuniknione.

Nagle słyszę gwałtowny hałas metalu uderzającego o betonową posadzkę i wzdrygam się. Rozmyślenia uspokajają mnie, ale nie na długo. Znow zaczyna ogarniać mnie ogromny, przeraźliwy, paraliżujący strach przed śmiercią. Wiem, że on tu jest.

Wtem czuję przeszywający ból w przedramionach, najpierw w lewym, chwilę później w prawym – zostały gwałtownie uniesione do góry. Kajdanki przesuwają się po mojej delikatnej, przeciętej skórze. Silę się na kolejny krzyk, ale knebel w moich ustach skutecznie go tłumi.

– Chodź – mówi szeptem mój oprawca. – Musisz się podnieść. Podłożę ci pod plecy poduszki, żebyś nie wisiała na kajdankach. Twoja skóra się napina. Nie potrzebujemy tego.

Nie ruszam się, moje ciało jest jak worek kamieni. Poddałam się już jakiś czas temu.

Po chwili dociera do mnie smród alkoholu i krzyczę, gdy czuję piekące rany na nadgarstku. Opatruje moje rany. Najpierw na jednej, potem na drugiej ręce. Łzy płyną intensywnie po moich policzkach.

Gdy kończy, z mojego gardła wydobywa się gulgot. Oprawca przez chwilę się nie rusza, po czym delikatnie zdejmuję knebel. Oddycham ciężko, starając się nabrać jak najwięcej powietrza, jakbym chciała zrobić to na zapas.

– Proszę – szepczę przez popękane wargi. – Proszę, niech to już będzie ostatni raz.

Duża, ciepła dłoń dotyka mojego policzka, przesuwa się na szyję, a później na tył głowy i delikatnie gładzi mnie po włosach, po czym obce usta całują czubek mojej głowy.

– Ciii... – mruczy mężczyzna i delikatnie mnie przytula. Gdy robił to pierwszy raz, wyrywałam się. Gdy zrobił to znów, miałam nadzieję, że okazanie uczucia to zwiastun tego, że mnie wypuści. Dziś wiem, że się myliłam. Dziś już nie reaguję. Staralam się rozpoznać jego głos, wyczuć zapach, wyobrazić sobie jego postać, ale wszystko na nic. – Będzie dobrze, obiecuję. Tym razem z tobą będę. Tym razem nie będziesz musiała przechodzić przez to wszystko sama.

– Proszę, zabij mnie albo mnie wypuść.

– Spokojnie. – Całuje mnie w czoło. – Nie pozwolę ci się wykrwawić. Musisz przeżyć, żebym mógł się z tobą pożegnać. Musisz przeżyć, żebym mógł cię zakopać.

Deszcz rytmicznie uderza w szybę. Zazwyczaj ten kojący dźwięk sprawiał, że ogarniała mnie senność, ale nie dziś. Księżyc delikatnie oświetla wnętrze pokoju, ale nie muszę nic widzieć, aby czuć to przewracające się koło mnie, niespokojne, cuchnące śmiercią ciało. Zazwyczaj delikatnie pachniało mydłem, dziś wydaje obrzydliwy odór strachu i szaleństwa. Znowu.

Leżę w bezruchu jak kłoda, bojąc się poruszyć, bojąc się oddychać. Tak bardzo przeraża mnie ten pokój, pełen demonów i zjaw, jednak nie mogę drgnąć, bo jakaś część mnie chce zostać i czuć ciepło tego ciała, póki jeszcze jest to możliwe. Czuć się bezpiecznie jak kiedyś.

Ale tej nocy po raz kolejny ogarnia mnie bezkresne, paraliżujące przerażenie.

– To koniec. – Słaby głos przecina ciszę jak sztylet. – Wszystko się kiedyś kończy.

Nagle słyszę głucho plaśnięcie, jakby ktoś mlasnął albo wdepnął w głęboką kałużę. Oddech przyspiesza, słyszę zduszony jęk.

– Strach kiedyś się kończy. Cierpienie też. – Ze stęknieniem odwraca się do mnie, zakrywa mi usta dłonią, po czym czuję ostry, przeszywający ból w podbrzuszu i przez kilka sekund jestem w zawieszeniu – nie oddycham, nie czuję, gdy ręka zsuwa się z moich ust, zostawiając na nich lepka substancję, a ja, odruchowo oblizując wargi, czuję metaliczny, obrzydliwy smak.

– Proszę, pójź ze mną.

Jedną ręką odrzucam kołdrę, dotykając mokrego, nasiąkniętego krwią prześcieradła, a drugą dotykam podbrzusza, z którego wydobywa się lepka ciecz.

Spoglądam na leżące obok mnie nieruchome ciało i zaczynam krzyczeć.

Destruction after all is a form of creation.

Graham Greene, *The Destroyers*

We were hungry before we were born.

Fever Ray, *Keep the streets empty for me*

Rozdział I

– Umarła pani?

Poruszam się gwałtownie i spoglądam w kierunku źródła głosu. Po moich plecach przechodzi dreszcz, świat czernieje i odruchowo łapię się za brzuch.

– Słucham?

– Pytam, czy umarła pani? Mówię od dłuższej chwili, a pani nie reaguje. Czy mogę złożyć zamówienie?

Mrugam szybko kilka razy, starając się przejrzeć na oczy i oddalić wirującą czerń, która podąża za mną od dawna. Bo ja od dawna żyję w dwóch światach – w tym świecie „przed” i w tym świecie „po”. Spoglądam na ładnego chłopaka, młodszego ode mnie o dobrych kilka lat. Spodziewałam się, że będzie na mnie patrzył z irytacją, ale jedyne co widzę w jego oczach to zaniepokojenie.

– Przepraszam. Co podać?

– Dużą kawę z mlekiem, na wynos.

– Cukier?

– Bez.

Chwilę później nalewam do kubka kawę z ekspresu i staram się przestać myśleć o tym, o czym myślałam przed chwilą, ale bez powodzenia. Im bardziej staram się przestać o tym myśleć, tym bardziej przylepia się do mnie, staje przed oczami i zatapia pazury w moim ciele.

Podaję chłopakowi napój i rachunek. Szef bardzo tego pilnuje. Układam już w głowie plan, czym mam się zająć, minuta po minucie, żeby tylko nie myśleć, nie wspominać – udawać, że zapomniałam. Dziś nie mogłam się skupić, musiałam być najwyraźniej niewystarczająco zajęta, bo wszystko znowu zaczęło wypływać z mojej głowy wprost przed oczy jak przerażający, krwawy wodospad.

Chcę się odwrócić, ale dostrzegam, że on tam cały czas stoi i mi się przypatruje.

Też przez chwilę na niego spoglądam i zastanawiam się, co takiego zobaczył. Czy spostrzegł, że gładzę nadgarstki? Może widział blizny? Czego on chce?

– Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? – pytam cicho.

– Z jakiego powodu była pani tak zamyślona? Nad czym pani tak intensywnie myślała?

Silne ręce ściskające moje nadgarstki.

Zapach lasu. Bezdenna, wieczna ciemność.

Zabarwiona krwią z przygryzionego języka, brudna woda i zamykający się w jej wirujących bąbelkach, skutecznie tłumiony wrzask konającego.

Wstrząsam ramionami i biorę głęboki wdech, zanim oddalę się znowu drogą pełną bólu i ciemności, daremnie szukając światła księżyca, które wskaże mi drogę.

– O niczym konkretnym. Mnóstwo różnych myśli przebiegało przez moją głowę. Czemu pytasz?

– Kilka razy panią wołałem, również po imieniu. – Wskazuje palcem na plakietkę przypiętą do mojej piersi. – Zareagowała pani dopiero, jak zapytałem, czy pani umarła.

Przekrzywiam głowę i patrzę na niego spod w półprzymkniętych powiek, znowu gładząc nadgarstek. Myślałam, że czasy, gdy miałam na twarzy wypisane to, co mi się przydarzyło, dawno minęły. Robiłam wszystko, żeby tak właśnie się stało, bo nie miałam innego wyjścia. Miałam do wyboru udawane normalne życie albo prawdziwą śmierć.

– Ciężko pracuję, młody, dniami i nocami. Dlatego czasem czuję się, jakbym nie żyła. A teraz muszę cię przeprosić, zrobiła się kolejka.

Chłopak jeszcze przez chwilę wbija we mnie zafascynowany wzrok, po czym odrywa się od lady i wychodzi, rzucając mi ostatnie spojrzenie w trakcie zamykania ciężkich drzwi. Przez chwilę zastanawiam się, czy to był przypadek? Czy po prostu chciał mnie poderwać, czy rzeczywiście wyczuł, że jest we mnie śmierć, którą tak bardzo staram się ukryć?

Ile razy można zaczynać od nowa?

Ile razy można umknąć śmierci?

Przez resztę wieczoru staram się, jak tylko mogę, skupić na kawie, na klientach, na wyrzucaniu fusów, na liście zakupów do zrobienia w sklepie całodobowym, do którego muszę wejść, zanim wrócę do domu. Ćwiczę to od kilku lat i jestem z siebie zadowolona. Czasami mam gorsze dni jak ten dzisiejszy, ale przyzwyczaiałam się do potknięć. Nienawidzę ich, ale je akceptuję.

Jest prawie północ, gdy wreszcie kończę sprzątanie i zamykam lokal. Wkładam klucze do kieszeni kurtki i zaczynam spacer do domu. Powinnam być tam w maksymalnie trzydzieści minut. Przez ten czas układam sobie niemalże co do minuty plan na kolejny dzień i powtarzam go wiele razy, tak aby wrył się w pamięć. Staram się nie myśleć o niczym innym, ale bardzo dobrze zdaję sobie sprawę z tego, że prędzej czy później mnie to dopadnie.

Na samym początku łudziłam się, że zapomnę i to, co się stało, nie będzie miało wpływu na moje życie. A przynajmniej na życie, które zaczęło się, gdy światło oślepiło mnie tak bardzo, że bolesny prąd rozszedł się na całe ciało, a ja sama upadłam na asfalt przed hamującym z wizgiem opon samochodem.

Stoję na przejściu dla pieszych i czekam, aż zapali się zielone światło. Piąta trzydzieści – pobudka. Piąta czterdzieści pięć – prysznic. Szósta – płatki z mlekiem. Dziesięć minut później schodzę ze schodów i przebiegam sześć kilometrów. Bieganie jest nużące, ale nie zakładam słuchawek, żeby posłuchać podcastu czy muzyki. Siódma piętnaście – wychodzę na balkon i podlewam kwiaty. Siódma trzydzieści – biorę prysznic. Ósma – wychodzę do pracy. Co dalej, Laura? Co dalej?

Nie planuję dalej. Wybiegam w przód na maksymalnie dwadzieścia cztery godziny i powtarzam mój plan jak mantrę, jakby miało mnie to uchronić przed czymś, czego nie jestem w stanie opisać.

Kiedyś planowałam wszystko – kolejne dni, tygodnie, lata, moją przejrzałą młodość i cuchnącą śmiercią starość.

Aż przestałam.

Nie miałam już wyboru, bo zrozumiałam, że nigdy nie dożyję starości.

Z początku dlatego, że nie chciałam. A później dlatego, że nie mogłam.

Zrozumiałam, że wcale nie chcę umierać. Że tak naprawdę nie jestem w stanie poświęcić wszystkiego, żeby cię zobaczyć.

Nie mogę oszukać moich instynktów.

I to zmieniło wszystko.

Załamał się cały mój świat.

Podsakuję, a z mojej piersi wyrywa się krzyk, gdy stojący przy przejściu dla pieszych samochód pogania mnie klaksonem, abym zeszła z chodnika i przeszła przez ulicę. Automatycznie łapię się za brzuch, otwieram usta i oddycham głośno, po czym rzucam się przed siebie, jakby ktoś mnie gonił. Nienawidzę. Tak bardzo nienawidzę cię za to, że odkąd to się stało, jestem wyczulona na każdy pieprzony dźwięk. Wszystko co dzieje się wokół mnie, odbieram ze zdwojoną, a nawet potrojoną siłą i nie jestem w stanie tego opanować.

Tak bardzo mnie zmieniłeś. Tak bardzo wypaczyłeś.

Tak bardzo cię nienawidzę.

Mimo że to właśnie dzięki tobie żyję. Bo popełniłeś błąd.

Zatrzymuję się po kilkudziesięciu metrach, siadam na wąskiej ławce i chowam twarz w dłoniach.

Tak bardzo mnie zmieniłeś. Tyle razy powtarzałeś, że moje cierpienie się skończy. Że pomożesz mi zrozumieć przez co przechodzę i jak to się musi zakończyć. Że będziesz ze mną i dla mnie, i że podtrzymasz mnie zawsze, gdy będę upadać.

Kłamałeś! – wrzeszczy wyrywające się z mojej klatki piersiowej serce. *Kłamałeś!* – wrzeszczą blizny na moich nadgarstkach,

w które wbijam paznokcie aż do krwi.

Minęło tyle lat, a ja nie posunęłam się naprzód ani o centymetr.

– Spokojnie, kochana. – Ciepłe dłonie ślizgają się od mojej szyi wzdłuż kręgosłupa, podczas gdy wymiotuję śliną i krwią do podanej przez niego miski. Nawet po wypiciu pół litra wódki nie miałam takich torsji. – Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Tym razem wszystko będzie dobrze. Niedługo wszystko się skończy i wtedy nastanie spokój.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Ściskam dłońmi głowę, starając się odpędzić od siebie ten koszmar, ale odruch wymiotny mi na to nie pozwala – w towarzystwie kilku obrzydliwych dźwięków pozbywam się wymieszanej z sokami żołądkowymi śliny i oddycham ciężko.

– Pieprzona pijaczka. – Słyszę żeński głos, i mimo że chciałabym spojrzeć jej w oczy, nie podnoszę się.

Ściskam głowę tak mocno, że słyszę chrzęst, ale nie jestem w stanie określić, co chrzęści – kości czy żwir pod moimi tenisówkami. Gorące łzy wypływają mi spod powiek. Nie mrugam, chcę jak najszybciej się ich pozbyć.

Podnoszę się po kilku minutach i ze zwieszoną głową, ciągnąc za sobą zdjęty uprzednio sweter, wchodzę na klatkę schodową. Nogi mam jak ołów, ale udaje mi się wspiąć na trzecie piętro. Wkładam klucz do zamka, przekręcam go i popycham drzwi. Chwytam pęk kluczy w dłoń i ten największy wysuwam spomiędzy palców. Wbiję ci go prosto w oko, rozumiesz? Tym razem nie dam się zabrać!

Podnoszę dłoń na wysokość mojej twarzy i wiem, że uderzę mocno. Po chwili słyszę miauczenie. Okruszek wybiega

z mieszkania i ociera się o moją nogę, spoglądając na mnie szeroko otwartymi, szafirowymi oczami. Wzdycham głęboko.

Gdyby tylko coś było nie w porządku, pokazałbyś mi drogę ucieczki. Jeśli jesteś tak zrelaksowany, to nic mi nie grozi. Biorę cię na rękę, wchodzę do mieszkania i powoli, dokładnie zamykam wszystkie zamki. Opieram czoło o zimne drewno antywłamaniowych drzwi.

Chwilę później wchodzę do kuchni i wypuszczam z objęć Okruszka – ten zeskakuje z blatu i siada koło miski, patrząc na mnie wyczekująco. Otwieram lodówkę, wyciągam puszkę i nakładam mu karmę. Gdy nachyliłam się, moje plecy przenika zimne powietrze. Wzdrygam się i prostuję, rozglądając dookoła. To okno koło fotela jest uchylone. Czy zostawiłam je tak przed wyjściem do pracy? Robię się nieostrożna. Nic nie powinno uśpić mojej czujności, nawet upływający czas.

Podchodzę do okna i z impetem je zamykam, starając się nie patrzeć na zewnątrz, aby przypadkiem nie ujrzeć tam obcej twarzy. Okruszek wzdryga się, ale nie wyciąga mordki z miski.

Mój telefon wibruje. Odblokowuję go i spoglądam na wiadomość od Piotra: „Chłopacy jutro wracają do domów na święta. Chcesz wpaść do mnie, zamówić pizzę i obejrzeć jakiś straszny film?”.

Nie wiem, co mam napisać, dlatego nie odpisuję wcale. Idę do łazienki, zrzucam z siebie ubrania i wchodzę pod prysznic. Delikatnie myję włosy, a następnie całe ciało. Mimo że to boli, otwieram szeroko oczy, które zalewa woda z prysznic. Po chwili zakręcam kran, wychodzę na miękki chodniczek i wycieram się puchatym ręcznikiem tak szybko, jak mogę.

Staram się nie otwierać oczu, ale odbicie łapie moje spojrzenie i je zatrzymuje. Mój żołądek się kurczy. Rachunek zysków i strat,

Laura. Przypomnij sobie, co straciłaś i co dzięki tej stracie zyskałaś.

Powoli podnoszę powieki, delikatnie omiatając wzrokiem odbijającą się w lustrze nagą postać.

Nagie chude łydki i uda.

Odchyłam delikatnie prawą nogę i z pieśczołą wiodę palcami po bliźnie, od dołu do góry. To uczyniło cię silniejszą. To też dzięki niej zrozumiałaś, gdzie tak naprawdę chcesz być... To ty o tym zdecydowałaś.

Szerokie biodra. Płaski, zapadły brzuch, a na nim, po prawej stronie, blizna. Dotykam jej delikatnie opuszkami palców i wodzę z góry na dół. To tylko uczyniło mnie silniejszą.

On mi to zabrał.

Odwracam do lustra wnętrza moich obrzydliwych, pofałdowanych nadgarstków i patrzę na nie, nie mrugając, czując rozlewający się po moim ciele gniew. Tak wiele mi zabrałeś.

Rozerwałabym te blizny palcami, gdybym dzięki temu mogła zrobić tobie to, co zrobiłeś mi. Odpłacić ci się. Zniszczyć cię w ten sposób, w jaki ty zniszczyłeś mnie.

Rumieniec wykwita na moich policzkach, gdy wyobrażam sobie ciebie bezbronnego, ze związanymi na plecach dłońmi. Mój oddech przyspiesza, gdy chwytam cię mocno za włosy i wciskam twoją głowę pod taflę śmierdzącej wody w starej, zardzewiałej wannie.

Szarpiesz się, wijesz jak ja wtedy. I tak jak ty moją, ja trzymam twoją głowę pod wodą, aż przestajesz się szarpać i następuje ta chwila zawieszenia, podczas której to ja podejmuję decyzję, wpatrując się w odbicie w tafli wody, obnażające moje zaciśnięte zęby i podwinięte wargi. Moje niemrugające, szeroko otwarte oczy.

Czy ty naprawdę wtedy zabrałeś ode mnie ciężar decyzji?

Rozciąć moją skórę. Zagłębić się we wnętrzu mojego ciała. Przeszyć mnie na wylot. Czuć gorącą krew. Zaciskać palce na mojej szyi. Zanurzać moją głowę pod wodą. Zabijać na tak wiele sposobów, podczas gdy w bólu i strachu zaczynałam rozumieć, że już nigdy nie wrócę.

Myślę, że gdybym wtedy wiedziała, co mnie spotka, nigdy nie walczyłabym, aby się uwolnić. Czasami myślę, że oszukałam przeznaczenie, a ono się o mnie upomina, starając się strącić mnie w przepaść. Unicestwić byt, który nie miał prawa się narodzić.

Nie powinien się narodzić!

Miałam tyle możliwości, aby umrzeć, ale mój egoistyczny instynkt przetrwania mi na to nie pozwolił, chociaż powinien. Powinnam odpuścić i się poddać. Ta śmierć przepełniona ciszą i jednocześnie szeptami, wydaje się lepsza niż to, co mnie po niej spotkało.

Przecież powinnam umrzeć.

Tak bardzo za tobą tęsknię, mimo że to przez ciebie! To przez ciebie upadłam tak nisko, bo ciebie zabrakło. Gdybyś wtedy był koło mnie... moje życie potoczyłoby się inaczej.

Tymczasem zostałam ofiarą. I za to znienawidzili mnie wszyscy dookoła. Za to mnie napiętnowali. A ja mogłam im tylko przyznać rację i zrosić się łzami wstydu.

Wiesz, o kim myślałam, gdy mnie topił? Gdy gwałcił ostrzem moje ciało? Gdy zakładał mi pętlę na szyję?

Cały czas myślałam o tobie.

I o tym, co pocieszało mnie przed śmiercią: to, że wiedziałam, że, mimo bólu i przerażenia, w końcu cię zobaczę. W końcu spojrzysz mi w oczy, pocałujesz w czoło i powiesz: – *Laura*,

nareszcie! Tęskniłem za tobą! Nic się nie stało, kochanie. To, co zrobiłaś i czego nie zrobiłaś, nie miało znaczenia.

I tego tak bardzo pragnęłam, tak bardzo, jak spojrzeć w twoje oczy i wykrzyczeć pełną piersią:

– Przepraszam! Wybacz mi, błagam! Nie chciałam, żeby tak to się skończyło! Nie chciałam tego zrobić!

Topię się. Topię się w twoich słowach i gestach, i w tej śmierdzącej, zatęchłej wodzie. Pomóż mi odejść, nie pozwól mi wrócić! Ja już po prostu nie dam rady.

Wymiotuję brudną wodą i oddalam się od twoich tęczywek, w które wpatrywałam się, próbując zatrzymać czas w naszym spojrzeniu, ale on tym jednym szarpnięciem zniweczył kolejny plan mojego odejścia.

– Musisz pozwolić się zakopać.

Potrząsam głową, a przez moje ciało przechodzi gwałtowny dreszcz.

Ty zawsze wiedziałeś, co dla mnie najlepsze.

Sięgam po wiszącą koło drzwi piżamę i szybko ją zakładam. Spoglądam w lustro.

Tak jest idealnie.

Nie widać moich blizn.

Rozdział II

Chyba nigdy nie czułam się tak bezbronna jak teraz.

Pamiętam, jak na studiach spotykałam się z chłopakiem z roku. Płeć męska stanowiła na naszym kierunku mniejszość, a on był najprzystojniejszy z nich wszystkich. Dziewczyny od razu zrobiły wywiad przed przystąpieniem do ataku. Był wolny, więc nie mógł się od nich opędzić. Nawet nie wiem, jak to się stało, że skończyliśmy razem i spotykaliśmy się prawie rok.

Wiele dziewczyn mi zazdrościło, dorobiłam się przez to kilku wrogów, ale nie interesowało mnie to za bardzo. Nigdy nie zależało mi na tym, aby mieć wielu znajomych, więc utrata kilku wcale mnie nie bolała.

To były wspaniałe miesiące i w mojej głowie zaczęła się rodzić idiotyczna myśl, że może to ten jedyny. I tak sądziłam do czasu sylwestrowej zabawy w dużym gronie znajomych, podczas której upił się i zrobił karczemną awanturę z zazdrości, bo nie spodobało mu się to, że jeden z moich kolegów zbyt długo ze mną rozmawia i za blisko mnie stoi.

Może nawet wybaczyłabym mu później tę scenę, gdyby nie to, że kiedy zaczęłam spokojnie tłumaczyć, że nie ma o co być zazdrosnym, uderzył mnie w twarz tak mocno, że aż odbiłam się od ściany.

Osunęłam się na kolana i spojrzałam mu w oczy, tak bardzo mi teraz obce, przepełnione furją. Zobaczyłam jego uniesioną dłoń szykującą się do kolejnego uderzenia i to właśnie wtedy poczułam się bezbronna jak nigdy wcześniej. Przez chwilę miałam wrażenie, że moje życie i bezpieczeństwo zależały od osoby, która właśnie mnie skrzywdziła, a której kiedyś ufałam. Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje.

Dziś ta sytuacja mnie niemalże śmieszy. Tamto uczucie było niczym w porównaniu do tego, co czuję teraz. Teraz nie mogę się ruszyć. Mój oprawca mocno ściska mnie za gardło, a ja zastanawiam się, czy to już teraz? Czy nastał koniec?

Obrzydliwy, gorzki płyn spływa po moim gardle. Staram się go za wszelką cenę wypluć, próbując się przy tym nie zakrztusić. Boli mnie szyja, policzki, głowa, bo od kilkadziesiąt minut walczę, aby przeżyć. Nie chcę pić tego, co wlewa mi do gardła. Bałam się, że to trucizna, ale teraz bardziej boję się tego, że on po prostu mnie udusi. Wyrywam się jak mogę, od czasu do czasu słysząc pełne złości posapywanie. Po jakimś czasie on traci cierpliwość i w furii zaczyna mnie bić po twarzy. Sama już nie wiem, co lepsze – wypić to, co próbuje we mnie wlać, czy dać roztrzaskać sobie czaszkę.

Jestem żałosna. Zasmarkana, zakrwawiona idiotka, która może walczyć, ile chce, ale nigdy nie da rady uwolnić się z więzów. Przecież to logiczne. Nie pokonam praw fizyki, nie mam nadprzyrodzonych mocy.

Nigdy nie czułam się tak bardzo bezbronna jak teraz, decydując się odpuścić i umrzeć.

Mimo że tam ktoś na mnie czeka.

Przestaję się szamotać, przestaję walczyć i połykam płyn... Po chwili mężczyzna delikatnie kładzie moją głowę na poduszkę i słyszę, jak wychodzi z pomieszczenia, zamykając za sobą skrzypiące drzwi.

Przechyliłam się na prawo, bo tak mniej boli i zastanawiam się, czym zasłużyłam na to, żeby się tu znaleźć. Żeby to właśnie tak się skończyło. Co takiego zrobiłam?

Próbuję zanucić jakąś znaną mi melodię, aby dodać sobie choć trochę otuchy, ale żadna nie przychodzi mi do głowy. Zaczynam zapadać się w sobie. Mam wrażenie, że brak mi czucia w dłoniach i stopach.

Coś szczypie mnie najpierw w przedramiona, a później w uda, na przemian z jednej i drugiej strony. Podrywam się za każdym razem, gdy czuję ten dotyk. Napina się całe moje ciało. Odruchowo próbuję wyswobodzić się z przytwierdzających mnie do łóżka pasów, wyrwać zapięte w kajdany dłonie i stopy, mimo że doskonale wiem, że mi się to nie uda.

Czy to ty mnie męczysz? Czy to ty się nade mną znęcasz? Czy to, co mi zrobiłeś, to dla ciebie za mało? Proszę, daj mi umrzeć w spokoju!

– Berek! Gonisz!

Moje obolałe, poranione od własnych paznokci dłonie zaciskają się w pięści.

– Gonisz!

Napinam całe ciało, próbując poderwać się do góry. Kręcę głową na wszystkie strony, dobrze wiedząc, że nic nie zobaczę, bo opaska

jest przyklejona do mojej skóry, ale to nieważne. W tym momencie już nic nie jest istotne.

– Wstawaj! Twoja kolej, gonisz!

– Janek? – Obcy, ochrypły, niknący głos wypływa z mojego gardła.

– No jasne, że to ja! – Kolejne uszczypnięcie w ramię, które sprawia, że zapadam się we własnym ciele, czując, jakby spadało ono przez zmurszałe podłogi wysokiego budynku na samo dno. A uderzenia mojego serca to każda rozbita przez moje ciało podłoga.

Sięgam dna. Słyszę huk, który boleśnie wibruje w moich uszach i powoli się wycisza, zastępując hałas śpiewem ptaków i szumem wysokich traw, pośród których spędziłam dzieciństwo. Widzę twoje plecy, jak przede mną uciekasz, a ja z całych sił chciałabym do ciebie dobiec, dotknąć cię, poczuć twoje ciepło i krzyknąć: „Berek! Gonisz!”. Choć wiem, że to niemożliwe. Nie powinno cię tu być.

Oddalasz się ode mnie, mimo że próbuję cię gonić, a za tobą biegnie ciemność, która otacza mnie z każdej strony, aż nic nie widzę. Nie jestem w stanie się ruszyć, nie czuję kompletnie nic.

– Janek – charczę cicho i resztę sił, które w sobie mam, marnuję na ledwo słyszalny płacz.

Mija dużo czasu, zanim drzwi do lochu ponownie się otwierają i czuję ciepło ciała mojego mordercy. Obruszam się, gdy na mojej twarzy ląduje letni, wilgotny ręcznik. Mężczyzna powoli przemywa mi twarz, nucąc bardzo cicho melodię, której nie jestem w stanie rozpoznać. Gdy przestaje, zapada cisza, ale dobrze wiem, że nie odszedł. Czuję go obok siebie. Delikatnie dotyka moich włosów, a ja się wzdrygam.

– Proszę – mówię cicho przez zdarte do bólu gardło. – Daj mi umrzeć w spokoju...

Mężczyzna nachyla się, po czym składa delikatny pocałunek na moim czole. Jego usta są wilgotne i ciepłe.

– Tylko tego pragnę – szepcze, a ja czuję w jego głosie pieśczęotę. – I tak się stanie. Ale jeszcze nie teraz.

Chwilę po tym czułym geście i ciepłych słowach znów czuję mocną dłoń zaciskającą się na moim gardle. Otwieram usta jak ryba i, zanim się spostrzegam, on wciska przez nie giętką rurkę, która szybko wędruje przez gardło i dociera do żołądka. I gdy myślę, że to tak bardzo boli, po chwili przekonuję się, że to nie koniec, bo przez tę rurkę do wnętrza mojego ciała zaczyna wlewać się woda.

Rozdział III

Po porannym biegu biorę gorący prysznic. Myję się, nie dotykając szpecących ran – po tylu latach uciekania i ukrywania tego, co się stało, ktokolwiek mógłby obudzić mnie pijaną w środku nocy i kazać mi się umyć – nigdy nie dotknęłabym tych blizn. Dotykam ich tylko wtedy, gdy przypominam sobie to, co się wtedy działo, choć tak bardzo staram się o tym nie myśleć.

Ale gdy już się to dzieje, wiem, że muszę ich dotknąć, żeby uzmysłować sobie, że wciąż tu jestem, że jeszcze nie umarłam, a one są tego dowodem.

Tylko wtedy ich dotykam.

Nie wyobrażam sobie, aby mógł ich dotknąć ktoś inny niż ja w tych momentach słabości. Nigdy na to nie pozwolę. Już nie. Nie po tym jak w bieliźnie, z krzykiem na ustach wybiegałam z mieszkania chłopaka, którego imienia nawet nie pamiętałam, czując się, jakby goniło mnie stado demonów.

Obiecywałeś, że wszystko będzie dobrze.

Obiecywałeś, że zaznam spokoju.

Tak bardzo chciałabym spojrzeć w twoje oczy, których nigdy nie widziałam, i wykrzyknąć, że zrobiłeś coś gorszego – mimo że przeżyłam, to zamieszkałam w piekle, w niekończącej się, koszarnej pętli. Nie powinnam była walczyć. Nie powinnam była wygrzebywać się z grobu. Powinieneś spełnić swoją obietnicę i mnie zabić. I najbardziej nienawidzę ciebie nie za to, że mnie porwałeś i torturowałeś. Nienawidzę cię za to, że tego nie dokończyłeś.

Sprawdzam, czy wszystkie okna w mieszkaniu są zamknięte, wychodzę i zatrzymuję za sobą drzwi wejściowe zamykane na trzy różne zamki. Przekręcam klucz w każdym z nich, po czym naciskam na klamkę i napieram na drzwi, sprawdzając, czy na pewno są zamknięte.

Zbiegam po schodach i zatrzymuję się gwałtownie na półpiętrze.

Odwracam się i spoglądam w górę, zastygając. Ten zapach. Obcy zapach. Ten, który poczułam wczoraj, gdy wracałam do mieszkania. Moja klatka piersiowa szybko podnosi się i opada. Spokojnie, Laura. To niemożliwe. Odwracam się, zbiegam ze schodów i wypadam z impetem z budynku.

Gdy dochodzę do kamienicy, w której znajduje się kawiarnia, przystaję i z ulgą głęboko oddycham. Kilka kroków dalej znajduje się alejka, wzdłuż której ustawione są ławki i śmietniki. Podchodzę do jednej z nich i dostrzegam siedzącą parę metrów ode mnie pochyloną postać, zapatrzoną w ekran telefonu, ubraną w kawowy płaszcz, który wydaje mi się znajomy.

Sięgam do torebki, wyciągam paczkę papierosów i zapalniczkę. Odpalam jednego i głęboko się zaciągam. To mój rytuał, który odprawiam każdego poranka przed pracą i który pozwala mi się

wyciszyć. Wiem, że to paskudny nałóg, ale nic nie poradzę na to, że pomaga mi się odprężyć.

– Laura?

Otwieram szeroko oczy i, podskoczywszy, odwracam się całym ciałem do źródła głosu, zaciskając pięść i unosząc ją na wysokość twarzy.

Przede mną, w kawowym płaszczu, stoi młody chłopak, który poprzedniego dnia w kawiarni pytał mnie, czy umarłam.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

Patrzy na mnie z niepokojem w oczach. Dużych, jasnych oczach, otoczonych firanami ciemnych rzęs. Uświadamiam sobie, że cały czas jestem w pozycji obronnej z uniesioną pięścią. Rozluźniam się i opuszczam dłoń, oddychając głęboko.

– Cholera, przestraszyłeś mnie!

– Przepraszam, nie chciałem.

Odwracam twarz i zaciągam się mocno papierosem, po chwili delikatnie wydmuchując dym.

– Co tu robisz tak wcześnie? – pytam, nie patrząc na niego. Rozglądam się dookoła. Nie widzę żywej duszy. Zazwyczaj obserwuję tu porannych biegaczy i ludzi wyprowadzających psy, ale dziś jak na złość nie ma nikogo.

Dosłownie nikogo.

– Czekałem na ciebie.

Zastygam i przestaję oddychać. Nie. To niemożliwe. Laura, do cholery, przestań!

Spoglądam na niego, zastanawiając się, czy zdąży mnie uderzyć.

Chłopak, jakby wyczuwając moje napięcie, wbija dłonie w kieszenie i odchyła się ode mnie.

– Możemy chwilę porozmawiać?

– O czym?

– O tobie. O tym, co ci się przytrafiło.

Cholera.

Te gnojki są coraz młodsze. A już myślałam, że mam od nich spokój.

– Czyli o czym?

– O mężczyźnie, który cię torturował.

Prycham lekceważąco, rzucam pod stopy niedopałek i z impetem wciskam go piętą w żwir. Odwracam się i idę w stronę kawiarni. Cała się trzęsę.

– Nie chcesz o nim rozmawiać? Proszę, daj mi pięć minut! Nie, dwie minuty! Chciałbym po prostu zadać ci kilka pytań!

Chłopak podąża za mną, a ja już się nie boję, jestem wściekła. Tak długo tym razem udało mi się pozostać anonimową, a ten szczeniak właśnie wszystko zniszczył!

„Zmęczą się tym tematem, Laura. Prędej czy później”.

Nieprawda!

– Laura, proszę, daj mi choć chwilę, obiecuję, że już nie będę cię nagabywał...

Zatrzymuję się gwałtownie, a on wpada na mnie. Odwracam się, ale chłopak jest już kilka kroków za mną, jakby wiedział, że nie powinien się do mnie zbliżać.

– Czego chcesz? – pytam cicho, zaciskając dłonie, bo jedyne czego pragnę, to go uderzyć.

Wyznaczyć granicę.

– Chcę porozmawiać o tobie i o tym, co ci się przydarzyło.

– Rozwodził się nad tym każdy pieprzony tabloid i rozgrzebywały to niemalże wszystkie stacje telewizyjne.

– Wiem, ale one mnie nie interesują, ja chcę porozmawiać z tobą.

– O czym?! – wybucham. – O tym, że jestem nienormalna? Że jestem wariatką, samobójczynią, że zniszczyłam siebie i moją rodzinę? Tego chcesz? Nie musisz ze mną rozmawiać, wystarczy, że wpiszesz moje nazwisko w wyszukiwarce internetowej. Tam zdiagnozowano mnie pod każdym możliwym kątem.

Łzy płyną mi po policzkach, pierś szybko unosi się i opada. Niech to szlag! Dawno już nie pozwoliłam tym wspomnieniom wypłynąć, dawno tak gwałtownie nie straciłam nad sobą kontroli.

Zaciskam powieki, wypychając spod nich ostatnią porcję łez, po czym próbuję uspokoić oddech. Po kilku chwilach udaje mi się, rozluźniają się też moje pięści. Spoglądam na przyglądającego mi się chłopaka i widzę w jego oczach coś innego, niż się spodziewałam.

Nie współczucie, tylko smutek. I zastanawiam się, czy smuci się z mojego powodu, czy z własnego?

– Przepraszam – mówi cicho. – Nie chciałem sprawić ci przykrości. Po prostu chciałem z tobą porozmawiać. Nic więcej.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Nawet przez chwilę? Obiecuję zadać ci pytania, których nie zadał do tej pory żaden dziennikarz od momentu, gdy cię oskarżono.

Biorę głęboki wdech.

– Dobrze, tylko jedno pytanie. Teraz.

Chłopak szeroko otwiera oczy i przekrzywia głowę w prawą stronę, przypatrując mi się w milczeniu, po czym nabiera

powietrza.

– Czy kiedykolwiek domyśliłaś się, kim był mężczyzna, który cię porwał?

Wpatrujemy się tak w siebie przez chwilę, później gwałtownym ruchem chwytam swój plecak rzucony wcześniej pod nogi i wyjmuję z niego klucze do kawiarni.

Blizny na moim ciele palą żywym ogniem, manifestując swoją obecność bardziej niż kiedykolwiek.

Odwracam się od niego, powoli przekręcam klucze w dwóch wielkich zamkach, słyszę chrobot przesuwających się zapadek i otwieram drzwi. Wchodzę do środka i zanim je za sobą zatrzaskuję, spoglądam na chłopaka ubranego w kawowy płaszcz, z nasuniętą na czoło wełnianą czapką, przypatrującego mi się wyczekująco.

– Powinieneś popracować nad swoim researchem, młody – mówię twardym, stanowczym głosem. – Wszyscy dobrze wiemy, że nie było żadnego porywacza.

Zatrzaskuję za sobą drzwi i przekręcam jeden z zamków, próbując okiełznać wyrywający się ze mnie wrzask i powstrzymać się przed zrobieniem tego, na co od tak dawna mam ochotę. Staram się zdusić wyrywający się ze mnie destrukcyjny gniew, za który przyjdzie mi zapłacić.

Rozdział IV

– Laura, wiem, że to dla ciebie bardzo trudny temat. Zdaję sobie sprawę z tego, co przeżyłaś i tym bardziej jestem ci wdzięczna za to, że zdecydowałaś się ze mną porozmawiać.

Mrużę oczy. Próbuję rozejrzeć się dookoła, ale jedyne, co widzę, to oślepiające światło i stojąca naprzeciwko mnie kobieta w średnim wieku, przyciskająca sobie do ust mikrofon owinięty w gąbkowy ochraniacz z logo popularnej stacji telewizyjnej. Mimo że nie widzę nic więcej, dobrze wiem, gdzie się znajdujemy.

Polowe studio telewizyjne rozstawiono w zatoczce parkingowej niedaleko miejsca, gdzie wybiegłam z lasu wprost pod rozpędzony samochód. Umorusana świeżą ziemią i zastygłą krwią, jedną dłonią trzymając się za prawy bok, drugą osłaniając oczy przed rażącym światłem, krzyczałam:

– Błagam! Błagam, niech ktoś mi pomoże! On mnie zabije! Błagam!

Ten wrzask był głośny w mojej głowie, bo z gardła wydobyłam tylko charczącą płataninę niezrozumiałych dźwięków. Wrzeszczałam, ile sił w płucach, czując, jak moje gardło zaczyna

krwawić i pękać. Wtedy zrozumiałam, że już nigdy więcej nie będę umiała krzyczeć.

Że już nigdy nie ucieknę.

Zatrzymał się dopiero któryś z kolei kierowca. Pierwszy z wizgiem opon wyminął mnie i przyspieszył, jak gdyby zobaczył na swojej drodze upiora.

I może nim byłam, może właśnie tak wyglądałam – jak te wszystkie zjawy z horrorów, uciekające przed bezwzględny zabójcą, który czai się w ciemnościach i dopada ofiarę, jak tylko nabierze ona cienia nadziei, że zostanie uratowana.

Ale tym razem było inaczej. Tym razem zabójca za mną nie podążał. Nie chciał mnie zgładzić. Dobić. Zatryumfować.

Zabójca był przekonany, że umarłam.

Przez kilka dłuższych chwil tak właśnie myślałam – że nie żyję, że jestem duchem błakającym się w zaświatach, który pragnie zaznać odkupienia, ale któremu nie jest dane doświadczyć łaski.auta omijały mnie, oślepiając reflektorami, a ja miałam wrażenie, że mnie zniszczą i niemalże na własne uszy słyszałam krzyki pasażerów. Przez to, że nikt się nie zatrzymywał, pomyślałam, że jestem niewidzialna, ale to nie mogła być prawda, bo kierowcy reagowali na moją obecność na drodze. A ja nie chciałam z niej zejść, bo byłam przekonana, że gdy tylko zejdem na pobocze, gdy tylko zatopię się znów w ciemność, to już nie wrócę, bo on właśnie tam na mnie czeka.

Czułam się, jakbym słyszała jego ciężki oddech nad uchem, jakby nigdy mnie nie opuścił. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że tak będzie już zawsze, a on nigdy nie odejdzie.

– Pomóżcie mi! – wrzeszczałam, myśląc, że albo żyję w koszmarze, albo w końcu trafiłam do piekła.

I już nikt nigdy mi nie pomoże.

Adrenalina pompowana do moich żył sprawiała, że nie czułam bólu. Zaschnięte rany na skroniach, do których wcześniej przyklejona była maska, przestały pulsować. Bok przestał dokuczać, przypominała mi o nim jedynie strużka krwi spływająca po nodze. Stałam tam, pośrodku drogi, ubrana w białą, poszarpaną koszulę nocną, ubrudzona ziemią i krwią, i wpatrywałam się w nadjeżdżający samochód. Patrzyłam, nie mrugając, na zbliżające się ostre światło i chciałam, żeby mnie pochłonęło. Żeby to wreszcie się skończyło.

Ale stało się inaczej.

Samochód zatrzymał się kilkanaście metrów ode mnie, wysiadł z niego kierowca i powoli do mnie podszedł. Zmrużyłam oczy, podniosłam dłoń do brwi, starając się dostrzec zbliżającą się do mnie postać i zamarłam – długie, rozwichrzone, siwe włosy lśniące od światła reflektorów.

Wysoka, chuda postać wyciągnęła w moim kierunku kościstą dłoń.

Przestałam jęczeć, zastanawiając się, czy tak właśnie przechodzi się na drugą stronę.

Cofnęłam się o krok, a postać zastygła.

Patrzyłam na nią, próbując zobaczyć rysy jej twarzy.

Moja klatka piersiowa podnosiła się i opadała tak mocno, że czułam, jakby rozrywała mi skórę i mięśnie.

Przez chwilę nocna mara przypatrywała mi się, po czym zapytała ciepłym, matczynym głosem:

– Czy mogę ci pomóc, kochanie?

Jej oblicze rozświetliło nadjeżdżające z naprzeciwka auto.

Miała porytą zmarszczkami twarz i piękne, szafirowe oczy, które nie mogły zwiastować śmierci.

I wtedy poczułam, jak rozrywam się na pół.

I że nic nigdy nie będzie w stanie mnie scalić.

Poczułam, jak Laura „przed” i Laura „po”, jak „córeczka mamusi” i „córeczka tatusia”, jak znenawidzona i kochana Laura po prostu pęka z trzaskiem.

Bo połowa mnie chciała powiedzieć:

– Nikt nie może mi pomóc! A teraz wynoś się stąd, pozwól im mnie uderzyć, rozjechać! Nie chcę już żyć po tym, co się stało!

Ale druga wycharczała:

– Błagam, pomóż mi! Nie chcę umierać!

– A co ona na to?

Potrząsam gwałtownie głową i wracam do rzeczywistości.

Już nie jestem na leśnej drodze.

Już nie pękam.

Już nie uciekam przed śmiercią.

Jestem dziś, po wielu katastrofach, w blasku fleszy.

Spoglądam na reporterkę i uśmiecham się delikatnie.

– Powiedziała: „Pomogę ci”. I zabrała mnie do auta. Zawiozła do szpitala i była ze mną, gdy po obdukcji przyjechała policja. Nigdy jej tego nie zapomnę.

– Rozumiem, Laura. – Reporterka kiwa głową, przywdziewając pełen fałszywego współczucia wyraz twarzy. – Czy możesz nam opowiedzieć o tym, co stało się wcześniej? Czy pamiętasz ten moment, gdy ten obrzydliwiec cię porwał? Czy możesz nam coś o tym opowiedzieć?

– Oczywiście... – Mój głos załamuje się i mam wrażenie, że zaraz wybuchnę płaczem, ale szybko przypominam sobie, że

wynagrodzenie jest za pełen wywiad i to mnie powstrzymuje. Kilka łez wypływa spod moich powiek, ale to akurat zdaje się podobać reporterce.

– Laura?

– Nie pamiętam zbyt wiele – mówię cicho. – Nie jestem pewna, kiedy dokładnie to się stało. Mamie skończyła się mąka do ciasta i poprosiła mnie, żebym poszła kupić, wracałam ze sklepu... Najkrótsza droga wiedzie przez las. Ludzie często spacerują przez nią, znajduje się tam oczko wodne. Nazywamy ten fragment lasu parkiem.

– Możesz nam go opisać?

– Park?

– Tak. I drogę, którą szłaś.

Przemykam na chwilę oczy i oddycham powoli.

Wracam do dnia, kiedy moje życie stało się koszmarem, a granica między jawą a snem została na zawsze zatarta.

– Droga jest szeroka, wydeptana, piaszczysta. Drzewa nie rosną tam gęsto. W połowie drogi między sklepem a moim domem mieści się staw otoczony dróżką wysypaną białymi kamyczkami. Wokół jest też sporo ławek. I to wszystko. Droga, którą szłam, była całkiem zwyczajna, łączyła centrum gminy z osiedlem, na którym się wychowałam. Nikomu nie powinno stać się tam nic złego...

– A jednak tobie coś takiego się przytrafiło, Laura. – Kobieta znów przywdziewa ten fałszywy grymas współczucia. – Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak musiałaś się czuć. Mówimy o środku lasu, przeszywa mnie dreszcz i boję się, mimo że jestem tu z tobą i ekipą. A ty byłaś tam kompletnie sama, torturowana przez nieznanego mężczyznę. Mężczyznę, którego do tej pory nie udało

się schwytać policji. – Jej głos przybiera srogi ton. Odwraca się do kamery i zaczyna tyradę, którą – moim zdaniem – miała wcześniej przygotowaną, czekała tylko na odpowiedni moment.

– Jak to jest, że ta bestia spaceruje po ulicach, najpewniej polując na kolejną ofiarę? Jak to jest, panie komisarzu, że ścigacie emerytkę, która ukradła w markecie cukierka, a nie przeczesujecie igła po igle i kamień po kamieniu lasu, w którym doszło do tragedii? W którym przetrzymywano i krzywdzono bezbronną dziewczynę? Gdzie pan jest, prokuratorze generalny? Gdzie są pańscy prokuratorzy, gdzie są pańskie sądy?

Słuchając tej tyrady, zrozumiałam jedno – im wcale nie zależy na mnie. Im nie zależy na tym, aby złapać mojego oprawcę. To wszystko polityka. Jestem tu, mówię o tym, co mi się stało, bezwiednie wpasowując się i dając się wmanipulować w polityczną grę. Gdyby nie wynagrodzenie, zerwałabym się z krzesła i uciekła stamtąd. Ale pieniądze są mi potrzebne, więc zostaję, po raz kolejny stając się ofiarą.

– Czy ma pani żal o opieszałość policji, pani Lauro? Pani Lauro? Wpatruję się w kobietę, która później okazała się odpowiedzialna za zniszczenie mi życia i zmieszanie mnie z błotem. Musiała ratować swoją karierę i wiarygodność. To dlatego zrobiła ze mnie oszustkę i kłamczuchę. Miała pewność, że wszyscy będą mnie mieli za psychopatyczną manipulantkę, która tak zręcznie okłamała krajowej sławy reporterkę.

Mimo że ta kobieta naprawdę nic o mnie nie wiedziała.

Szalona Laura. Laura-kłamczucha. Laura-samobójczyni.

To tylko nieliczne lżejsze wyzwiska, które od pewnego momentu zaczęły mi towarzyszyć na co dzień.

Tak bardzo mi przykro, tato. Zawiodłam cię.

Nie tu powinnam być.

Rozdział V

Od lat źle sypiam.

Nie mogę zasnąć, a jeśli już mi się uda, to śnię koszmary, przez które budzę się z krzykiem, cała spocona, próbując utrzymać w klatce piersiowej wyrywające się serce. Odrzucam pościel, przechylam się na prawo, a później na lewo, mnąc i szarpiąc prześcieradło. Po kilku chwilach przestaję oddychać, a wtedy wyrywa mi się głośny, urywany szloch, bo zdaję sobie sprawę, że jest we mnie ten prymitywny, głęboko zakorzeniony odruch szukania koło siebie kogoś, kto pomoże mi przestać się bać, do kogo będę mogła się przytulić, od kogo poczuję ciepło. Przecież obok mnie nigdy nikogo nie ma.

Później budzę się wczesnym rankiem i już nie mogę zasnąć, mimo że jestem wyczerpana.

Odkąd ciebie zabrakło, nigdy nie przestałam być zmęczona. Czasami jest to do wytrzymania, a czasami z chęcią wlałabym w siebie pół litra wódki, połknęła zakupione w ciemnej uliczce prochy, żeby zasnąć i się nie obudzić, w końcu się wyspać, w końcu przestać być tak cholernie zmęczoną i ogłupiałą!

– Karzesz się, Laura.

Spoglądam przez okno, którego nigdy nie zasłaniam i wyraźnie widzę wschodzące słońce.

– Karzesz się, Laura.

– Za co?

– Dobrze wiesz za co. To ty najlepiej wiesz za co. Musisz się do tego przyznać. Karzesz się za to, co nie pozwala ci spać. Jeśli tylko to zrozumiesz, jeśli tylko powiesz mi, co to takiego, to w końcu prześpisz całą noc.

Dlaczego oni wszyscy kłamią?

Ty nie kłamałeś.

Tylko ty mówiłeś prawdę. Ale ciebie już nie ma.

Poranna rutyna już za mną, czas wyjść do pracy. Zatrzymuję się na półpiętrze i wydaje mi się, że znowu czuję jego zapach.

Oglądam się za siebie, mając wrażenie, że widzę ruch koło drzwi mojego mieszkania. Wyteżam wzrok i odczekuję chwilę, aby uświadomić sobie, że nikogo tam nie ma.

Całą drogę wlokę się niemiłosiernie. Gdy w końcu docieram do ławki po drugiej stronie ulicy od kawiarni, rozglądam się uważnie, szukając chłopaka w kawowym płaszczu, ale najwyraźniej postanowił spisać mnie na straty, bo nigdzie go nie ma. Odpalam papierosa i ogarnia mnie dziwne uczucie rozczarowania – przecież wcale nie chciałam z nim rozmawiać, wcale nie chciałam wracać do tego, co stało się pewnej nocy i pewnego poranka, ale mimo to przykro mi, że tak szybko odpuścił.

Kiedyś Laura była w centrum zainteresowania przez długi, długi czas. Kiedyś Laura nie mogła spokojnie iść do supermarketu po zakupy, bo podążało za nią stado reporterów. Kiedyś Laura nie

mogła spokojnie iść do pracy, oglądała się ukradkiem za siebie, a później te właśnie ukradkowe spojrzenia odnajdywała na okładkach tabloidów.

Aż kiedyś Laura włączyła telewizor i zobaczyła to, czego od jakiegoś czasu tak bardzo się obawiała.

– Osobowość histrioniczna – mówiła szczupła reporterka, przyciskając do ust mikrofon z jaskrawym logo stacji telewizyjnej. – Brzmi dziwnie, nienaturalnie, ale wystarczy, abyście zajrzeli choćby do Wikipedii i zrozumiecie, co to oznacza. Osobowość ta charakteryzuje się wysoką emocjonalnością, teatralnością zachowań i – co najważniejsze – obsesyjną potrzebą zwrócenia na siebie uwagi.

Mocno zaciskam powieki, a spod jednej wymyka się łza.

– Co więcej, charakteryzuje się rozwiązłością. Ale nie mnie to oceniać. – Delikatny, ale złośliwy uśmiech wypływa na jej usta. – Jesteśmy tylko ludźmi. Litujemy się nad tymi, których los skrzywdził, doświadczył, którym zesłał ogrom cierpienia. My, media, walczymy o to, aby pomagać wam – widzom, wam – społeczeństwu, tym, którym rząd zabiera głos. Niestety przez tę chęć niesienia dobra czasami zostajemy wykorzystani, jak w tym przypadku.

I wtedy na ekranie pojawia się moje zdjęcie, jedno z tych, które zrobił jakiś, pożałuj Boże, paparazzo. Laura wychodząca z supermarketu, w upalne lato, ubrana w krótką, „za krótką” sukienkę, dźwigająca dwie torby, z których jedna się rozrywa, a jej zawartość upada na chodnik i roztrzaskuje się z hukiem. Tego huku na zdjęciu nie widać, ale ja dokładnie pamiętam moment, w którym zrobiono mi to zdjęcie.

Poczułam, jak torba się rozrywa i pomyślałam, że przecież to, do cholery, nie może się stać! Litrowa butelka wódki wypadła gwałtownie z siatki i roztrzaskała się o chodnik. Chciałam się rzucić, aby szybko zebrać szkło i je schować, bo dobrze wiedziałam, że nie jest to coś, co powinni widzieć reporterzy. Coś, co powinno zostać utrwalone na zdjęciach.

Co tu dużo mówić – w Internecie nic nie ginie.

Wpatruję się w zdjęcie rozciągnięte wzdłuż i wszerz na wielkim telewizorze – chuda Laura, odwracając się za siebie z przestraczem, w mocnym makijażu i za krótkiej sukience. Z rozbitą butelką wódki u stóp.

– Laura nas oszukała – mówi reporterka, wpatrując się zmrużonymi, pełnymi urazy oczami w kamerę. – Laura mnie oszukała. Jestem reporterką, zajmuję się trudnymi sprawami. Prawdziwymi przestępstwami i prawdziwymi zbrodniami, które zostały zapomniane i znieważone przez wymiar sprawiedliwości. Jestem twarda, chociaż często wieczorami płaczę w poduszkę, nie pojmując tego, jak system może krzywdzić dobrych, porządnych ludzi. I pierwszy raz zostałam oszukana. Przez osobę szukającą uwagi. Szukającą poklasku, chorobliwie pragnącą tego, aby zwrócić na siebie uwagę.

Znów na ekranie pojawia się moje kompromitujące zdjęcie.

– Zapamiętajcie tę twarz – mówi reporterka. – Ona mnie zawiodła. I zawiedzie też was.

Laura histrioniczna.

Pęka szklanka, którą ściskam w dłoni, nalewając do niej spienione mleko. Spoglądam w dół i widzę, jak biel miesza się z czerwienią i zastanawiam się, jak wyglądałby wypowiedziany przez nią slogan napisany moją krwią, zmacony białą pianą.

– Jezus, Laura – syczy koleżanka ze zmiany, której imienia nie pamiętam, i owija mi dłoń papierowym ręcznikiem. – Usiądź na chwilę, ja posprzątam.

Popycha mnie przed siebie, jakbym była przedmiotem, jakby po prostu chciała się mnie pozbyć. Odchodzę kilka kroków dalej, zatrzymuję się, zaciskając palce na owiniętej, krwawiącej dłoni i uśmiecham się pod nosem.

Ty idiotko. Ten ból to nic w porównaniu do tego, co przeżyłaś.

Wytrzymasz.

Wychodzę z za lady i siadam przy najrzadziej zajmowanym stoliku pod oknem, zaraz koło toalety, spoglądam na zewnątrz.

Wiedziałaś, że albo będę cierpiała, albo powodowała cierpienie. Że nie ma nic pomiędzy. I za to, że mi to uświadomiłeś, jestem ci wdzięczna. Mimo że tak bardzo mnie zawiodłeś. Mimo że wtedy byłeś tak bardzo ludzki, chociaż powinieneś być wyłącznie boski, bo takim cię postrzegałam. A ty mimo to mnie zawiodłeś.

To przez ciebie upadłam i już nie potrafię wstać.

Byłam tak bardzo silna. Nie bałam się cierpieć, krwawić, umierać. Tęsknię za tymi czasami, kiedy wszystko było jasne. Kiedy nie było negocjacji. Kiedy „za” było tak bardzo oczywiste jak „przeciw”.

Jak biblijna relacja braci – mordercy i ofiary.

Kocham cię, Kainie.

Wszystko będzie dobrze, Ablu.

Jestem sama.

To przez ciebie jestem teraz sama – bo musiałeś odejść.

Moja pięta zaczyna podrygiwać, gwałtownie zwiastując nadchodzący płacz, który staram się powstrzymać, ściskając do bólu ranę na mojej dłoni. Skup się na bólu, Laura!

Dociera do mnie stłumione szuranie krzesła. Jak przez mgłę widzę postać siadającą naprzeciwko mnie i wysilam się, aby wydusić ze ściśniętego gardła kilka słów, ale wydobywa się z nich tylko szept:

– Zajęte.

Patrzę przez szybę, ale widzę jedynie obraz rozmazany przez zbierające się w moich oczach łzy i nie chcę mrugnąć, aby nie spłynęły po moich policzkach. Łzy to oznaka słabości. Łzy pojawiły się w moim życiu dopiero, gdy odszedłeś.

– Chcę ci pomóc.

Powoli spoglądam w kierunku postaci siedzącej naprzeciwko, nie mogąc dostrzec szczegółów.

– Proszę, Laura.

Zamykam powieki, a łzy spływają, reprezentując moją słabość.

– Jesteś nikim, Laura. – Słyszę w głowie matczyny głos. – Jesteś słaba jak słaniające się na wietrze spróchniałe drzewo.

Powoli otwieram oczy, a obraz staje się wyraźny. Przede mną siedzi chłopak w kawowym płaszczu. Wpatruję się w niego przez chwilę.

Tak bardzo chciałabym, żeby na twoim miejscu siedział ktoś, komu mogę zaufać, komu mogę się zawierzyć, komu mogę się poddać i wreszcie przestać udawać.

– Laura?

Mocno zaciskam powieki i usta, ale po chwili wydobywa się ze mnie zdecydowanie za często powtarzane pytanie:

– Czego chcesz?

– Masz, napij się wody.

Podnoszę głowę i spoglądam na moją współpracownicę, która stawia przede mną szklankę i oddala się. Czy przyniosła mi ją

z dobroci serca, czy abym nie zasłała, żeby nie musiała przeze mnie dłużej zostawać w pracy?

Spoglądam na chłopaka, który znowu przypatruje mi się z tą cholerną troską.

– Czego chcesz? – pytam ponownie.

– Chcę z tobą porozmawiać, Laura. Chcę poznać całą prawdę.

Kładę na blacie obie dłonie.

– Doprawdy? – pytam cicho, czując, jak moje serce przyspiesza.

– Oni wszyscy chcieli poznać prawdę. A później okazało się, że prawda nigdy ich nie interesowała.

Tylko on chciał znać prawdę i tę prawdę poznał.

I kochał mnie mimo wszystko.

Patrzę na chłopaka, ale przez chwilę nie widzę jego twarzy. Przed moimi oczami przewijają się tylko tytuły i artykuły wszelkiego rodzaju pism, które skazały mnie na banicję.

– Spójrz, kochanie. Przypatrz się. – Słyszę twój głos i jestem zupełnie gdzie indziej.

Jest zimno. Otacza mnie biel i cisza.

Mimo że jestem ubrana w zimową kurtkę, ciepłą czapkę i gruby szalik, to rękawiczki są cienkie i czuję, jak drętwieją mi palce. Nagie drzewa posepnie szumią nad moją głową, a ja jestem w stanie wyłowić każdy szelest spośród panującej dookoła ciszy.

Staram się nie ruszyć, bo wiem, że skrzypienie śniegu może zdradzić moją obecność.

– Spójrz, Laura. Popatrz. Teraz.

Jego szept jest cichszy niż bicie mojego oszalałego serca.

Cała jestem stworzona z tego dziwnego uczucia, które ogarnia człowieka, gdy zgubi się pomiędzy jawą a snem.

– Odliczaj.

Spoglądam w kierunku mojej ofiary. Mój palec zbliża się do spustu.

– Teraz.

Dokonuję wyboru, czując, jak uwalnia się ze mnie całe napięcie.

Pęka serce. Rozbryzguje się krew.

Czuję ulgę.

Otwieram oczy i widzę przed sobą chłopaka, który ściska moją krwawiącą dłoń.

– Słyszysz mnie, Laura?

Przypatruję mu się i dostrzegam w jego oczach coś, co mnie urzekło tego poranka, gdy podszedł do mnie w parku. Dlatego nie mogłam pozbyć się go z głowy i miałam nadzieję, że jednak wróci.

Zacięcie.

Zaakceptowanie konsekwencji.

Piękne, jasne oczy, które nie mają prawa mieć w sobie tyle bólu.

– Chcę ci pomóc.

Prycham, nie kontrolując tego odruchu.

– Wiesz, ilu chciało mi pomóc? Od ilu słyszałam ten pieprzony szajs?

– Nie ode mnie, Laura.

Próbuję uspokoić oddech, bo czuję, że znowu zaczynam tracić kontrolę. Nie wiem, czy to jego postać, czy żelazny smród krwi sprawia, że za chwilę pęknię.

Wdech, wydech.

Brzmie jak sapiąca bestia.

Uspokój się, do cholery. Zbyt długo na to wszystko pracowałam.

Uspokajam się i znowu otwieram oczy, podnosząc wzrok na siedzącego przede mną chłopaka.

Przypominam sobie czasy, kiedy kierowałam się wyłącznie instynktem. Kiedy czułam oblepiające mnie emocje wszystkiego, co oddychało i co znajdowało się obok mnie. Kiedy nie potrafiłam nad sobą panować.

Gdy byłam głodna.

Tak bardzo głodna.

To ty trzymałeś moją rękę. To ty ją ściskałeś. To ty patrzyłeś mi w oczy i wtedy czułam, że wszystkie te emocje kręcące się w mojej głowie nagle zwalniają i się zatrzymują.

Nabierają sensu.

Jak bełkot obcego języka.

Jak spowolniony balet.

Delikatne i ostrożne ruchy, które po jakimś czasie zaczynały przyspieszać, obracać się, tak bardzo szaleć!

Ja chciałam słyszeć trzask. Słyszeć zgrzyt.

Słyszeć upadek, od którego dudniła ziemia!

– Czego chcesz?

– Chcę opowiedzieć twoją historię.

– Ile za nią dostaniesz?

Jasne oczy znowu się mrużą, ale teraz inaczej. Nie mrugają i mam wrażenie, że penetrują każdy milimetr moich tęczynek.

– Nic nie dostanę. Ale zupełnie za darmo chcę zadać ci pytanie. Pytanie, które chodzi mi po głowie, odkąd pierwszy raz o tobie przeczytałem. Mogę?

Prycham ze zniecierpliwieniem, a chłopak najwyraźniej bierze to za przyzwolenie, bo gwałtownie pochyla się, mocno chwyta moją skaleczoną dłoń i przyciska ją z trzaskiem do stołu, doskonale wiedząc, że to boli.

Podrywam głowę, głośno wciągam powietrze i otwieram usta, nie wydając okrzyku.

– Tyle razy. W tyłu wywiadach mówiłaś, że umarłaś tam, w lesie, że już nie żyjesz – szepcze, przybliżając swoją twarz do mojej, a nasze nosy dzieli od siebie ledwie kilka milimetrów. – Czy jesteś tego pewna, Laura? Czy naprawdę umarłaś?

Patrzę na niego i chcę wrzasnąć, chcę odpowiedzieć na to pytanie twierdząco, ale nie nadążam. Chłopak ściska gwałtownie moją dłoń i czuję, jak rana pulsuje, krwawiąc coraz mocniej.

Moje ciało gwałtownie odchyła się w drugą stronę, a zęby zaciskają. Ciągnę rękę, ale on nie pozwala mi się wyrwać.

– To boli, prawda? – pyta cicho, próbując złapać moje spojrzenie. – Myślę, że bardzo boli. – Ściska moją dłoń jeszcze bardziej, a ja znów płaczę. – Wiesz, co to znaczy? To znaczy, że żyjesz, Laura. Właśnie czujesz, że żyjesz.

Nagle jego dłoń się rozluźnia, a moja zostaje samotna, odruchowo próbując ją schwycić. Próbuję złapać tę ulotną myśl, to ulotne uczucie, którego od tak dawna nie czułam.

– Spójrz, Laura. Popatrz.

Moje płuca wypychają z siebie palące powietrze.

Wielkie cielsko z ogromnym westchnieniem zatrzymuje się, jakby napotkało na swojej drodze niewidzialną przeszkodę i po chwili upada.

Śnieżna, wszechogarniająca biel drażni każdy mój zmysł i sprawia, że chcę się podrapać.

Na jej tle wibruje czerwień.

Wibruję ja.

Otwieram oczy i wstaję od stołu, wiedząc, że nie mogę pozwolić mu odejść.

– Czeka! – krzyczę, nie zważając na kierujące się ku mnie spojrzenia klientów kawiarni. – Poczekaj.

Chłopak zatrzymuje się i powoli odwraca, a ja wiem, że to nie jest przypadek.

Że to ty go przysłałeś.

Powoli podchodzę do niego, blisko, za blisko, ale mnie to nie obchodzi.

Przyciskam dłonie do piersi i spoglądam w jego oczy.

– Jakie jest twoje pytanie?

Chłopak patrzy na mnie, nie odsuwa się, sięga dłońmi do kieszeni kawowego płaszcza. Całym swoim ciałem czuję jego ruchy.

I pada pytanie, od którego powinny zależeć losy wszechświata:

– Czy pozwoliłaś mu odejść?

Jasne oczy nie mrugają, wpatrują się we mnie, drażąc.

Drażniąc.

Kawiarnia nagle pogrąża się w mroku. Słyszę dwa oddechy – mój i twój.

Oddanie.

Desperacja.

Ja już po prostu nie mogę tego wszystkiego wytrzymać.

Muszę coś zrobić, coś zmienić, bo inaczej pękne i nie dotrzymam złożonej przed laty obietnicy. Obietnicy, że zawsze będę nad sobą panować, panować nad tym czymś, co mieszka z tyłu mojej głowy. A jeśli złamię tę obietnicę daną właśnie tobie, to nigdy sobie nie wybaczę i to na pewno mnie zabije.

Bo tylko dla ciebie potrafiłabym umrzeć.

– Nie – szepczę. – Nigdy nie pozwoliłam mu odejść.

Otwieram oczy i wpatruję się w chłopaka, a on we mnie.

– Pomogę ci, Laura. Wszystko będzie dobrze.

Wciska w moją dłoń kawałek tektury, odwraca się i odchodzi, zamykając za sobą ciężkie drzwi kawiarni.

Uspokajam oddech i spoglądam na pogiętą wizytówkę:

Dorian P.

www.zapomnianezbrodnie.com

zapomnianezbrodnie@gmail.com

Zapomnieli o Twoich bliskich?

Wspólnie im o nich przypomnimy!

Rozdział VI

Noc jest parna, duszna i cicha. Czuję, jak to obrzydliwe powietrze powoli powleka moje ciało i jakby ktoś założył mi na głowę reklamówkę. Oddycham, ale coraz płycej, coraz szybciej, i mam wrażenie, że za chwilę się uduszę. Chcę dotknąć swojej twarzy i serce mi zamiera, bo naprawdę mam na głowie plastikową torbę zasupłaną na szyi. Pragnę ją zerwać, ale nie daję rady. Próbuję przebić folię palcami, aby zaczerpnąć powietrza, ale albo nie mam wystarczająco siły, albo plastik jest zbyt gruby. Nie ma już czasu, bo wiem, że się duszę.

Przewracam się na prawy bok i spadam z łóżka, w dzikim szale szarpiąc za supeł reklamówki. Jak to możliwe, że mnie znalazł? Jak to możliwe, że wszedł do środka?

W końcu udaje mi się przebić folię palcami. Rozszarpuję i ściągam reklamówkę z głowy, odrzucam ją w kąt, czując jednocześnie, jak płuca wręcz rozrywają się od nagłego dopływu powietrza.

Przewracam się na bok, spoglądam na sufit i dostrzegam elementy, których nie powinno tam być. Intensywnie wpatruję się

we fluorescencyjne gwiazdki i planety, po czym rozglądam się dookoła i powoli podnoszę do pozycji siedzącej.

Przez okno wpada niemrawe światło, ukazując niebieską pościel w kwiatki oraz stolik nocny z ułożonym na nim stosem książek. Na poręczy łóżka wisi puchaty szlafrok.

Serce, które powoli się uspokajało, ponownie przyspieszyło, bo zaczynam słyszeć wrzaski toczącej się za drzwiami awantury. Wyrzuty i żale, które tak dobrze znam, których nigdy nie zapomnę. I choć już wiem, że śnię, to boję się tak samo jak wtedy; to boli tak samo jak wtedy; ogarnia mnie dziki szal jak wtedy.

Krew z krwi.

Powoli podchodzę do drzwi prowadzących na korytarz i nie jestem już dorosłą kobietą – jestem dziewczynką sprzed lat i robię dokładnie to, co ona wtedy. Po cichu naciskam klamkę, kucam i wyglądam na korytarz. Wrzaski dochodzą z pokoju rodziców – tym razem nie kłopotali się nawet zamknięciem drzwi. Zazwyczaj krzyczała mama, ojciec czasami tylko jej odpowiadał, ale dziś jest inaczej. Oboje się przekrzykują, na podłogę z trzaskiem lecą jakieś przedmioty. Spoglądam po skosie w prawo, na drzwi sypialni chłopców. Zazwyczaj robili dokładnie to samo co ja – uchylali drzwi i kucali w progu, przysłuchując się awanturze. Wtedy spoglądaliśmy na siebie, co dodawało nam trochę otuchy. Jednak tej nocy drzwi do ich pokoju są zamknięte.

Uchylam drzwi bardziej, siadam na podłodze i opieram się plecami o framugę. Teraz słyszę wyraźnie poszczególne słowa i wiem, że rodzice znowu kłócą się o mnie.

– Jak możesz mi to robić? – krzyczy mama. Słyszę, jak nerwowo chodzi po sypialni, aż dudni pod nią podłoga. – Wszystko ci dałam, wszystko! Moją młodość, mój czas, dałam ci dzieci, poświęciłam

kariere i po co? To wszystko było dla ciebie, a ty tak po prostu wyrzuciłeś to do śmietnika? Co jeszcze chcesz mi zabrać?

– Przestań, do cholery, nie chcę ci niczego zabrać! Zachowujmy się jak cywilizowani ludzie!

– Cywilizowani? Ty masz się za cywilizowanego człowieka? – Matka roześmiała się gorzko. – Ty to wszystko planowałeś, prawda? Najpierw kazałeś mi zrezygnować z kontaktów z rodziną... Później zabrałeś mi córkę, moją jedyną córeczkę i zrobiłeś z niej potwora! A teraz zabierasz mi resztki godności?

– Nie mów tak o Laurze! – Słyszę brzęk tłuczonego szkła. Ojciec jest wściekły. – Nie mów tak o naszym dziecku, bo za siebie nie ręczę, rozumiesz?

– Bo co, uderzysz mnie? No już, proszę, zrób to! Boisz się? Takim jesteś tchórzem? Na co czekasz?

– Nie mam już do ciebie siły. Nie wytrzymam tego dłużej, rozumiesz?

– To dlatego poszedłeś się kurwić? Bo ja jestem taka straszna? Oddałam ci wszystko, a dostałam w zamian zdradę i powód do wstydu przed ludźmi!

– Tak! Dokładnie dlatego! Bo cię, kurwa, nienawidzę!

Drzwi od sypialni uderzają z impetem w ścianę. Ojciec musiał je otworzyć kopniakiem. Wzdrygam się, ale nie ruszam z miejsca. Nie zależy mi już na tym, żeby mnie nie zauważyli.

Ojciec idzie w kierunku schodów, sapiąc z wściekłości, a matka biegnie za nim.

– Idziesz do tej swojej kurewki? Jak już tam pójdziesz, to ani waż się tu wracać, rozumiesz? Może jak znikniesz z naszego życia, to Laura będzie wreszcie normalnym dzieckiem! Moim dzieckiem! A nie tą zatrutą jadłem dziwaczką!

Teraz.

Czas przyspiesza, bo nie siedzę już w progu swojego pokoju, tylko stoję na schodach, zaciskając z całej siły dłonie na poręczy i czuję, że zaraz połamię sobie palce.

Matka stoi kilka stopni niżej i wpatruje się w leżącego u podnóżu schodów ojca. Nikt nie musi mi mówić, że nie żyje. Wystarczy na niego spojrzeć.

Matka powoli odwraca głowę i wpatruje się we mnie przerażonym wzrokiem. Ustawia się plecami do ściany i łapie mocno za poręcz, jakby bała się, że się na nią rzucę.

I powinna się bać.

Dyszę, wściekłość rozsadza mi czaszkę, przepływa boleśnie przez wszystkie żyły, bo powróciło to uczucie, które tak często mnie ogarniało, a z którym pomagał mi radzić sobie ojciec. Ale ojca już nie ma i nikt nie jest w stanie mi pomóc. Teraz mogę myśleć tylko o jednym.

– To nie wina taty – powiedziałam do niej cicho, po czym odwróciłam się i powoli poszłam do swojego pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi i położyłam się do łóżka.

To nie wina mojego taty.

On nie zrobił ze mnie potwora.

Ja się potworem urodziłam.

Rozdział VII

Przestałam się oszukiwać, że zasnę.

Podniosłam się z łóżka bladym świtem i wyciągnęłam z kieszeni kurtki wizytówkę, którą dał mi Dorian. Odpaliłam laptopa i postanowiłam obejrzeć jego stronę. W trakcie gdy komputer powoli się włączał, zrobiłam sobie kawę.

Rzadko korzystam z Internetu, więc zazwyczaj nie włączam komputera, który zresztą jest już starym gruchotem. Po tym wszystkim, co się stało, zbrzydło mi przeglądanie newsów i plotek, bo sama stałam się ich bohaterką, a później ofiarą. Może powinnam sobie kupić nowego laptopa, ale właściwie po co? Poza tym muszę oszczędzać. Pieniądze za wywiady skończyły się szybciej, niż przypuszczałam. Zostały przychody ze sprzedaży książki, która – mam wrażenie – została napisana jeszcze, zanim wyszłam ze szpitala. Sprzedała się w niezłym nakładzie i za nią kupiłam mieszkanie. A teraz, po latach i po tym wszystkim, co się stało, łatwo się domyślić, że przychody są raczej na niskim poziomie.

Mam za to fajny, duży telewizor, na którym nigdy nie oglądam stacji informacyjnych. Moimi głównymi kanałami są te o nauce i zwierzętach. Godzinami mogę patrzeć na niekończące się lasy, dżungle i sawanny. Na niczym niepowstrzymywane instynkty, pełną harmonii walkę o przetrwanie, w której wygrywają najsilniejsi – gdzie dobór naturalny jest najwyższym sędzią.

Włączam telewizor i wyciszam głos, patrząc tylko na pojawiające się obrazki.

Woda się zagotowała, więc zalewam kawę rozpuszczalną i siadam przed komputerem. Odpalam przeglądarkę i wpisuję adres strony internetowej Doriany. Dość wolno się ładuje, ale mam czas.

Po chwili ogarnia mnie zdumienie.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Chyba jakiegoś pseudobloga z popularnym szablonem i wpisami z mikroskopijną czcionką, ale strona Doriany wygląda zupełnie inaczej. Jest bardzo, ale to bardzo profesjonalna i mroczna zarazem.

Zastanawiam się, czy sam ją stworzył?

Dominują tu ciemne kolory. Przewijam w dół i widzę, że jego wpisy są systematyczne, odpowiednio otagowane, zawierają mnóstwo zdjęć, skanów, wycinków z gazet, a tytuły wpisów wskazują na to, że odnosi się do nowych spraw, jak też wraca do tych, o których już pisał.

Na samej górze widzę duży baner z logo strony i hasłem:

„Chcesz wspierać moją pracę? Kliknij i zostań moim patronem!”.

Po prawej stronie jego wpisy są podzielone według kilku kryteriów. Największymi literami nazwany jest podział na „rozwiązane” i „nierozwiązane”. Klikam w drugi odnośnik, który przenosi mnie do kolejnej strony i przez chwilę brakuje mi

oddechu. Przewijam w dół i przewijam, i przewijam, ale tych spraw jest z pewnością kilkadziesiąt, może nawet kilkaset. Cofam stronę i wchodzę w zakładkę spraw rozwiązanych. Robi mi się przykro i trochę żal Dorianą, bo w tej zakładce widnieje tylko jedna sprawa zatytułowana: „Persefona”. Cofam.

Niżej po lewej stronie można zobaczyć skróty kilku wpisów, które zapewne dotyczą najbardziej medialnych spraw lub po prostu takich, które interesują chłopaka.

Klikam w pierwszy z nich, zatytułowany:

N08: Ewelina Z., 2011 rok [POWIĄZANIA: BRAK]

Strona się otwiera i ukazuje zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny. Nie jest ładna, ale nie jest też brzydka – ma w sobie to coś. I tym czymś jest chyba jej piękny, szeroki uśmiech odsłaniający perłowe zęby. Wygląda na nastolatkę, na pewno nie ma więcej niż osiemnaście lat. Patrząc na nią przez chwilę, przesuwam wzrokiem po jej dużych, piwnych oczach, zaróżowionych, trochę puciołowatych policzkach i krótko obciętych ciemnych włosach. Delikatnie się uśmiecham.

Po czym przewijam w dół i w sekundę żołądek skręca mi się w bolesny supeł.

Dziewczyna ma wyblurowaną twarz, ale łatwo domyślić się, że to właśnie Ewelina.

Jej martwe ciało ubrane jest w podartą i brudną wieczorową sukienkę. Zdarty biustonosz leży obok jej głowy i mogę się tylko domyślać, do czego został użyty. Dziewczyna ma na sobie tylko lewą balerinkę, prawa stopa jest goła i zakrwawiona. Zbliżam się do ekranu i mrużę oczy, żeby po chwili zrozumieć, że sukienkę

pokrywa zastygła krew. Myślę, że na szyi widać wybroczyny świadczące o tym, że została uduszona.

Zastanawiam się, skąd Dorian wziął fotografię i czy ma prawo to upubliczniać. Czy to zdjęcie policyjne, czy też wygrzebane z Internetu?

Poniżej widzę krótki wstęp do długiego artykułu, okraszonego zdjęciami dowodów i miejsca zbrodni:

Imię i nazwisko: Ewelina Z.

Numer sprawy: 8

Status ofiary: zmarła

Wiek w chwili śmierci: 18 lat i 8 miesięcy

Przyczyna śmierci: uduszenie

Inne obrażenia: 8 ran kłutych zadanych krótkim, ostrym narzędziem w obrębie brzucha i klatki piersiowej

Czas i okoliczności śmierci: 12 lipca 2014 roku. Ewelina wracała z urodzin koleżanki około godziny 22:00. Domy dzieliło 1500 metrów w linii prostej. Dziewczyna udała się skrótem przez park. Ostatni raz widziana była przez pasażerów autobusu, który zatrzymał się na przystanku przy wejściu do parku około godziny 22.

Podjezani: mężczyzna średniego wzrostu, średniej tuszy, najprawdopodobniej ciemnowłosy, ubrany w ciemny, długi płaszcz, wchodzący do parku kilkadziesiąt metrów za podejrzaną.

Świadkowie: 1. Pasażerowie autobusu (dwie kobiety, jeden mężczyzna). 2. Mężczyzna siedzący pod przystankową wiatą.

Status sprawy: sprawca niewykryty

Powiązania z innym zabójstwem: brak

Słowa kluczowe: uduszenie, rany kłute, nóż, nastolatka, park

Cofam i wybieram losowo kolejne imię.

N43: Karolina B., 2003 rok [POWIĄZANIA: TAK. SPRAWA: N61]

Imię i nazwisko: Karolina B.

Numer sprawy: 43

Status ofiary: zmarła

Wiek w chwili śmierci: 21 lat i 2 miesiące

Przyczyna śmierci: uraz czaszki po wielokrotnym uderzeniu ciężkim przedmiotem (narzędzie zbrodni – kamień)

Inne obrażenia: złamany obojczyk, złamane 4 żebra, rozległe urazy organów wewnętrznych. Urazy narządów rodnych wskazujące na brutalny gwałt.

Czas i okoliczności śmierci: 23 września 2003 roku. Około godziny 21:30 Karolina wracała z popołudniowej zmiany w całodobowym sklepie monopolowym. Zazwyczaj wracała do domu nocną komunikacją miejską, ale tym razem postanowiła wrócić pieszo (uciekł jej autobus?). Dom ofiary od miejsca pracy dzieli 2545 metrów w linii prostej. Jej ciało zostało znalezione w przydrożnych krzakach, 754 metry od domu.

Podjezani: były chłopak ofiary. Po analizie śladów DNA niebrany pod uwagę.

Świadkowie: 1. Kobieta, która miała zmianę w sklepie po Karolinie – potwierdza, że dziewczyna wyszła około wpół do dziesiątej. 2. Kierowca samochodu, stojący na światłach 1235 metrów od domu dziewczyny – Karolina przechodziła jako jedyna na drugą stronę ulicy i mężczyzna twierdzi, że dlatego ją zapamiętał. 3. Mieszkanka posesji, przy której znaleziono zwłoki

– potwierdza, że około godziny 21:55 słyszała pojedynczy, kobiecy krzyk. Nie wyjrzała na zewnątrz. 4. Mężczyzna, nietrzeźwy, kierował się do sklepu monopolowego i minął Karolinę około 35 metrów od wejścia do sklepu. Twierdzi, że rozmawiała z wysokim, chudym, ogolonym na łyso mężczyzną.

Status sprawy: sprawca niewykryty

Powiązania z innym zabójstwem: tak, sprawa N61

Słowa kluczowe: uraz tępy, młoda kobieta, gwałt

Wchodzę na strony kolejnych spraw, i kolejnych, i kolejnych, ciągle widząc ten sam status:

Sprawca niewykryty.

Sprawca niewykryty.

Sprawca niewykryty.

Sprawca niewykryty.

Zamykam laptopa z trzaskiem i masuję sobie skronie, czując nadchodzący ból głowy.

Myślę o tym, jak dziwnym człowiekiem trzeba być, żeby poświęcać tyle czasu i energii tego typu beznadziejnym sprawom, których nie dość, że jest ogrom, to z roku na rok ich przybywa i większość z nich zapewne nigdy nie zostanie rozwiązana.

Dlaczego Dorian to robi? Co go do tego skłoniło? Czy to jest w ogóle normalne? Nie umiem odpowiedzieć na ostatnie pytanie, bo sama nigdy normalna nie byłam. Nie wiem, co jest normalne.

Może po prostu to lubi? Może go to rajcuje? Może lubi patrzeć na te wszystkie zdjęcia, te ładne i te przerażające, na odarte z życia i godności kobiety? Bo nie widziałam żadnej sprawy dotyczącej mężczyzny, przeglądając pobieżnie jego stronę.

Otwieram laptopa i szukam gdzieś zakładki „O mnie”, bo chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej o Dorianie, ale nic takiego nie znajduję. Przeszukanie sieci w niczym nie pomoże, skoro nie znam jego nazwiska.

Trzymam przez chwilę dłonie na klawiaturze, moje palce dygoczą.

Zaciskam zęby i szybko wpisuję w wyszukiwarkę na stronie swoje imię, zdając sobie sprawę, że nie powinno mnie tam być, bo przecież nie umarłam. Żyję.

Laura.

A jednak tam jestem.

Serce podchodzi mi do gardła.

Z rosnącym przerażeniem wpatruję się w tytuł mojej sprawy, a moje serce zaczyna bić jak oszalałe:

N73: Laura W., 2015 rok [POWIĄZANIA: TAK. SPRAWA: N08, N12, N34, N38, N49, N92, N123, N162]

Spoglądam na wyciszony telewizor i zawieszam wzrok na lwie wiszącym nad zabitą zdobyczą. Jego pysk jest umazany krwią i mogłabym przysiąc, że patrzy wprost na mnie.

Rozdział VIII

Pod moje powieki wpada piasek, ziarnko po ziarnku.

Zaczynam rozumieć, że to nie zmęczenie, że to nie miejsce pomiędzy jawą a snem, o którym marzę i o którym śnię.

To miejsce pomiędzy życiem a śmiercią.

Widzę, jak odchodzisz.

– Zrób to, Laura.

Obracam się do ciebie i patrzę w twoje oczy. Czuję ciepło, którego nie jestem w stanie opisać i pociągam za spust. Raz, drugi.

– Obiecuję, że poczujesz się lepiej.

Próbuję wziąć wdech, odetchnąć, ale ciężar ziemi i zapach krwi sprawiają, że się waham. W końcu się przełamuję i czuję to.

Dudniąca ziemia, równomierny stukot – raz, dwa. Raz, dwa. Uciekam, ratuj. Uciekam, ratuj.

Przesypuje się piasek w klepsydrze.

Ziemią wstrząsa upadek.

Obolały, pokryty sierścią brzuch upada, dudniąc echem zawartym w jej przyszłości.

Sarna uderza o lód. Ślizga się na jego powierzchni, rozumiejąc, co właśnie się stało. Że to już koniec. Że obudziła światy i zaświaty.

I marzy.

Marzy o szybkiej śmierci.

– Widzisz? Spójrz, Laura. Popatrz.

Szepcze lodowaty wiatr, głos dający komfort.

Sarna kręci się na zamarzniętym jeziorze, pozostawiając za sobą ognistoczerwoną plamę. Rozgląda się dookoła, obracając się wokół własnej osi. Wie, że przegrała, że nie da rady. Widzę to w jej pięknych, ciemnych, szeroko otwartych oczach.

Obracam się razem z nią.

– Spokojnie – szepczę. – Zabiorę to od ciebie.

Rozdział IX

– Twój brat umiera, a ciebie tutaj nie ma.

Głos w słuchawce jak zwykle mnie upokarza. Sprawia, że chcę zacisnąć prawą dłoń w pięść i uderzać w ścianę, aż roztrzaskam nadgarstek, bo tylko ból sprawi, że przestanę myśleć. Przestanę wspominać i zastanawiać się, czego nie zrobiłam, a co udało mi się dzięki temu osiągnąć.

– Musisz zrozumieć, Laura.

Wpatruję się w dziewczyną biel, bojąc się na ciebie spojrzeć. Wiem, że tam jesteś. Wiem, że mi na to pozwoliłeś. Ale mimo wszystko czuję, że to nie w porządku. To nie jest normalne. Że gdy zrobię to, do czego mnie zachęcasz, stracę w twoich oczach. Mimo że obiecujesz, że tak nie będzie.

– Musisz zrozumieć, Laura – szepczesz, ale ja wyraźnie słyszę każde słowo odbijające się od lodu. – Nie ma innej możliwości.

Nie wiem, kiedy to się dzieje.

Chwilę później spoglądam w dół, na jeszcze ciepłe ciało, na mój płaszcz i moje dłonie.

Całe we krwi.

Czuję metaliczny zapach.

Czuję ciepło w podbrzuszu i jak przyspiesza mój oddech.

Rozkładałam ręce w zaspie śniegu, próbując się ochłodzić, topię się w niej. Słyszę za sobą kroki.

Sarna sapie, bulgocze, jej płuca zalewa krew.

Spogląda na mnie i mimo że wiem, że to zwierzę, dostrzegam w niej ludzkie oczy i ludzką śmierć.

Kroki za mną cichną. Wiem, że ojciec się zatrzymał.

Wyciągam dłonie ze śniegu i z impetem siadam na piętach, roztrzaskując dookoła biały puch.

Patrzę w twoje oczy. Są pełne niewypowiedzianych słów, pełne próśb, pełne obietnic. Charkot i oddech zabarwiają powietrze na szaro i wiem, że doskonale czytam z twoich oczu.

Nie możesz umrzeć, bo instynkt podpowiada ci, że nikt inny nie ochroni twoich dzieci.

To tego właśnie się boisz. Nie śmierci.

– Zrozum – szepcze cicho ojciec.

Wyciągam rękę w twoim kierunku, dotykam cierpiącego ciała, czuję szorstkość sierści i wiem, że już nigdy nie będę mogła przestać.

Podnoszę do góry dłoń i z impetem wbijam ostrze w twoją szyję.

Ten plask musi słyszeć cały wszechświat.

Przez kilka sekund wierzgasz, jęczysz, ale po paru chwilach umierasz z zawieszonym w moich oczach wzrokiem. Twoje ciało bardzo powoli traci ciepło.

Przykładam głowę do twojej szyi i nasłuchuję bicia serca.

Raz, dwa. Raz, dwa. Wolniej. Coraz wolniej.

Po chwili odrywam się od ciebie i spoglądam na ojca.

Stoi tam zatopiony po łydki w śniegu i przypatruje mi się intensywnie spod przymrużonych powiek. Oddycha głęboko przez otwarte usta i zaciska mocno ręce na sztucerze.

Dlaczego tak bardzo go ściskasz, ojczy?

Podnoszę się i upadam w głębokim śniegu, zastanawiając się, czy to nie ja jestem sarną.

– Tato? – pytam cicho, odrywając się od puchatego, stygnącego ciała.

Idę w twoim kierunku, niezdarnie, niedbale, zatapiając się w zaspach.

Ważysz te „za” i te „przeciw”, które ja będę ważyć przez całe życie.

Rozpadam się.

Rozpadam się na kawałki, gdy właśnie to czuję. Zastanawiasz się, czy nikt nie zada pytań, gdy zniknę.

Bo ja powinnam umrzeć.

To właśnie mnie teraz powinieneś zabić. I wcale bym cię za to nie winiła.

Żyłka opadająca z impetem na mój nadgarstek. Jeden i drugi.

Kamień w mojej dłoni, Ablu.

Mnie nie powinno tu być.

Ojciec opuszcza ręce, celując ku ziemi, wystrzela i cicho płacze.

Nie wiem tego, bo nie widzę łez spływających po jego policzkach. Widzę tylko, jak cały drży. Wyciągam dłoń w twoim kierunku i widzę, że robisz to samo w moją stronę. Czuję, jak zatapiam się w twoich objęciach i upadam.

– Chodźmy do domu, kochanie. Dokonało się.

Nieznanego pochodzenia szloch pulsuje w moim gardle.

W tamtym momencie moje ramiona rozgrzewa ciepła, buzująca krew. Czuję, jakbym przebiegła maraton i pokonała tysiące zawodników. Czuję, jakby ta ciepła posoka grzała mnie w pewien niewytłumaczalny sposób od środka. Jakby mrowiła mnie w klatce piersiowej coraz intensywniej z każdą sekundą.

Aż czuję, że wybucham jak wulkan, sycący atmosferę trującym prochem. Po chwili się uspokajam, spoglądając obojętnym wzrokiem na zabitą u moich stóp matkę.

Bezuczuciowo podnoszę dłoń i uderzam mocno, bezrefleksyjnie w niemogące obronić się ciało.

Jestem katastrofą, która powinna się dokonać. Powinna rozbić się o twoje oczy jak upadające z nieokreślonej wysokości ciała, dobrowolnie skaczące, objijające się o urwisko.

– Laura. – Ojciec odwraca się do mnie, łapiąc mnie za ramię tak, że aż boli. – Jesteś tego pewna?

– Tak, ojciec.

– Jesteś za niego odpowiedzialna, rozumiesz?

– Tak.

– Odpowiedzialna, Laura! Rozumiesz? To nie zabawka. On nie jest taki jak jego matka. Nie możesz go zaniedbać. Nie możesz pozwolić mu umrzeć. Czy to jasne?

Czuję, jak koziołek gwałtownie wtula się we mnie, próbując wyrwać się z mych objęć, a po chwili wbija mi się w podbródek i usadawia tam, gdzie jest najcieplej. Najbezpieczniej.

Zabiłam jego matkę, bo musiałam. Bo nie miałam innego wyboru. Ale ty wcale nie musisz umrzeć. To ja zdecydowałam o tym, że będziesz żyć i że się tobą zaopiekuję.

– Laura? Laura, słyszysz mnie? – Potrząsam głową i znów słyszę głos mojej matki. – Musisz przyjechać. Jeśli nie teraz to nigdy,

rozumiesz? Po prostu nie zdążysz.

– Mamo – wydobywa się ze mnie szept. – Przecież wiesz, że nie powinnam...

– To nie czas na wspomnienia, Laura. To nie czas na rozliczenia. Po prostu tu, do cholery, przyjedź.

To czas na śmierć.

I widzę te oczy, to w nich się topię i przypominam sobie tę chwilę, w której zrozumiałam, co to znaczy odchodzić.

I z jak ogromnym, niewyobrażalnym bólem pękło wtedy moje zimne serce.

Rozdział X

– Śmierdzisz, Laura.

Siedzę na kuchennym krześle, machając nogami. Mimo że tata zdjął ze mnie kozuch, nadal mam na sobie gruby sweter. Nie jest mi ani ciepło, ani zimno, choć czuję, że mój kark i pierś delikatnie się pocą. Ale nie chcę zdejmować swetra. Dostałam go od taty.

Jest z prawdziwej owczej wełny.

Ma ten dziwny, niepowtarzalny zapach, którego nigdy wcześniej nie czułam, a który wydaje się w pewnym sensie stały, niemalże lepki, zobowiązujący.

Szybko ścieram z wnętrza dłoni zaschniętą brunatną plamę.

Nie odpowiadam na zarzut matki, bo nie wiem, co jej powiedzieć. Tata schował zakrwawiony kozuch i rękawiczki, więc nie powinna czuć tego pięknego, metalicznego, otwierającego oczy zapachu.

Mama jest zdenerwowana, jestem w stanie to wyczuć.

Wyczytuję to, jak zawsze, z drżenia jej głosu, gwałtownych ruchów i hałasów, które wypływają ze zlewu, gdzie myje naczynia; z lodówki, w której upycha zakupy; z płyty grzewczej, na którą

rzuca czajnik. Z trzeszczenia barowego krzesła, które co chwila przysuwa i odsuwa od blatu, przy jakim siedzę, mimo że obie dobrze wiemy, że nie ma zamiaru na nim usiąść.

Mama jest zła, wściekła.

Często taka jest.

Często mówi do mnie podniesionym głosem, często krzyczy pełna pretensji i niezrozumienia, sama nie pojmując, że ja jej po prostu nie rozumiem.

Mimo że tak bardzo bym chciała.

Często słyszę potok słów wypływający z jej pięknych, czerwonych ust i tak samo często nie jestem w stanie ich zrozumieć. Pojmuję pojedyncze słowa, ale nie jestem w stanie zrozumieć całości, sensu tego, co chce mi przekazać. Więc słowa te zlewają się w monotonny szum, który znajduje ujście gdzieś z tyłu mojej głowy, a wzrok skupia się na jej sylwetce i sposobie poruszania się.

Matka często nerwowo porusza głową, szarpie nią w prawo i lewo tak, że czasami mam obawy, że usłyszę łamiący się kark.

Jej ramiona są cały czas spięte, a prawe co kilka sekund gwałtownie unosi się ku górze. Głowa skręca się w jego kierunku, jakby mama chciała coś z niego strząsnąć, jakby na tym ramieniu siedział nietoperz czy gargulec, szepczący wprost do jej ucha życzenie śmierci. Namawiając ją na stąpanie po krawędzi.

A ja to wszystko widzę i obserwuję z ciekawością, zastanawiając się, co ona robi. W jaki sposób sobie z nim poradzi?

Grzebię widelcem w zimnej, półpłynnej jajecznicy, której nie chcę jeść i wiem, że nie mogę powiedzieć na głos, że wolę, jak przyrządza ją ojciec.

– Wiedziałam, wiedziałam – szepcze cicho matka. – Nie powinnam była nikomu ufać. Nie powinnam tego robić. A wiesz, co zmusiło mnie do tego, żeby jednak dać mojemu nowemu życiu szansę?

Rzuca mokrą patelnię na blat przede mną, a ja wzdrygam się i spoglądam na nią szeroko otwartymi oczami. Topię się w jej pięknych, dużych oczach, które powoli zniżają się do mojego poziomu, gdy mama klęka na podłodze, nie mrugając.

– Ty. To ty mnie zmusiłaś. – Wysuwa głowę do przodu i wbija wzrok w moje oczy, a ja mam wrażenie, że chce się przewiercić przez nie i przez moją potylicę. Wiertarką.

– Mamo? – Nie wiem, jak powinno brzmieć moje pytanie, ale wiem, że czuję się nieswojo.

Jej bliskość jest przytłaczająca. Niebezpieczna.

Gęsia skórka pokrywa moje ramiona.

– Zmusiłaś mnie do tego wszystkiego w dniu, w którym poruszyłaś się w moim łonie. Wtedy nie miałam już wyboru.

Mama wpatruje się we mnie, nie mrugając, po czym powoli, delikatnie, w tej swojej powłóczystej koszuli nocnej, podnosi się do pionu, a ja mam wrażenie, że staje przede mną piękna, odziana w królewskie szaty wojowniczką, która nie toleruje przegranych.

A jeszcze bardziej nie znosi wybawionych.

– To przez ciebie nigdy nie miałam wyboru, córko. – Ostatnie słowo wypluwa z siebie jak najgorszą obrazę.

Ściskam gwałtownie poły wełnianego swetra i nie wiem, co powinnam powiedzieć. Mama jest zła, mama jest wzburzona. Mam wrażenie, że powinnam ją przeprosić, ale nie wiem za co. Dlatego nie mówię nic.

Podnoszę tylko powoli wzrok, oddychając ciężko i próbując nie pozwolić moim łzom na ucieczkę spod powiek.

Wpatruję się w twoje oczy i chcę powiedzieć ci, ile dla mnie znaczysz, że to wcale nie jest tak, jak myślisz. Że tego po prostu nie da się opisać.

Ale nie mówię nic.

Bo ja znam twoje oczy.

To oczy sarny, której roztrzaskałam brzuch na huczącym niemymi wibracjami jeziorze.

Pełne strachu, bólu i niezrozumienia, świadomości nadchodzącego nieuniknionego.

Pochylam się, próbując złapać je na zawsze, zastygnąć z nimi w nieskończoności.

Łapię twoją dłoń i szepczę delikatnie, cały czas topiąc się w tej pięknej czerni, w tym pięknym uczuciu. W czymś, co powinno być ulotne, niespotykane, a co wciąż trwa i na co wciąż trafiam. Odbijam się od tego z łoskotem, chociaż wcale tego nie chcę.

Niewidzialna, kusząca bariera.

Matka wyrywa gwałtownie swoją dłoń z mojego uścisku i wtedy czuję się samotna jak nigdy wcześniej.

Przykłada tę dłoń do swojego policzka i w niemalże tanecznym ruchu odsuwa się ode mnie krok po kroku. A tę niewyobrażalną pustkę wypełnia ciepłe, mocne poczucie bezpieczeństwa, które właśnie nadchodzi.

Wyczuwam je na odległość, całą sobą.

Przecież wiedziałam, że nadejdzie. Od pierwszej kropli krwi spływającej strumieniem gdzieś pomiędzy „teraz” a „nigdy”.

Słyszę kroki, tak bardzo przez tę chwilę oddalone, a teraz tak bardzo wyraźne.

Matka stoi kilka metrów ode mnie, otula się swoim swetrem, mocno ściskając obfite piersi i pozwalając długim, gęstym włosom spływać kaskadą po ramionach.

– Śmierdzisz, Laura – szepcze całym swoim ciałem, swoimi pełnymi piersiami i pięknymi włosami. – Śmierdzisz jak on. Jak wszystko to, co wspólnie zabijacie.

Jak wszystko to, czego nienawidzę.

Chcę cię złapać. Chcę powiedzieć ci, że się mylisz. Że wszystko upraszczasz. Tak bardzo upraszczasz, matko!

Wszystko sprowadzasz do uczuć, do zemsty, do nienawiści.

Zapominasz, że jestem twoją córką.

Że czuję jak ty.

Że pozwalam się zatracać jak ty.

Że moje ciało staje się środkiem, a nie przekazem.

I że obie tego tak bardzo nienawidzimy.

Matko!

To mnie zobowiązuje na tak wiele różnych sposobów.

Wyszłam z twojego łona, krzycząc i błagając o życie, i właśnie to mnie definiuje.

I wtedy czuję ciepłą, dużą dłoń, która ciągnie mnie do tyłu i przytula do mocnego, twardego, delikatnie wibrującego ciała.

Odsuwam głowę, nie wypuszczając twojego wzroku spod mojej władzy i delikatnie, powoli, cała odchylam się do tyłu, nie przerywając spojrzenia.

A ty płoniesz.

Upadasz.

Moja mała zemsta.

Ciepła dłoń przemieszcza się powoli w górę mojej szyi, odchylam głowę, starając się, abyś nie napotkał oporu.

Twoje oczy to najpiękniejsze, co widziałam w życiu.

Odbijasz wszystkie moje pragnienia.

– Spójrz.

Głos jest nienaturalny.

– Popatrz.

Płonę.

Ojciec pochyla się ku mnie, chwyta za poły mojego swetra i mocno je zaciska, wtapiając się w krzywizny mojego ciała z całą swoją mocą.

Chowa twarz w zagłębieniu mojej szyi i szepcze:

– Nigdy nie śmierdziałaś, Laura. Po prostu pachniesz wolnością.

Nie wszyscy potrafią to zrozumieć.

Jego ciepły oddech się oddala, a ja czuję, jak masuje moje ramiona.

Pęka wszechświat.

Matka oddycha szybko przez nos, patrzy na nas spod przymrużonych powiek i kolejny raz w życiu całą sobą czuję, jak bardzo mnie nienawidzi.

Rozdział XI

– Opisz to.

– To rozsadza mnie od środka.

Przymykam oczy i spoglądam na swoje zaciśnięte pięści, starając się, aby nie widział mojego spojrzenia. Aby widział tylko opuszczone powieki i cienie na policzkach rzucane przez rzęsy.

Pamiętam, że gdy byłam mała, ludzie bali się moich oczu i tego, że tak rzadko mrugałam. Z początku nie zwracali na to uwagi, ale po jakimś czasie zaczynałam wyczuwać u nich pewnego rodzaju niepokój, bo oni sami przestawali mrugać i przypatrywali mi się uważnie. Dorośli rzadko to komentowali, ale dzieci na podwórku i w szkole szybko podchwyciły tę kwestię i zaczęły mnie nazywać zombie lub duchem.

Matka nie mogła tego znieść. Z początku ciągała mnie po lekarzach, starając się odnaleźć przyczynę tak rzadkiego mrugania, ale żaden z nich niczego nie stwierdził. Moje oczy nie były przesuszone, nie miałam problemu ze wzrokiem, po prostu taka byłam.

Ale ona nie mogła się z tym pogodzić i po jakimś czasie zaczął w niej narastać dziwny, irracjonalny strach.

– Ona tak na mnie patrzy, rozumiesz? Jakby za chwilę miała wyciągnąć spod swojej różowej sukienki cholerny nóż i wbić mi go prosto w serce. Jakby знаła wszystkie moje grzechy i czekała, żeby wymierzyć mi karę.

Mama przytula się mocno do ojca, zanurza brodę w zagłębieniu jego szyi, a jej piękne ciało przywiera do jego krzywizn. On delikatnie gładzi jej włosy, ale ciało ma sztywne, wyprostowane, jakby traktował ją z rezerwą. Po chwili odwraca głowę w moim kierunku i delikatnie się uśmiecha, kręcąc głową, dając mi do zrozumienia, że matka nie ma racji. Że to wariatka. A ja patrzę na błędzące po jego ciele matczyne ręce i dobrze wiem, że ona nie zasługuje na to, aby go dotykać.

– Co wtedy czujesz, Laura?

Czuję złość. Czuję niezrozumienie, które towarzyszy mi od tak dawna.

– Wściekłość.

– Dlaczego?

– Bo ona na to nie zasługuje. Nie zasługuje na to, żeby ją kochać. Ona jest złym człowiekiem.

– Powiedz mi, jak radzisz sobie wtedy z tą wściekłością, która tobą targa?

– Nie radzę sobie.

– A jak chciałabyś sobie poradzić?

– Przecież wiesz.

Ojciec porusza się delikatnie w fotelu, zakłada nogę na nogę i mocno ściska w palcach długopis. Z pewnością chce zapisać

słowo w słowo, co teraz powiem. Mimo że nasze sesje są nagrywane, on zawsze lubi mieć ze sobą notes.

– Chcę, żebyś mi powiedziała.

– Tato, nie potrafię tego opisać, to nie ma sensu, to głupie. Nie umiem tego wytłumaczyć, nie wiem, nie rozumiem, skąd to się bierze w mojej głowie...

– Laura – przerywa mi. – Nie chcę, żebyś tłumaczyła mi i racjonalizowała to, co dzieje się w twojej głowie. Chcę, żebyś opisała wszystko, co w niej siedzi, powiedziała wszystko, co czujesz i to ja zajmę się znalezieniem przyczyny i logiki w tym, co mówisz. Spróbuj sobie przypomnieć ostatnią sytuację, która sprawiła, że znowu miałas ochotę to zrobić.

Wiercę się przez chwilę w fotelu, mój oddech przyspiesza i znowu czuję ten ucisk w piersi, który towarzyszy mi tak często, odkąd tylko pamiętam.

Miałam ulubionego koguta.

Miał na imię Rumcajs. Nie mam pojęcia, czemu go tak lubiłam, bo wszyscy inni go nienawidzili – był bardzo głośny, agresywny, stanowił postrach wszystkich dzieci z okolicy, i mimo że ja też się go bałam i często przed nim uciekałam, to w dziwny sposób to lubiłam. Miałam wrażenie, że on się ze mną bawił, przekomarzał – trochę mnie straszył, ale to wszystko było elementem zabawy.

– Nienawidzę tego twojego głupiego koguta – powtarzał mój brat. – Mam nadzieję, że w końcu lisy go zaduszą i zdechnie.

– Przestań tak mówić! – wściekałam się, obrażałam i tego dnia już się z nim nie bawiłam.

Pewnego dnia chłopcy wpadli do salonu i przeszkodzili mi w oglądaniu telewizji.

– Rumcajs zdechł, Rumcajs zdechł, Laura! – krzyczeli i śmiali się. – Wujek go przejechał na podjeździe! Została z niego mokra plama i pełno piór!

Serce podeszło mi do gardła, podniosłam się z podłogi i wybiegłam na podwórze. Faktycznie, ciało koguta nie przypominało już żywej postaci. Rozjechane truchło ze zmiążdżonymi narządami na wierzchu, powyciąganymi flakami, a wokół niego rozbryźnięta krew. W całości zachował się tylko dziób, odłamany od zmiążdżonej głowy.

Wpatrywałam się w ten tragiczny widok, nie mrugając, podczas gdy chłopcy śmiali się i wykonywali jakiś dziki taniec zwycięstwa niczym Indianie.

– Powiedz po kolei, co działo się w twojej głowie.

Wiercę się w fotelu, zakładam dłonie na piersi i wsuwam je pod pachy, bo zrobiło mi się nagle bardzo zimno.

Na początku nie wierzyłam, że to się stało. Wpatrywałam się w ten makabryczny obrazek, wwiercałam w niego oczy, żeby to pomogło mi uświadomić sobie, że już nigdy nie będę się bawić z Rumcajsem. Później powoli zaczynała we mnie przepływać złość za to, że tak się stało, że ten cholerny wujek, którego od zawsze nienawidziłam, był tak nieuważny, że zabił moje zwierzę, bo Rumcajs był moim zwierzątkiem, moim kolegą, z którym się bawiłam. Głupie okrzyki i śmiechy braci sprawiały, że zaczęłam coraz szybciej oddychać, moje ramiona szybko unosiły się i opadały, oczy zaszły mi dziwną mgłą i poczułam, że za chwilę pęknę... Za chwilę z trzaskiem pęknę na pół, za chwilę zacznę wrzeszczeć, ile sił w płucach, aż zerwę struny głosowe, bo tylko tak będę w stanie uwolnić te szargające mną uczucia, bo inaczej umrę.

– Laura, to ja poprosiłem wujka, żeby go przejechał. – Podchodzi do mnie starszy brat. – Powiedziałem mu, że go nienawidzę i że mnie dziobie. Dlatego wujek go przejechał.

Spoglądam na niego i widzę szeroki uśmiech na jego twarzy, gdy powtarza, co przed chwilą powiedział, a sekundę później zaczyna się śmiać.

I wiem, że wściekłość zaraz rozerwie mnie na pół, więc robię wszystko, żeby tak się nie stało.

Bo ja muszę to powstrzymać.

Na chwilę przestaję słyszeć jakikolwiek dźwięk, jakby świat spowiała martwa cisza albo jak gdyby właśnie popękały mi bębni. Stoję na tafli spokojnego oceanu, który nie czuje ciężaru swego milczenia. I ja też go nie czuję. Wdycham słony zapach, rozkładam ręce i myślę, że przez chwilę, tę krótką chwilę, świat zależy ode mnie. I że jest pewna zależność, pewien porządek, który musi być zachowany. I zależy ode mnie.

Otwieram oczy.

Widzę przed sobą tylko mojego młodszego brata, reszta spowita jest kompletną szarością, jakby za mgłą.

A on cały czas się śmieje.

Podbiegam szybko do Michała i popycham go z całej siły tak, że upada, a jego ciało aż odbija się od podjazdu. Rzucam się na niego z impetem, nie zważając na to, że ranię sobie zwirem kolana i łokcie, siadam na nim okrakiem i zaczynam go uderzać pięściami na oślep.

Michał z początku nie zareagował, zapewne był zaskoczony. Nie spodziewał się tak gwałtownego ataku. Po chwili próbuje obronić się przed ciosami, zrzucić mnie, ale nie daje rady. Dostałam w twarz, aż zrobiło mi się ciemno przed oczami. Poczulałam wilgoć

pod nosem. Krew obryzgała twarz brata, ale nie byłam pewna, do kogo właściwie należała.

W pewnej chwili drugi z moich braci zaczął krzyczeć i wołać mamę. Rzucił się na mnie i złapał od tyłu, próbując odciągnąć.

– Laura, przestań! Laura, zostaw go!

Nie był silny, więc strząsnęłam go z siebie, jak wchodzącego po nogawce owada, a Michał w końcu wyswobodził się spod mojego ciężaru i wstał. Siedziałam na ziemi i patrzyłam na niego, dysząc ciężko i widząc przerażenie w jego oczach. Odwrócił się, ale dla mnie to nie był koniec. Poderwałam się z kolan, chwyciłam leżący nieopodal kamień, który ledwo mieścił się w mojej pięści i uderzyłam go w tył głowy.

Kain i Abel.

Brat krzyknął i zgarbił się, a ja uderzyłam po raz drugi.

Upadł na kolana.

Podeszłam do niego od przodu i wiedziałam, że muszę go zabić, zrobić coś, żeby go powstrzymać, bo zabrał mi to, co kochałam. Kolejny raz nie mogę na to pozwolić. I jeśli tego nie zrobię, to po prostu pęknię i przestanę istnieć.

Podniosłam rękę i uderzyłam go znowu, nad okiem. I wtedy spojrzał na mnie tym wzrokiem, który widywałam tyle razy później, zanim naciskałam na spust.

Egzekucja.

Świadomość.

Odchodzenie.

Wiedziałam, że podnoszę rękę po raz ostatni, ale nie dane było jej opaść, bo poczułam, że ktoś mocno zaciska dłoń na moim przegubie i odciąga mnie do tyłu.

Mój brat zastygł na klęczkach, krew z rozciętego czoła lała się po jego twarzy. Po prostu klęczał i na mnie patrzył, a ja czułam, jak ogarnia mnie jakiś wewnętrzny, kojący chłód, jakby właśnie przez moje żyły i tętnice przetaczał się potok górskiej wody.

Spojrzałam na ojca, który próbował wyciągnąć kamień z mojej zaciśniętej dłoni, ale nie dawał rady.

– Laura, puść. Wypuść to.

Wyszarpnęłam dłoń z jego uścisku i upuściłam umorusany krwią kamień na ziemię.

Wtedy usłyszałam wrzask i zawodzenie matki, która wypadła z domu i biegła w naszym kierunku. Ojciec obrócił mnie do siebie, szybko zbadał mi głowę i obejrzał dokładnie, po czym podszedł do Michała i zrobił to samo. A on siedział na piętach, nie wydawał z siebie żadnego odgłosu i wpatrywał się we mnie tym dziwnym, nieodgadnionym wzrokiem. Pełnym niekończącego się i niepojętego dla śmiertelników zrozumienia.

Nie mrugał.

Matka dopadła do nich i odepchnęła ojca, lamentując i wzywając Boga. Byli tak bardzo różni... Opanowany ojciec i histeryczna matka, która tylko mu przeszkadzała. Zawsze mu przeszkadzała.

Nam przeszkadzała.

Próbowała przytulić Michała, ale tata ją odepchnął, tak że musiała się podeprzeć o ziemię dłońmi. Gwałtownie szarpnął za jej bluzkę, urywając nierówny fragment materiału. Złożył go i przyłożył do rany na głowie mojego brata, aby zatamować krwawienie.

Matka spojrzała na niego z urazą, a później spojrzała na mnie pełnym nienawiści wzrokiem.

– Ty – zawarczała gardłowo. – Ty to zrobiłaś! Ty pokręcona wariatko!

Rzuciła się w moim kierunku i zaczęła mnie szarpać, okładać po twarzy, popychać. Ale mnie to nawet nie bolało. Była taka słaba.

Ojciec odciągnął ją ode mnie, wstrząsnął nią i powiedział stanowczym głosem:

– Zabierz Michała do domu i zrób mu zimne okłady. Zmyj krew. Później pojedziemy do szpitala.

– Czy ty widziałeś, co ona zrobiła?

Ojciec wstrząsnął matką po raz kolejny i zauważyłam, jak jego palce wpijają się w jej przedramiona.

Mocno.

Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym matka zmalala pod jego spojrzeniem i niemal upadła. Podeszła do Michała, który w dalszym ciągu nie odrywał ode mnie wzroku, przyłożyła materiał do jego czoła i pomogła mu wstać.

Poszli do domu.

Ojciec stał przez chwilę i patrzył przed siebie. Żadne z nas się nie odzywało. Mój młodszy brat, który stał kilka metrów od nas i nie ruszył się z miejsca, od momentu gdy go z siebie zrzuciłam, delikatnie pociągał nosem, ale nie płakał.

Tata przeciągle westchnął i spojrzał na truchło Rumcajsa. Później przeniósł wzrok na mnie i zobaczyłam w jego oczach coś, czego się przestraszyłam. Strach. I bezsilność.

– Nie możesz tego robić, Laura – powiedział cicho, znowu westchnął i powoli odszedł do domu.

Ja, mój braciszek i Rumcajs zostaliśmy sami.

Nie wiem, o czym myślałam. Moją głowę wypełniała pustka, widziałam jedynie wyraźnie obraz przede mną, ale dobrze

zdawałam sobie sprawę z tego, co właśnie się stało. Nie odczuwałam żadnych emocji.

Jakbym nagle stała się pusta w środku.

Podeszłam do ptasiego truchła i usiadłam przy nim, przyglądając się temu, jak bardzo kruche jest ciało i jak łatwo je zniszczyć. Szczególnie tak małe, jak ciało mojego koguta.

To były jeszcze czasy, gdy myślałam, że umrzeć można wyłącznie cieleśnie, zanim dowiedziałam się, że o wiele gorsza jest śmierć emocjonalna.

Po chwili zauważyłam, że podszedł do mnie braciszek i usiadł naprzeciwko mnie. Podniosłam wzrok, choć bardzo bałam się tego, co ujrzę w jego oczach.

Jego twarz była zakurzona, poprzecinana liniami wyznaczonymi przez wcześniej spływające łzy. Milczał przez chwilę, po czym powiedział cicho:

– Przykro mi, Laura. Ja wcale nie chciałem, żeby wujek go przejechał. Prosiłem, żeby tego nie robił.

Przekrzywiłam głowę i uśmiechnęłam się do niego delikatnie, a on odwzajemnił uśmiech. Dotknęłam jego policzka, a on się nie wzdrygnął, tylko wtulił w kształt mojej dłoni.

I już nie czułam się tak pusta w środku, poczułam, jakby było mnie, tam w środku, trochę więcej.

I mimo że ten dzień był tak bardzo zły, to uwielbiam wracać do tego momentu. Bo wtedy uświadomiłam sobie, że braciszek wraz z ojcem mnie rozumieją i byłam im za to wdzięczna.

I wtedy od razu przypomina mi się, że od lat go nie ma. Zawsze wtedy czuję, jak zaciska się moja szczeka i pięści, i cała zaczynam niebezpiecznie drżeć.

Upadać.

Rozdział XII

Powierzchnia wody delikatnie faluje i okropnie cuchnie.

Wyobrażam sobie, że wpatruję się w swoje odbicie, tak bardzo niewyraźne i zniekształcone. Widzę zarys mojej głowy, wystający nos i potargane włosy. W miejscu, w którym są moje oczy, dostrzegam czarne studnie i choć bardzo się staram, nie mogę zobaczyć nic więcej.

Czy to się skończy w taki właśnie sposób?

Zawsze bałam się wody, nigdy nie nauczyłam się pływać. Gdy o tym myślę, to ze wszystkich tych opcji wolałabym się po prostu wykrwawić. Bolałoby tylko na początku, ale potem z każdą chwilą coraz mniej, aż w końcu...

Dłoń zaciska się gwałtownie i mocno na mojej szyi, wpychając ją pod taflę śmierdzącej, brudnej wody. Wiedziałam, że to nastąpi, ale nie sądziłam, że tak szybko.

Nawet nie zdążyłam nabrać na zapas powietrza.

Mimo że jestem tak bardzo zrezygnowana, wyczerpana i głodna, mimo że sądziłam, że nie mam już siły walczyć, odruchy są silniejsze. Zaczynam szarpać się, szamotać, próbować wyrwać się

z silnego uścisku, bardzo dobrze wiedząc, że jestem skazana na porażkę, ale mimo to ciągle próbuję.

Instynkt przetrwania.

Już dawno skończyło mi się powietrze i teraz nadszedł ten moment, kiedy nabieram do płuc wody, mimo że tak bardzo się przed tym wzbraniam, ale nie mam już na to wpływu i wiem, że to koniec. Że nie ma już powrotu.

Przed oczami, jak przyspieszony film, przelatuje mi wszystko to, co zrobiłam, czego nie zrobiłam i co zawsze chciałam zrobić. Myślałam, że będę widzieć ojca, Janka i mojego kota, ale to nie do końca prawda. Pojawiają się tam też twarze moich dawnych przyjaciół; widok zachodzącego słońca nad oceanem, nad który pojechałam kiedyś z wujkiem; czerwień poziomek, które zbierałam w lesie obok domu razem z babcią, gdy jeszcze żyła; pewna staruszka, która lata temu przewróciła się na przejściu dla pieszych, a ja przeszłam obok niej i nie pomogłam jej wstać, bo spieszyłam się na autobus.

I nastaje ciemność.

A ułamek sekundy później pojawia się ból, jakby ktoś wielkim młotem miażdżył mi narządy wewnętrzne i haratał moimi żebrami moje własne serce.

Otwieram oczy i czuję, jak ciśnienie wyrywa ze mnie coś, co musi ujść gardłem. Przechylam głowę i zaczynam wymiotować brudną, zatechłą wodą z zardzewiałej wanny, wymieszaną z metalicznym posmakiem krwi, i nie mam pojęcia, skąd dokładnie ona pochodzi.

Zanoszę się dzikim kaszlem, czując, jak rozrywa się moje wnętrze, jak cała klatka piersiowa pali żywym ogniem. Mam

wrażenie, że mijają lata, zanim mój oddech się uspokaja, a ja przestaję wymiotować przez przepalone kwasami gardło.

I właśnie wtedy zdaję sobie sprawę, że on jest obok mnie, siedzi na podłodze i mi się przygląda. Chcę rzucić się do ucieczki, z moich trzewi wydobywa się suchy charkot i próbuję odepchnąć się od podłogi, przesunąć w przeciwnym kierunku, chociaż dobrze wiem, że przecież nie uda mi się uciec.

Mężczyzna się nie porusza, słyszę tylko jego urywany oddech, po czym po chwili wstaje i zbliża się, docierają do mnie odgłosy jego kroków. Próbuję krzyczeć.

Łapie mnie za ramiona i unosi do góry jak szmacianą lalkę, a ja nie jestem w stanie stawić mu najmniejszego oporu, mimo że tak bardzo się staram i bardzo tego chcę.

Rzuca mnie na łóżko i zakłada na ręce kajdanki. Przykrywa poszarpanym, starym kocem, mimo że jestem cała mokra i nie dam rady się dzięki temu ogrzać. Dotyka mojej lewej ręki i przez chwilę ją ściska, a ja czuję paskudny ból.

Prowizoryczne szwy, które założył mi nieudolnie na żywca na nadgarstki, a które uprzednio podciął, musiały się zerwać albo coś innego stało się z raną, bo znowu cieknie z niej krew. Dopiero teraz czuję, jak bardzo mnie boli. Oprawca oddala się, ale po chwili wraca i zajmuje się moją ręką.

Zaciskam zęby.

Kilka razy próbowałam przypomnieć sobie cokolwiek z tego wieczoru, gdy mnie porwał. Chciałam znaleźć w swojej głowie jakieś charakterystyczne cechy, które mogłam widzieć przez ułamek sekundy, a w strachu mój mózg tego nie zarejestrował. Spróbować przypomnieć sobie jego głos, bo usilnie wierzę, że nie mogę być przypadkową ofiarą, że musiał mnie wcześniej znać,

obserwować, poznawać moje zwyczaje, a ja zapewne niejednokrotnie go widziałam.

Jak bardzo byłoby to beznadziejne, gdybym była tą przypadkową ofiarą? Gdybym tylko po prostu znalazła się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie, ponieważ spóźniłam się na autobus albo zagadała mnie na ulicy koleżanka, bo zapomniałam kupić czegoś w sklepie i musiałam wyjść z domu jeszcze raz... Te drobne, pozornie niezwiązane ze sobą rzeczy, jak walące się z hukiem jedna po drugiej kostki domina, doprowadziły do tego, że właśnie tamtego dnia, to właśnie ja szłam tamtą drogą i to wtedy mnie zobaczył, i postanowił zabrać?

Wtedy oznaczałoby, że to wszystko moja wina.

Moja wina.

Bo to ja podjęłam te wszystkie decyzje, nie znając ich wagi, i to przeze mnie umrę tutaj, pod ziemią, zabita przez skrzywionego człowieka.

Przypominam sobie moment, gdy mnie złapał i jak go zapamiętałam.

Jest nie za wysoki, szczupły, ma ładne, delikatne dłonie z czystymi, równo przyciętymi paznokciami, niemające żadnych znamion czy pieprzyków. Z jego wyglądu zapamiętałam tylko dłonie. To dłonie mnie napadły, to dłonie mnie porwały. Później była tylko ciemność. Jego głos jest głęboki i niski. Czasami mam wrażenie, że go moduluje, ale raz na jakiś czas, po każdej próbie zabicia mnie, mówi swoim własnym głosem, który jest trochę nosowy, jakby miał alergię.

Z mojego gardła kolejny raz wyrywa się charczenie, gdy mężczyzna opatruje mi rękę. Odchyła koc i nim się spostrzegam,

wbija w moje udo strzykawkę, a po chwili drugą. Kiedyś się ich bałam i krzyczałam, ale teraz już nie mam na to siły.

Przykrywa mnie znowu kocem, zaczyna gładzić po głowie i milczy. Po chwili pochyla się i całuje moje czoło, jak za każdym razem po tym, gdy przywraca mnie do życia.

– Uratowałem cię – mruczy cicho. – Tym razem cię uratowałem. Nigdy nie pozwoliłbym na to, żebyś się utopiła.

Nigdy nie pozwoliłbym na to, abyś się wykrwawiła.

Nigdy nie pozwoliłbym na to, abyś się otruła.

Milczy przez chwilę, po czym łapie moje włosy i zaczyna zaplatać z nich warkocz, czego nie jestem w stanie zrozumieć, bo odnoszę wrażenie, że na głowie po takim czasie mam wyłącznie niemożliwy do rozplątania kołtun.

Próbuję jeszcze raz, tak jak za każdym razem po tych próbach, i wiem, że moje prośby nic nie przyniosą.

– Proszę, wypuść mnie. Obiecuję, że nikomu nie powiem. Błagam, daj mi żyć!

Mężczyzna nie przestaje poruszać pasmami moich włosów i mówi cicho:

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Musisz dać się zakopać.

– Ale ja wcale nie chcę dać się zakopać – charczę. – Ja chcę przeżyć, chcę być zakopana dopiero, jak będę starą, pomarszczoną babą, która padnie na zawał przez wpięprzanie całe życie fast foodów, rozumiesz?

Nie wiedziałam, że to jeszcze możliwe, że mam siłę, aby płakać.

– Nie. Przykro mi. Nie po to cię tu przywiozłem. Musisz dać się zakopać. Ale zanim to nastąpi, przed nami kolejna próba. I tej boję się najbardziej.

Jego dłonie przestają się poruszać, po chwili puszcza moje włosy. Milczymy oboje, a ja czuję, jak moja klatka piersiowa unosi się i opada coraz szybciej i szybciej.

A on wie, o co chcę zapytać i uwalnia mnie od ciężaru tego pytania, odpowiadając, zanim będę zmuszona zadać je na głos:

– Przy następnej próbie one wszystkie umierają. Nie wiem, czemu tak się dzieje. Za każdym razem staram się coraz bardziej, lepiej się przygotowuję, a mimo to one zawsze umierają. A nie powinny. Przecież muszę je uratować, żeby się z nimi pożegnać, zanim umrą ostatni raz, gdy je zakopię!

Odsuwa się ode mnie i wychodzi z pomieszczenia, zatrzaskując za sobą drzwi.

A ja, mimo że już dawno temu zrozumiałam, że w końcu tutaj umrę, to teraz to stało się tak realne, jak ten ból, który czuję w moich nadgarstkach, piersiach i głowie.

Przeraza mnie myśl, z którą do tej pory jeszcze się nie mierzyłam, która nigdy wcześniej nie przyszła mi do głowy – że ja nie byłam pierwsza.

I najpewniej nie będę też ostatnia.

Rozdział XIII

Manifest 1/3

Znieczulica jest najgorszą chorobą XXI wieku.

Pasożytem toczącym śmierdzące śmiercią rany, które nie dadzą się odkazić naszymi wyrzutami sumienia.

Doszliśmy tak daleko, a zarazem tak blisko, chwilę poza horyzont, a mimo to słońce oślepiło nas tak bardzo, że upadliśmy na kolana.

Dotknęliśmy tej niegdyś nieosiągalnej granicy i wbrew temu brniemy dalej, rozpychamy się łokciami w świecie, w którym za mało mamy czasu, za mało przestrzeni, za mało pieniędzy, za mało miłości, za mało...

Uderzamy łokciami o niewidzialną barierę.

Nie doceniamy przestrzeni, której nigdy nie mieliśmy prawa osiągnąć, a mimo to właśnie to zrobiliśmy.

Latamy w Kosmos, chcemy zasiedlać Marsa, nazwaliśmy i podporządkowaliśmy sobie wszystkie białe miejsca na mapie.

Jesteśmy najbardziej niebezpiecznym i najbardziej inwazyjnym gatunkiem na tej planecie.

Klonujemy się, kochamy, rozmnażamy, zapładniamy pozaustrojowo, trzymamy palce na przyciskach, od których może w chwilę wyparować pół globu, kupujemy torebki i zegarki za kwoty, które mogłyby utrzymać przez rok kilka wielodzietnych rodzin, bo możemy.

Zniszczyliśmy naszą planetę, a teraz chcemy ją symbolicznie ratować elektrycznymi samochodami, udając, że wcale nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jest już na to za późno, a nasze dzieci umrą od gorąca.

Jesteśmy tak inteligentni i tak rozwinięci, a mimo to mijamy się na ulicach, ocieramy o siebie w zatłoczonym autobusie czy metrze, zapatrzeni w telefony, zaprzątnięci swoimi problemami, nie zauważamy tych, którzy umierają właśnie obok nas, nie zważamy na to, że obok jest drugi człowiek potrzebujący pomocy.

Znieczulica to największy pasożyt naszej cywilizacji.

Pochylamy głowy i robimy smutną minę, patrząc na filmy dokumentalne z krajów trzeciego świata, gdzie z głodu i z powodu chorób, powszechnie uznanych za uleczalne, umierają setki tysięcy ludzi rocznie.

Gdzie szkielety pokryte ciemną skórą umierają na skraju drogi, podczas gdy ja wyrzucam do kosza spleśniały chleb.

Myślimy sobie: a co ja mogę zrobić? To przecież tak daleko. I wracamy do swojego życia, w którym nie pakujemy nosa w cudze sprawy. W którym to właśnie koniec naszego nosa jest najważniejszy i odgradza nas od upadku.

Uważamy, że tylko tam, w trzecim świecie nazwanym przez nas i opisywanym jako oddzielna kraina, jest coś, co nas po części

dotyczy, co kiedyś przed setkami lat nas dotyczyło i oddaliśmy to od siebie tak bardzo, jak tylko możemy, bo tak naprawdę nie chcemy tak żyć. Chcemy udawać, że to się nie dzieje, że tego nie widzimy i że nigdy nie upadniemy.

Mocno umierając na ciemnej ziemi, czując w nozdrzach jej wierzący zapach, zanim jeszcze kiedykolwiek myśleliśmy, aby mieć czas, by odetchnąć pełną piersią.

Bo właśnie to chroni nas od upadku.

Wyparcie i iluzja.

Odcinamy się od austriackiego malarza, który nigdy nie pogodził się ze śmiercią swojej matki. Który zabił tysiące i miliony. I na tej matczynej zemście zmienił historię świata na wieki wieków.

Nie chcemy widzieć tych zdjęć z czasów rządów Leopolda II, który do dziś ma tyle pomników. Który kazał odcinać niewolnikom dłonie za każde ich nieposłuszeństwo i próbę życia.

Kalekom patrzącym wprost w obiektyw.

Kalekom, które wcale nie chciały obalać twojego pomnika, tylko żyć w spokoju, a mimo to zabrałeś im przedramiona żnące zboże, z jakiego później ich matki powinny piec chleb.

Nie chcemy słuchać o dzieciach, których ciała żyźniły kościelną ziemię, zabitych przez ludzi, którzy działali w imię Boga.

Czy słyszymy trzask własnego upadku?

Czy nasz kręgosłup łamie się podczas skoku cywilizacji?

Czyż nie chcemy widzieć gwałtownie i mocno uniesionej ku niebu, umorusanej we krwi, zaciśniętej dłoni? My przecież po prostu nie chcemy umierać, nieważne kim jesteśmy i skąd pochodzimy.

Nie chcemy tego widzieć, ale ja widzę i czuję to tak bardzo. Całym sobą.

Jest XXI wiek, a ja nie wiem, czy czcimy morderców, czy wybawionych.

Dzisiejszy świat, w którym splukujemy brudne zęby i brudne ręce hektolitrami wody, nie zastanawiając się nad tym, że po drugiej stronie planety ludzie umierają z pragnienia. W którym kupujemy za dużo jedzenia, za dużo owoców i warzyw na promocji, których i tak ostatecznie nie jemy, tylko wyrzucamy do śmieci. W którym anoreksja i bulimia to choroby cywilizacyjne, podczas gdy tamte dzieci zabiłyby za jedzenie, które połykamy i którym wymiotujemy, aby przeżyć kolejny dzień.

Popyt nakręca podaż.

I to ja, tak samo jak ty, jesteśmy odpowiedzialni za dzieci szyjące nasze dzinsy w Chinach, aby tylko ich rodzina była w stanie kupić raz na tydzień bochenek czerstwego chleba.

Przeglądamy się w lustrach, dotykając ozdób ze złota, nie zdając sobie sprawy, że przez nie rodzą się upośledzone, skazane na śmierć dzieci, żyjące w wioskach przy kopalniach, z których to złoto pochodzi. Napromieniowane dzieci.

Jak to jest, że jesteśmy tak bardzo rozwinięci, a nie widzimy krzywdy drugiego człowieka? Czemu mijasz leżącą na ziemi kobietę, zakładając, że to narkomanka albo pijaczka? Czemu mijasz zziębniętego chłopca wałęsającego się po ulicy późną porą, bez żadnych opiekunów? Czemu nie reagujesz, kiedy twój sąsiad topi w rzece kocięta, bo nie są mu do niczego potrzebne, a do najbliższego schroniska za daleka droga? Czemu nie zatrzymasz się na chwilę, aby kupić za grosze ręcznie zebrane bukietki kwiatów przez emerytkę, która nie może związać koniec

z końcem? Czemu mijasz starszego pana o kulach, który stoi przy targowisku z kartką, na której ma napisane: „Zbieram na jedzenie”? Jeżeli nie możesz mu pomóc, czemu choć chwilę z nim nie porozmawiasz, nie dasz mu odczuć, że wcale nie jest niewidzialny? Że wcale się nim nie brzydzisz i go nie potępiasz?

Chłopiec z zapalkami.

Czyż nie jest to upadek ludzkości, upadek cywilizacji?

Bo tym właśnie była cywilizacja – opatrunkiem na nodze pracłowieka. Niepozwalającym mu ot tak umrzeć.

Ciepło dłoni na sączącej się ranie.

Tym właśnie była cywilizacja.

Rozdział XIV

– Wybierasz się gdzieś? – pyta Dorian, spoglądając na moją małą walizkę na kółkach, co sprawia, że tak właściwie jest to retoryczne pytanie.

– Tak – odpowiadam krótko. Nie widzę potrzeby wdawania się w szczegóły.

– Uciekasz przede mną? – Uśmiecha się lekko.

– Czy myślisz, że gdybym przed tobą uciekała, to przychodziłabym się z tobą tu spotkać?

– Ale jesteś ostra babka.

Nawet nie chcę myśleć o tym, ile nieścisłości i szczeniactwa było w tym komentarzu.

– Możemy przejść do rzeczy?

Dorian wyciąga butelkę z wodą z leżącej na drewnianym stole torby i pociąga kilka łyków. Spoglądam ponad jego głowę na dzieci bawiące się na placu zabaw, które śmieją się cały czas i drą wniebogłosy.

– Mówiłaś, że weszłaś na moją stronę i przeczytałaś kilka artykułów. Również ten o sobie.

Wciągam powietrze, gwałtownie odtwarzając w pamięci wszystko, co napisał o mnie Dorian. Przeglądając wszystkie zdjęcia ze mną w roli głównej, które można było znaleźć w prasie i Internecie oraz takie, które nie mam pojęcia skąd wziął. Jak te z obdukcji.

Kilka dni zabierałam się do przeczytania tego, co tam zamieścił. Nie sądziłam, że to będzie takie trudne. Przecież wszystko już się wydarzyło, a ja obiecałam sobie, że nigdy więcej, przenigdy nie dam się nikomu uwięzić.

Dam się prędzej zabić, ale już nigdy nie dam się uwięzić.

Zamykam oczy i w milczeniu wracam do zdjęć z obdukcji, których nigdy nie widziałam, ale które zrobiły na mnie największe wrażenie podczas studiowania mojego „przypadku” na stronie Doriana.

Przecież dokładnie pamiętam, centymetr po centymetrze, w jakim byłam stanie i dokładnie wiem, co mi zrobił; pamiętam widok moich poharatanych dłoni i brudną, kiedyś białą, koszulę nocną splamioną krwią z rany na brzuchu i tych wielu innych.

Ale zobaczenie zdjęć teraz, po latach, zobaczenie ich z perspektywy obserwatora, to było coś strasznego, na co nie byłam gotowa. Przez tę właśnie chwilę nieuwagi pozwoliłam sobie na coś, czego nauczyłam się unikać przez ten czas – ogromnego, huczącego uczucia uderzającego prosto w moje żebra i sprawiającego, że zwijam się jak pozbawiony wody kwiat.

Jak, patrząc na mnie od góry do dołu, mogli mi nie uwierzyć?

Jak?

Ile w nich musiało być złej woli?

Czy właśnie tak czują się zgwałcone kobiety? Przychodzą na policję, mówią co im zrobiono, a oni i ONE negują to, co się stało?

Zawsze znajdują „ale”?

Upadłam na podłogę, próbując złapać oddech, ale nie mogłam. Poczułam, że znowu się duszę, że znowu w moje żebra uderza niewidzialny młotek, próbuję krzyczeć, chcę krzyczeć, ale moje gardło jest ściśnięte tak mocno, że ledwo przedostaje się przez nie odrobinka powietrza, a ślina cieknie mi po brodzie. I poczułam, że on tu jest, że on zawsze przy mnie był i już nigdy nie odejdzie – nieważne jak bardzo się staram zapominać o tym, co mi się przydarzyło, jak mnie zmienił i jak mnie skrzywdził, przebił na wylot i zostawił na rozszarpanej tkance i opiłkach złamanych kości swoje fragmenty, które wsiąknęły we mnie głęboko i zakorzeniły się na zawsze, już do końca życia. Tego mojego beznadziejnego, ciemnego, czarnego życia. I mimo że rany się zasklepiły, tkanka odbudowała, kości zrosły, to on pozostał tam na zawsze.

I już nigdy nie odejdzie.

Nagie stopy, łydki i uda były splamione zaschniętą krwią i brudne od ziemi, podrapane przez leśne gałęzie i igliwie.

Poszarpane, białe majtki zakrwawione od miesiączki, ale wiem to tylko ja – bo najbardziej przesiąknięte były krwią z rany w brzuchu, którą zadał mi, zanim złożył mnie w grobie i przysypał ziemią.

Byłam zawiedziona zdjęciem tej rany. Pamiętam bardzo dobrze, jak z impetem wbił w moje ciało ostrze i mimo że spodziewałam się, jak bardzo będzie boleć, nie miało to ostatecznie nic wspólnego z tym bólem, który się pojawił.

Wielokrotnie w życiu czułam ból i zawsze uważałam, że ten psychiczny jest o wiele gorszy niż fizyczny. I myślę, że miałam rację, bo wcześniej nie spotkało mnie to, co się stało. Nigdy

wcześniej bóle fizyczny i psychiczny nie wymieszały się tak gładko, jak ciecz w cieczy, i nie stworzyły wybuchowej mieszanki. Zabójczej mieszanki, która tak dużo mi uświadomiła i tak bardzo mnie przeraziła.

Widziałam w życiu tak wiele, a tak niewiele czułam.

Tylko proste, prymitywne, zwierzęce odruchy. Zabić. Przeżyć.

Przetrwać.

Byłam pewna, że znam się na wskroś, wzdłuż i wszerz. Znam tę skorupę ograniczającą mnie, będącą moim ciałem, i wiem, co chciałabym osiągnąć, zanim zgnije.

Czemu okazało się, że jestem nikim, mimo że tak bardzo wierzyłam, że jest inaczej?

Powinnam wiedzieć, co jest na szali i że moje życie jest zero-jedynkowe: albo ja zabiję i przetrwam, albo ty zabijesz mnie, by przetrwać. I godziłam się z tym, odkąd pamiętam, bo wygrywałam. Aż okazało się, że przegrałam, że nie mam już szansy zawalczyć i że zginę. Moje ciało przestanie drżeć, serce przestanie bić, a gałki oczne poruszać się. Zapadnę się w siebie, a we wszystkie otwory mojego ciała wpełzną robaki, tworząc kolejne, nowe królestwo zapoczątkowane ucztą na przegranych.

Tak jak wpełzały we wszystkie truchła zwierząt, które zabiłam.

Czy ja też miałam wtedy wasze oczy?

Umarł król, niech żyje król.

Huk upadającej na lodzie sarny.

I wtedy właśnie poczułam coś dziwnego. Uczucie, którego wtedy nie mogłam nazwać. A dziś jestem w stanie to zrobić i myślę, że nie czuło go żadne z zabitych przeze mnie stworzeń.

Smutek i żal za tym, czego nie zrobiłam, kiedy jeszcze miałam na to czas. Bo ja zawsze wiedziałam, że wygram, a czasu będę

miała aż nadto.

I świadomość tego zmieniła mnie nie do poznania.

Myślę, że właśnie tego dla mnie chciałeś, ale nigdy nie zdążyłeś mi pomóc. Nigdy nie zdążyłeś mi powiedzieć.

I to wyłącznie moja wina.

I dzisiaj, tak jak wtedy w grobie, słyszę chrzęst łamanego przeze mnie karku.

Tak będzie lepiej.

Przypomniałam sobie wtedy, jak bardzo chciałam zabić mojego brata. Jak zatrzymał mnie ojciec, jak matka patrzyła na mnie jak na osobę, której nigdy nie znała, a która chciała ją zniszczyć.

Pamiętam ten chrzęst, gdy kamień wypadł z mojej ręki i gdy Michał na mnie patrzył, a ja nie mogłam wydobyć z siebie choćby szeptu. A on nie odrywał ode mnie wzroku, mimo że krew zalewała mu oczy. Bo ja wiedziałam, że on powinien zginąć. Nie byłam tylko w stanie stwierdzić dlaczego. Ja po prostu wiedziałam, że mój brat powinien nie żyć.

I on o tym wiedział, próbując się z tym pogodzić wtedy, lata temu, gdy jego świat spłynął czerwienią i już nigdy się nie odbarwił.

Nigdy się nie odbarwił.

Rozdział XV

Papieros przypala delikatną skórę na mojej dolnej wardze.

Przypominam sobie lisa, który zagryzał nasze kury. Pamiętam, jak udało mi się go złapać w pułapkę. Był bardzo piękny. Miał mądre oczy i puszystą, rudą kitę, która wprawiała mnie w zachwyty. Coś pięknego. Wyglądał jak wyjęty z podręczników do nauki przyrody.

Wyniosły, szlachetny, tak bardzo wył i skowyczał, gdy umierał.

Do dziś pamiętam, z jaką mocą zatapiałam ostrze w jego ciele.

Chroniłam to, co uważałam za istotne. I nie bałam się niczego, żeby to osiągnąć, nie miałam żadnych barier. Nie przerażał mnie skowyt ani wrzask. Ani gwałtowny i nieskoordynowany, falowy skurcz jego ciała.

Był piękny, szlachetny, ale musiał zginąć. A ja przez długie minuty czuwałam przy nim, zanim zaznał spokoju, obryzgana krwią, tuląc jego drżące ciało.

Oddycham powoli i przypominam sobie kolejne zdjęcie, które zdobył Dorian.

Włosy były skołtunione i brudne, umorusane ziemią. Trudno było stwierdzić, jaki właściwie miały kolor. Wargi napuchnięte, popękane, niektóre ranki były jeszcze świeże, niektóre już pokryte zaschniętą krwią. Wielki siniec pod prawym okiem, a nos spuchnięty, brudny i zakrwawiony. Na wysokości oczu po prawej i lewej stronie, w nierównych odstępach miałam dwie rany po oderwanej skórze.

Ale najbardziej przeraziły mnie moje oczy i ich wyraz. To nie byłam ja. To był ktoś, kogo już od dawna nie ma, kto umarł tam, pod ziemią.

I mimo że ona i ja mamy takie same wspomnienia, to jesteśmy już kimś innym.

Ja dostałam nowe życie na środku leśnej drogi.

Tej dziewczyny sprzed porwania już nie ma i nigdy nie powróci. I to mnie tak bardzo przeraziło – kim ja tak naprawdę jestem? Kim ja się stałam? Co zostało z tej rozerwanej na strzępy Laury, która nie potrafiła żyć, tak jak chce tego społeczeństwo, która potrafiła żyć, bazując wyłącznie na własnych instynktach? Podążać nimi jak usypaną okruszkami ścieżką w niekończącej się puszczy?

W niekończącej się rozpaczy?

– Widzisz podobieństwa? Czy widzisz je, Laura?

– Nie.

Dorian przewraca oczami.

– Jesteś jak wszyscy policjanci, z którymi dotąd rozmawiałem. Przestań, jesteś mądrzejsza! – wyrzuca z siebie i sięga do torby po laptopa.

Klika przez chwilę, a ja wpatruję się przed siebie. Widzę ruchliwą ulicę, obcych ludzi, przejeżdżające samochody.

Chciałabym wrócić do mojego mieszkania. Za każdym razem, gdy wracam do domu rodzinnego, czuję, że coraz bardziej nie chce mi się żyć.

Jestem intruzem, banitą. Dla mnie tam nie ma już miejsca. Mój pokój został przerobiony na gościnny i właśnie tam sypiałam, gdy wracałam.

Gość we własnym domu. Moje zabawki, elementarze, dyplomy dawno strawił ogień w kominku w salonie.

– Ciebie po prostu nie da się kochać, Laura.

Ostry głos jak echo odbija się w mojej czaszce. Chwytam się prawą dłonią za nasadę nosa i ściskam ją mocno, zamykając oczy, próbując odepchnąć od siebie ten natłok wspomnień i pokonać nadchodzący ból głowy, który zaczyna się zawsze u podstawy czaszki i rozchodzi po całej głowie. Nie potrafię go zatrzymać.

– Minęło bardzo dużo czasu, zanim znalazłem powiązanie – mówi cicho Dorian, wpatrując się we mnie, jak gdyby sprawdzał, czy w ogóle kontaktuję. – Nie wyobrażasz sobie, jak wielkie to było odkrycie. To mi się nie zdarza, mimo że naprawdę robię wszystko, co w mojej mocy. Laura, jesteśmy krok przed nim, rozumiesz? Wiemy, jak działa, co robi. I możemy go zatrzymać.

Słucham go, powoli przyswajam jego słowa i nagle jestem gdzie indziej.

Sarna zastyga w bezruchu na skutym lodem jeziorze, po czym spogląda w moje oczy.

Naciskam spust i słyszę huk, po czym to się dzieje.

Upadek.

– Czemu nic nie mówisz? – Dorian niecierpliwi się, gwałtownie unosi łokcie znad stołu i krzyżuje ramiona.

Nie mrugając, kieruję spojrzenie w jego stronę.

– Bo jak na razie niczym mnie nie przekonałeś.

Chłopak zastyga na kilka sekund, po czym uśmiecha się, podnosi dłoń do twarzy i pociera zamknięte powieki.

– Jezus, Laura, ty nic nie rozumiesz. Jesteś niedoszłą ofiarą seryjnego mordercy, który od lat zabija i będzie zabijał. A ty, ot tak, po prostu to ignorujesz! Jak możesz? Czy tobie naprawdę nie zależy, żeby złapać tego, który ci to zrobił? Czy ty naprawdę jesteś tak bardzo obojętna? Nie rozumiem cię, Laura. Gdyby to mnie ktoś tak skrzywdził, podpisałbym nawet cyrograf, żeby dowiedzieć się, jak go znaleźć. A później zrobiłbym mu dokładnie to samo, krok po kroku, tylko wolniej. I upewniłbym się, że nie żyje, zanim bym go zakopał.

Przez chwilę zastanawiam się, jakby to było. Jak zrobiłabym ci wszystko, co mi uczyniłeś. Jedną rzecz tylko zrobiłabym inaczej. Nie wbiłabym ci noża w podbrzusze, czekając, aż się wykrwawisz.

Poderżnęłabym ci gardło i słuchała charkotu, gdy próbujesz nabrać powietrza. Nie odrywając od ciebie spojrzenia, uśmiechałabym się lekko. I patrzyłabym ci głęboko w oczy, gdy się dusisz, aż w końcu by zastygły, a ty umarłbyś ze mną i moim spojrzeniem.

Zabijasz samą siebie, prawda, Laura?

– Przecież nie było żadnego porywacza – mówię cicho, a moje gardło owija się kolczastym drutem. Spoglądam na wprost, na spieszących wokół ludzi.

Spieszących do swego normalnego życia: wychodzę z pracy o piątej. Idę odebrać dziecko od opiekunki, młodej dziewczyny, z którą, mam nadzieję, nie sypia mój mąż. Po powrocie do domu karmię dziecko, kąpię je, po czym usypiam. Gdy delikatnie posapuje przez sen, przyglądam się mu i nagle czuję ciężką dłoń

na ramieniu i mokry oddech w uchu. Po chwili odczuwam zatapiające się, rozrywające mnie usta, ciepło cudzego ciała i wydany przez zaciśnięte szczęki wrzask.

Otwieram oczy, spoglądam na Doriana i po raz kolejny uzmysławiam sobie, że to coś, czego nigdy nie będę mieć.

Rodziny. Męża, dzieci.

Tej lekkości bytu, gdy wydałabym na świat nowe życie. Tego ciepła i prądu przepływającego przez moje ciało, zwanego zakochaniem. Nigdy nie było i nie będzie mi to dane.

Przez głośniki zapowiadają mój pociąg – podjeżdża na peron czwarty, tor drugi.

Bez słowa podnoszę się, zabieram torebkę, szalik i walizkę, po czym odwracam się do chłopaka w kawowym płaszczu.

Przyglądam mu się przez chwilę, biorę głęboki wdech i wydycham powietrze, opuszczając gwałtownie ramiona i mówię:

– To się nie uda. Przykro mi.

Odwracam się od niego, zanim zawód w jego oczach przyciśnie mnie do podłogi.

– Laura, proszę cię!

Rusza w moim kierunku i łapie mnie za rękaw płaszcza.

Odwracam się do niego, wyrywając materiał spomiędzy jego palców. Spoglądam mu w oczy i znowu widzę to, co tak bardzo mi zaimponowało kilka dni temu.

Bo jest to coś, co straciłam.

Zacięcie.

Obracam się gwałtownie i szybkim krokiem podążam na docelowy peron. Słyszę, jak on kroczy za mną, ale nic nie mówi. Uciekam przed nim, próbując udawać, że wcale nie ma we mnie

pustki. Że nie ma we mnie już tego głodu. Tego głodu, przez który, odkąd pamiętam, drży całe moje ciało.

Docieram na peron i chcę wejść po wąskich, żelaznych stopniach do wnętrza pociągu, gdy mnie dopadasz, łapiesz za rękę, choć wcale nie próbujesz zawrócić. Tylko na chwilę zatrzymać.

Chwytam się poręczy wagonu i odwracam się do ciebie, tonąc w twoich pięknych oczach.

– Laura! – krzyczy, a jego wzrok zatrzymuje się na moich tęczęwkach, topiąc je. – On tego nie przewidział. On o tym zapomniał. Popęłnił błąd!

Słyszę gwizd konduktora, wyszarpuję ramię z szalonego uścisku, ale nie idę dalej. Odwracam się do Doriany, upuszczam na podłogę walizkę i patrzę, jak automatyczne drzwi zamykają się, odgradzając nas od siebie niczym wrota zaświatów.

– O czym zapomniał?! – krzyczę, czując, że zaraz upadnę, jeśli nie uzyskam odpowiedzi.

I mimo że słyszę tylko ruszającą lokomotywę, ogłoszenie o zniżkach na piwo w wagonie restauracyjnym, kłótnie pasażerów o miejsce w przedziale, widzę ruch twoich ust i wiem, że mówisz do mnie.

Przykładam jedną dłoń do brudnej szyby, a ty przykładasz dłoń z drugiej strony.

Pociąg rusza, a nasze spojrzenia się spotykają.

Biegniesz powoli, coraz szybciej, nie odrywając ode mnie wzroku, dotykasz dłonią lewej skroni i tam ją zostawiasz.

Do oczu napływają mi łzy, po czym robię dokładnie to samo i cicho szlocham.

Pod palcami czuję bliznę i widzę, jak zatrzymujesz się na chwilę, zanim wpadam w ciemny tunel.

Rozdział XVI

Czyste niebo poszarpane przez wysokie sosny świetnie współgra z rześkim zapachem poranka.

To idealny dzień na śmierć.

Ale po chwili to świeże powietrze zostaje zdominowane przez zapach wilgotnej ziemi. Spod w półprzymkniętych powiek widzę zamazaną, poruszającą się plamę, ale nie jestem w stanie przekrzywić głowy ani otworzyć szerzej oczu, żeby jej się przyjrzeć. A właściwie po co miałabym to robić?

Jest mi bardzo zimno, ale chłód staje mi się obojętny. Na drzewie nieopodal siedzi dzięcioł, wyraźnie słyszę jego zacięte uderzania w twardą korę.

Powieki opadają coraz bardziej.

I nagle pojawiają się koło mnie oni wszyscy. Nie chce mi się wierzyć, że byłam w stanie ich spamiętać.

Puszysty lis obserwuje mnie, delikatnie i powoli poruszając rudą kitą, jakby szykował się do skoku. Niemalże słyszę, jak przecina powietrze.

Obok niego stoi sarna. Wpatruje się we mnie oczami, które często widziałam w snach. Jej brzuch jest rozerwany, wypadają z niego wnętrzności i cieknie krew, którą zlizuje koziołek. Nawet na mnie nie spogląda. Widzę, że jego głowa jest przekrzywiona pod dziwnym kątem.

Jest i Rumcajs, który wybiega z zaświatów i pieje mocno z całej piersi.

Jest i ojciec, upadający przez tak wiele przestrzeni, zatrzymujący się powoli na każdej z nich, aż roztrzaskuje się obok mnie. Patrząc w jego jasne, zastygłe oczy i prawie dotykamy się nosami.

Jest ich wszystkich tak dużo, że zlewają się w ciemną, falującą masę.

Zastanawiam się, czy to za każdym razem wygląda tak pięknie, daje tak wiele nieokiełznanego komfortu. Jak powrót do domu. Oddalonego, przytulnego, ciepłego domu.

Ojciec porusza się, zanurza dłonie w mokrej ziemi i po chwili chwytając mnie za rękę. Gdybym miała choć odrobinę siły, to na pewno bym ją uścisnęła. Ale nie muszę, bo on to robi, mimo że wiem, że nie żyje.

Mój kręgosłup powoli opada, wpasowuje swoje krzywizny w wilgotną glebę i czuję się prawie jak w łóżku.

Po chwili zaczynają zasypywać mnie grudki ziemi, wrzynając się boleśnie w moje ciało i ciężąc mi coraz bardziej. Niektóre lądują na twarzy, a ja ani drgnę. Myślę, że powinnam zamknąć oczy, ale nie mogę, muszę patrzeć i pochłaniać widok nieba tak długo, jak to będzie możliwe, bo wiem, że już nigdy więcej go nie ujrzę.

Nagle powietrze przeszywa strzał, a ziemia przestaje na mnie spadać.

Bardzo ciężko mi się oddycha.

Nie wiem, ile czasu tak leżymy, ale zrobiło się ciemno. Albo to ziemia wpadła mi pod powieki i już nigdy nic nie zobaczę. Niewiele czuję, ból w podbrzuszu też chyba odpuścił. Zdrętwiały mi stopy i dłonie. Staram się nimi poruszać, ale nieudolnie.

– Zimno mi, tato.

Czy ja naprawdę wyszeptałam te słowa? Czy naprawdę miałam na to siłę? A jednak tak się chyba stało, bo czuję, jak do ust wpada mi ziemia.

Nagle ojciec się porusza. Widzę go. Wstaje powoli, otrzepując z siebie ciemne grudki i wyciąga do mnie dłoń.

– Wychodzimy, kochana. – Uśmiecha się delikatnie. – Odetchnijmy świeżym powietrzem.

Podrywam się do góry, jakby przeszył mnie prąd, strząsając z siebie resztki ziemi i chwytając odruchowo za ranę w boku. Mój oddech przyspiesza, robi mi się niedobrze. Wymiotuję, kręci mi się w głowie. Przypominam sobie błyskającą w płomieniu świecy strzykawkę, którą wbił w moje ciało chwilę po tym, jak wyciągnął nóż.

Po czym obudziłam się tutaj.

Muszę stąd uciekać, tato.

Dzięki tobie jestem tak bardzo wolna, jak nigdy wcześniej nie byłam i nigdy nie będę.

Rozdział XVII

Oddycham świeżym, górskim powietrzem, które uwielbiam. Jest boskie, zarezerwowane tylko dla bogatych szaleńców. Spoglądam w milczeniu na piękny pejzaż i myślę o tym, jak bardzo chciałabym choć chwilę, kilka minut, pospacerować góorskimi ścieżkami, poszukać żyjącej tam zwierzyny.

A może właśnie dlatego mam taki widok? Żeby widzieć coś pięknego, żeby chcieć tam dotrzeć, a nie móc tego zrobić ze względu na decyzje, które podjęłam? Ścieżkę, którą podążylam? Czy to choć trochę ma sprawić, że zacznę żałować?

– Dlaczego chciałaś to zrobić?

Mokry mop upada na brudną posadzkę.

Starszy ode mnie chłopak, którego widuję tu dość często, a z którym nigdy nie rozmawiałam, macha ramionami od prawej do lewej strony, sprawnie wycierając podłogę z błota naniesionego dziś przez wizytujących, podczas gdy ja cały dzień, sama, obserwowałam zmieniający barwy górski widok, poszatkwany kratami, przez które nie mogę wyjść.

Skoczyć.

– Kiedyś uciekały. Udawało im się. Potem spadały z urwiska.
Zastygam na chwilę.

– Dawno temu.

Odwracam się. Chłopak w dalszym ciągu myje podłogę, ale jest już daleko ode mnie. Chcę do niego podejść, jednak mam wrażenie, że nie jestem w stanie odkleić się od jakby wrośniętych w moje ciało krat.

– Hej!

Chłopak nie odpowiada, skupiony na swojej robocie. Z ogromnym wysiłkiem puszczam kraty, zeskakuję z parapetu i zatrzymuję się. Zakręciło mi się w głowie i musiałam na chwilę oprzeć się o stojące obok krzesło. Nic dziwnego, skoro jestem nafaszerowana taką ilością leków.

Czy ten chłopak jest w ogóle prawdziwy?

Biorę kilka głębokich oddechów i ruszam w jego kierunku, trzymając się ściany. Widzę już wyraźnie, ale zawroty głowy pojawiają się znienacka, więc muszę być przygotowana.

– Hej, słyszysz mnie?

Chłopak zaczyna rozumieć, że raczej nie uniknie konfrontacji, podnosi głowę i na mnie zerka. Choć widywałam go już tutaj, to nigdy tak naprawdę mu się nie przyglądałam. Ma bardzo ładne, niebieskie oczy o takiej samej, wyjątkowej barwie, jaką miał mój ojciec. Czuję, jak ściska mi się serce.

Mają przestraszony wyraz, jak gdyby chłopak wiedział, że zrobił coś złego i nie był pewien, czy za chwilę nie zostanie ukarany. Są piękne. Zdaje się, że mogłabym zajrzeć przez nie do jego wnętrza, zobaczyć duszę.

Jego włosy są ciemne, gęste, ale w ogromnym nieładzie, nierówno podcięte, jak gdyby nigdy nie widział fryzjera. Jest

wyższy ode mnie i chudy, ale ma silne, mocne dłonie i ramiona. Podnosi głowę i zatrzymuje się.

Wpatruję się w niego w ciszy i nagle ogarnia mnie dziwne uczucie, którego wcześniej nie znałam – że ja nie tylko na kogoś patrzę. Ja go WIDZĘ. A gdy się odzywa, czuję, jakby trzęsła się ziemia i mocno opieram się o ścianę.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Świat się załamuje, buczy jak zepsuty gramofon, odchyłam się i spadam w przepaść, wiedząc, że powinnam umrzeć. Czuję ciepłe palce na moich plecach, dłoniach i twarzy, a oczy mam zamknięte. Przez moje ciało przechodzi dreszcz.

Otwieram oczy, zanim zatopię się w ciemności. Spoglądam w twoje jasne źrenice, próbując zatrzymać wirujący wokół świat.

I to właśnie się dzieje – zatrzymuję się, słysząc za sobą odgłos oddalającego się, dudniącego upadku. Zrobiłabym dla ciebie wszystko, choć nie powinnam. Wiem, że to zdaje się złe, ale przecież nie jest, ojczy! Oni nie rozumieją i nigdy nie zrozumieją... Gdziekolwiek idę, cokolwiek robię, zostawiam za sobą spustoszenie. Wszyscy to wiedzą, wszyscy to widzą, nikt nie rozumie... Wszyscy się ode mnie odwracają... oprócz ciebie.

– Laura, do cholery! – Słyszę twój wrzask i czuję twoje ręce zaciśnięte na moich mokrych nadgarstkach. – Widzisz, co zrobiłaś?! – krzyczy i wiem, że wcale nie krzyczy do mnie.

Ocknęłam się, siedząc na podłodze, z wysuniętymi przed siebie rękoma chroniącymi mnie przed upadkiem. Chłopak ściska mocno moje ramię, wpatrując się we mnie z niepokojem.

– Słyszysz mnie? Zawołać kogoś?

Moje serce powoli się uspokaja, przestaje dyszeć, unoszę się delikatnie, dotykając owiniętych elastyczną opaską nadgarstków,

jakby tylko ten odruch trzymał mnie w rzeczywistości.

– Zrobiłam to, bo nie miałam wyboru.

Chłopak bierze głęboki wdech i marszczy brwi, jakby nie rozumiejąc, o czym mówię.

– Pytałeś, dlaczego to zrobiłam.

Jak w przyspieszonym tempie przed moimi oczami przelatują obrazki – Michał, chłopak, którego imienia nawet nie znałam, i ta dziewczynka, na którą tak bardzo był zły ojciec. Braciszek.

Pochyliłam się do chłopaka i mocno go całuję. Po chwili odsuwam się i szepczę:

– Musiałam zabić potwora.

Nie wiem, czym bardziej jest zszokowany – moim pocałunkiem czy moim wyznaniem?

Nigdy więcej już go nie zobaczyłam.

Rozdział XVIII

Miałam nadzieję, że w przedziale będę siedzieć sama, niestety są w nim już dwie osoby i trochę mnie to stresuje. Wrzucam walizkę na stojak i siadam na wąskiej kanapie. Nikt się nie odzywa i bardzo mnie to cieszy, bo zmuszanie się do rozmowy zainicjowanej przez kogoś obcego to jedna z rzeczy, których najbardziej na świecie nienawidzę. Gdy pociąg rusza, biorę do rąk torebkę i torbę z laptopem, po czym udaję się do warsu. Zamawiam piwo, siadam przy stoliku i otwieram swój wiekowy sprzęt.

Czekając aż staruszek się włączy, popijam bursztynowy płyn i podpieram dłonią głowę. Nieświadomie dotykam palcami malutkich blizn na moich skroniach. Są nierówne, niezbyt głębokie, ale niosą za sobą ogromny ciężar.

Do dziś pamiętam, z jakim impetem oderwał maskę i jak bardzo oślepiło mnie światło, którego nie widziałam tygodniami, miesiącami, może latami?

Wzdrygam się gwałtownie, potrącając dłonią stojące na wąskim stoliku solniczkę i pieprzniczkę. Podnoszę głowę, ludzie

spoglądają na mnie wymownie. Czy myślą, że już jestem pijana? Powoli ustawiam je na miejsce i wpisuję hasło do komputera, cicho wydychając powietrze.

Przez chwilę wpatruję się w ekran, waham się, ale wchodzę na stronę Doriana. Długo zastanawiałam się nad tym, czy jestem na to gotowa i doszłam do wniosku, że nigdy nie będę. I że w związku z tym nie ma na co czekać, tylko po prostu trzeba to zrobić.

N73: Laura W., 2015 rok [POWIĄZANIE: TAK. SPRAWA: N08, N12, N34, N38, N49, N92, N123, N162].

Otwieram artykuł dotyczący sprawy numer osiem i wpatruję się w twarz chudej, drobnej blondynki. Hanna miała dziewiętnaście lat, gdy zrobiono jej pośmiertne zdjęcie, na którym krwawe łyzy zalały jej oczy. Wpatruję się w martwą, sztywną twarz i zastanawiam się, w jaki sposób porwano dziewczynę. Czy ktoś zrobił to tak samo jak mnie? Czy to był ON? Czy Dorian ma rację?

Widzę jedną z nich. Po lewej stronie jej twarzy dostrzegam fragment oderwanej skóry i odruchowo dotykam swojej prawej skroni. Przewijam niżej i zagłębiam się w opis przypadku Hanny.

Ciało znalezione w lesie przez mężczyznę spacerującego z psem. Brak oznak przemocy seksualnej. Badania toksykologiczne wykazały obecność narkotyków we krwi. Podcięte nadgarstki. Brak obcego DNA. Historia problemów psychicznych. Przyczyna śmierci: masowa utrata krwi. Podejrzenie samobójstwa. Sprawa umorzona z braku dowodów.

Sprawa numer dwanaście – Karolina, dwadzieścia dwa lata, na pośmiertnej fotografii wygląda niemalże jak żywa spoglądająca

w obiektyw. Jej twarz jest poharatana, jak gdyby przeciskała się przez gęste krzaki; czy uciekła mu, ale i tak ją złapał? Moją uwagę przykuwa coś, co musieli przegapić wszyscy inni. Oprócz Doriana. Drobne, zerwane fragmenty skóry na skroniach. Czy nie powinni tego zauważyć? Na skrawkach skóry powinny być ślady kleju. Czemu tego nie zbadali? A może jednak ich nie było? Nie wiem. Nie wiem, jak przebiega sekcja, jakie są procedury. Ale zaczynam rozumieć, że coś przegapili.

A to przegapienie miało katastrofalne skutki.

Moja historia była jedną z nich.

Urazy Karoliny: podcięte nadgarstki, śladowe ilości narkotyków we krwi, przyczyna śmierci – utonięcie.

Boże. Mój Boże!

Marika, dwadzieścia trzy lata, narkotyki, podcięte nadgarstki, przewlekła depresja, rana w podbrzuszu...

Sprawa numer trzydzieści cztery... Aniela... Badania toksykologiczne wykazały... Podcięte nadgarstki... Woda w płucach... Rany na skroniach...

Z impetem zatrzaskuję laptopa. Mocno zaciskam powieki oraz pięści, próbuję opanować drżenie, które ogarnia całe moje ciało.

Przed oczami, jak w chorym filmie, przesuwają mi się twarze dziewcząt, te z gazet, uśmiechnięte, na przemian z tymi z autopsji. Przyspieszają, coraz szybciej i szybciej, mkną jak szalone, a ja sama czuję się jak na górskiej kolejce, gdy wtem wszystko się zatrzymuje, a mi robi się niedobrze.

Zatrzymuję się na jednym zdjęciu dziewczyny z podbitym okiem, rozbitym nosem i poharataną twarzą. Z ranami na skroniach.

Moim zdjęciu.

Wyciągam z kieszeni telefon i wybieram numer Dorianana. Drżę, a nie chcę zwracać uwagi osób dookoła. Zakładam nogę na nogę, mocno spinam mięśnie. Podpieram ręką głowę i zasłaniam dłonią oczy. Po kilku sygnałach chłopak odbiera.

– Nie spodziewałem się, że... – zaczyna, ale mu przerywam.

– Czy wiedziałeś?

– Czy co wiedziałem?

– Czy wiedziałeś, że on się na nich uczył?

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza, przerywana głębokim oddechem chłopaka.

– Nie wiedziałem – odpowiada po chwili. – Domyślałem się. Żeby być pewnym, chciałem porozmawiać z jedyną osobą, która mu uciekła.

Rozdział XIX

Wcale nie uciekłam. On po prostu myślał, że nie żyję.

Ja nie potrafię uciekać, choć tak bardzo bym chciała, choć powinnam uciekać już tyle razy.

Przed małym, starym dworcem zazwyczaj stoją dwie czy trzy taksówki. Dziś nie ma ani jednej. Siadam poirytowana na murku w nadziei, że jakaś się zjawi, a z drugiej strony ciesząc się, że odwlekam powrót do domu i spojrzenie w oczy, których dawno nie widziałam.

– Przyniosłaś rodzinie wstyd! Mało złego nam zrobiłaś? Jesteś dziwadłem, Laura, takim samym, jak twój pokręcony ojciec!

Kręcę mocno głową, próbując pozbyć się z niej głosu matki.

Nie powinnam była tu wracać. Nie powinno mnie tu być, pośród tego stojącego, zatechłego powietrza pełnego niezrozumienia.

Ja po prostu kochałam być kochana. To było coś wspaniałego, ojczy, bo tylko ty potrafiłeś mnie kochać dokładnie taką, jaką byłam. Oddałabym wszystko za to, żebyś tu był. Żebyś odgradzał mnie ramieniem i uśmiechem od szaleństw matki, od niezrozumienia chłopców, od tego świata, który nigdy nie

rozumiał, że żyję jak przedwieczni – instynktem, bez pojęcia dobra i zła, a ta nowa cywilizacja sprawia, że się gubię, bo nie mogę za tym instynktem podążać.

Po godzinie dochodzę do wniosku, że żadna taksówka się nie pojawi i postanawiam dojść do domu pieszo. Czeka mnie długi marsz w upalnym słońcu, ale mówi się trudno.

Rozglądam się po cichym, zastygłym miasteczku i przypominam sobie dzieciństwo, które w nim spędziłam. Budynki są odmalowane, drogi odnowione, ale widzę te same, rodzinne sklepy i budynki usługowe, co piętnaście czy dwadzieścia lat temu. Mijam tę samą lodziarnię, do której co niedzielę zabierał nas ojciec. Tę samą krawcową, która szyła mi albę, a chłopcom garnitury do pierwszej komunii. Tę, u której matka szyła niezliczone ilości sukienek.

To niesprawiedliwy powrót do przeszłości bez ojca, bez braciszka. Kiedyś z chęcią poszłabym do gabinetu ojca, wyciągnęła broń i poszła zapolować, żeby wreszcie odżyć. Ale wtedy przypominam sobie ostatni dzień, gdy tej broni użyłam i łzy pojawiają mi się pod powiekami.

Pociągam nosem, krajobraz się rozmazuje, ale prę dalej, ciągnąc za sobą walizkę chrzęszczącą po żwirze. Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Słońce grzeje niemiłosiernie, pocę się i czuję, jak koszulka przykleja się do mojego ciała w newralgicznych miejscach. Ale idę dalej.

Mijam drogę, którą codziennie wczesnym porankiem jeździł ojciec. Do szpitala, do którego niejednokrotnie trafiałam.

Nie powinnam się dziwić, że mnie zabrał. Kogo innego miał zabrać? Laura, idealna ofiara, przetrącona dziwaczka, która

nawet gdyby uciekła, to nikt jej i tak nie uwierzy.

Wtem zatrzymuję się, a moją klatkę piersiową ściska ciasna obręcz.

„Droga jest szeroka, wydeptana, piaszczysta. Drzewa nie rosną tam gęsto. W połowie drogi między sklepem a moim domem mieści się staw otoczony dróżką wysypaną białymi kamyczkami”.

Zaczynam drzeć pomimo gorąca. Czuję chłód, choć moja skóra parzy. Nie dam rady tędy przejść, muszę pójść naokoło ulicą przecinającą las. Podnoszę wzrok na korony drzew i wdycham delikatny, zgniły zapach sztucznego zbiornika, który tak bardzo przypomina zapach wody w starej wannie, w której mnie topił.

Kiedyś byłam twarda. Niewzruszona. Teraz jestem roztrzęsioną, przepełnioną ogromnym strachem skorupą człowieka, która wie jedno – że nie chce umierać. A zarazem zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo bezwartościowe jest jej życie. I zawsze takie będzie. Bo ja chciałabym umrzeć, ale po tym wszystkim, co się stało, co nie było moją decyzją, moim pociągnięciem żyłką przez skórę na nadgarstkach, ja po prostu nie dam rady do ciebie dołączyć. I za to się nienawidzę, za to, że żyję w zawieszeniu, nie mogąc podjąć decyzji – czy w końcu zacząć żyć, czy w końcu zacząć umierać.

Miałam słuchawki na uszach. To dlatego nie słyszałam, jak do mnie podszedł; przecież te cholerne kamyczki musiały trzeszczeć pod jego stopami! W rękę trzymałam lniany worek z mąką, po którą wysłała mnie matka. Zaskoczył mnie, bo zawsze czułam się tu bezpiecznie, w tej głuszy, w której wszyscy się znali. Nigdy nie sądziłam, że to akurat mnie spotka coś niedobrego. Że to ja będę zwierzyną.

Wiedział, co robi. Chwycił mnie mocno i zdecydowanie, i mimo że szarpałam się i próbowałam krzyżeć, mój wrzask szybko

ucichł w ściśniętym do bólu gardle. Pamiętam, że wtedy przestraszyłam się, że zmiążdży mi krtań. Pamiętam, że udało mi się go uderzyć, ale to wszystko. Zaciskał pięść na moim gardle i po chwili świat spowiła czern. A gdy ustała, obudziłam się w najgorszym koszmarze, jaki kiedykolwiek mogłabym sobie wyobrazić.

Gorące łzy spływają po moich policzkach, a z ust wyrywa się pojedynczy, głośny szloch. Jak mogli mi nie uwierzyć?

Podskakuję jak rażona prądem, gdy za mną z hałasem zatrzymuje się samochód w towarzystwie przeraźliwie głośnego trąbienia.

– Laura, to naprawdę ty? – Słyszę męski głos. – Chwilę zastanawiałem się, czy mi się wydawało, ale to jednak ty, wróciłaś po latach w rodzinne strony! Cóż za miła niespodzianka!

Oglądam się na stare auto typu pick-up, z którego przez okno pasażera wychyla się chłopak w moim wieku, piegowaty, o bujnej blond czuprynie.

Przez moment myślę nad tym, skąd go znam, aż w końcu jego rysy twarzy przypasowuję do jednego z moich sąsiadów, chłopaka, z którym często bawił się Michał. Widzę jego twarz, widzę, jak graliśmy razem w planszówki, ale nie mogę sobie przypomnieć jego imienia.

– Cześć – mówię sztywno, szybko przecierając dłonią twarz, starając się ukryć łzy, chociaż wiem, że to i tak nie pomoże. Widać.

– Przyjechałaś do swojej staruszki? – pyta, uśmiechając się, a ja zastanawiam się, jakim cudem mógł określić moją matkę takim właśnie rzeczownikiem. Tę dziwną, przerażoną i nienawistną

kobietę? Ja nie potrafię znaleźć dla niej ani jednego pieszczotliwego określenia.

– Przyjechałam do brata.

Twarz chłopaka pochmurnieje, już nie uśmiecha się tak bardzo. Krótki czas milczy, po czym mówi:

– Chodź, podrzucę cię. Jadę w waszą stronę.

Przez chwilę się zastanawiam, bo wcale nie chcę wsiadać do auta z człowiekiem, którego widziałam ostatni raz lata temu. A z drugiej strony czuję, jak na moje plecy zaczyna napierać smród zatęchłej wody oraz drobne, jasne kamyczki, którymi wysypana jest ścieżka, popychane przez wiatr, chrzęszczące podobnie do kroków nieznanego. Napierają na mnie coraz mocniej i wiem, że jeśli zaraz stąd nie odejdę, to upadnę.

– Dziękuję.

Wrzucam walizkę na tył auta, wsiadam do środka i zamykam drzwi. Nie udaje mi się, więc próbuję jeszcze raz. Nic z tego.

– Sorry, to rupieć, trzeba przyłożyć trochę siły.

Mężczyzna przechyla się w moją stronę, jego ramię nie dotyka mojego ciała tylko dlatego, że wsunęłam się głęboko w fotel, zrobiłam mocny wydech i zastygłam, wbijając wzrok w swoje kolana. Chwyta za klamkę, po czym zatrzaskuje drzwi z siłą, której ja na pewno bym nie miała. Ruszamy.

Przez chwilę panuje cisza, która chyba tylko mnie krępuje, po czym chłopak odzywa się:

– Wiem, czemu jesteś taka spięta.

Z mojego gardła chce się wyrwać: „Słucham?”.

– Nie pamiętasz, jak mam na imię.

Moja klatka piersiowa się unosi, a ja parskam śmiechem. Szybko na niego spoglądam i z powrotem wyglądam przez okno.

– Karol – wypalam.

– Prawie – mówi śmiejącym się, dźwięcznym głosem. – Adam.

– Boże, przepraszam! – mówię, choć wcale nie jest mi przykro.
Chłopak śmieje się w głos.

Rozluźniam się, opieram łokieć na skrzydle drzwi i pozwalam, aby wiatr mierzwił moje włosy. Spoglądam na niekończące się uprawne pola poprzecinane małymi zagajnikami i czuję ogarniającą mnie ciszę i przyjemność, że jestem znowu tutaj, mała Laura, której ojciec pozwalał siadać na przednim siedzeniu i która wracała ze szpitala z ogromną radością, ciesząc się, że już tam nie wróci.

A przynajmniej tak jej się za każdym razem wydawało.

To były piękne chwile beztroski, które celebрую po latach, mimo że powinnam mieć inne, bo przecież jestem już dorosłą kobietą. Powinnam mieć nowe wspomnienia. A mimo to wracam do lat dziecięcych. Do popołudnia, gdy patrzyłam na ten krajobraz i czułam, że właśnie tu powinnam być.

– Przykro mi z powodu Michała – przecina ciszę Adam.

Mocno zaciskam pięści i na chwilę przestaję oddychać.

– Wiem. Mnie też.

Nie rozmawiamy ze sobą do momentu, gdy wjeżdżamy na podjazd mojego rodzinnego domu.

– Dziękuję – mówię cicho, po czym wysiadam.

– Czekaj, pomogę ci.

Adam zdejmuje z paki walizkę i podaje mi.

– Wnieść ci ją na górę?

– Nie. Ale dziękuję za przejazdkę.

Odwracam się i wspinam powoli po szerokich, białych schodach, po których tak często będąc dzieckiem wbiegałam. Dzisiaj kojarzą

mi się z wieczną wędrówką, a szczyt oddala się, im bardziej się do niego zbliżam.

Po tej niekończącej się wspinaczce docieram na samą górę i staję przed drzwiami mojego rodzinnego domu. Kołyszę się na palcach do przodu i do tyłu, zanim naciskam na dzwonek zwiastujący moje przybycie, mimo że doskonale wiem, że matka obserwowała mnie od samego początku przez okno.

Każde na siebie czekać, jak zawsze. Przeszuję z nogi na nogę.

Nie wiem, czy robi to specjalnie, ale znieczeka przekręca klucz w zamku i z impetem otwiera drzwi. Staje w nich wyprostowana, z wypiętą piersią i srebrnymi, opadającymi na nią włosami. Przypomina mi Meryl Streep i nie wiem, czemu akurat to wpływa na wierzch moich myśli.

A ten gwałtowny trzask sprawia, że przez chwilę jestem gdzie indziej – przez ułamek sekundy widzę leżącego u podnóża schodów ojca i matkę trzymającą się mocno poręczy, spoglądającą ku górze na mnie. Matkę, która właśnie się przeobraża.

Zmienia nie do poznania.

Imago.

Jednak jej głos sprowadza mnie z powrotem do teraźniejszości.

– Nie sądziłam, że przyjedziesz.

Wpatrujemy się w siebie przez dłuższą chwilę. Cisza staje się dla mnie uciążliwa, a dla niej zapewne wyśmienita. Mogę chłonąć jej wyższość i zimno, które wylewa się z zielonych tęczęwek, a ona dobrze wie, że mnie to boli.

Matka, której nigdy nie miałam.

– Przyjechałam do Michała – szepczę przez ściśnięte do bólu gardło.

– Dziś raczej go nie zobaczysz. Miał zły dzień. Dostał dużo leków i śpi. Obudzi się najpewniej jutro.

Stoimy naprzeciwko siebie i zastanawiam się, czy ona robi to specjalnie. Czy specjalnie każe mi zastanawiać się, czy mnie wpuści?

Odzywam się pierwsza.

– Poczekam, żeby z nim porozmawiać. Mogę tu zostać? O ile nie masz nic przeciwko.

Nagle zrywa się silny wiatr, a matka zaczyna pociągać nosem. Opiera się o framugę i przymyka drzwi.

– Oczywiście, że tak, córko. Ale musisz być delikatna. Diana czuwa przy nim dzień i noc. Mam nadzieję, że nie będziesz wracać do tych... nieprzyjemnych wspomnień. Daj swojemu bratu umrzeć w spokoju.

Zaciskam mocno powieki, bo wiem, do czego pije. Do tego dnia z Rumcajsem.

Otwieram je bardzo powoli i przesuwam wzrokiem od dołu do góry po kobiecie, która mogłaby mieć wszystko, gdyby tylko chciała. Śliczna, inteligentna, płodna, z której łona wyrwało się z wraskiem troje dzieci.

Pamiętam czasy, gdy mnie kochała. Gdy zaplatała mi warkocze, gdy zabierała mnie na spacer, podczas których uczyła mnie piosenek, zbierała ze mną poziomki i jagody, wiała wianki na moje piękne, gęste włosy, które po niej odziedziczyłam.

Córeczka mamusi.

Byłam nią, dopóki nie zauważyła, z jakim zadowoleniem i zacięciem mała Laura, z tym właśnie wiankiem na głowie, w zaplecionych przez nią warkoczach, ze wstążkami we włosach, w ubranej pięknej, malinowej sukience, roztrzaskuje założonym

przez nią lakierkiem głowę i ciało szczura, śmiejąc się w głos. Obryzgując lakierki i sukienkę krwią.

– Patrz, mamó! Zobacz! Chciał mnie ugryźć, ale się nie dałam!

Pamiętam ten wrzask. To jak uciekłaś, zostawiając mnie samą. I zostało już tak na zawsze. Już nigdy między nami nie było tak samo.

To wtedy przytulał mnie ojciec. Całował mnie ojciec. W jego ramionach się topiłam. To jemu ufałam. A ty zostałam moim wrogiem, matko swojej córki!

– Pokój gościnny jest wolny – mówi powoli, odsuwając się na bok i wpuszczając mnie do środka.

Mój pokój.

Wchodzę na korytarz, po czym wolno wspinam się po schodach, z których spadł ojciec. Mocno trzymam się poręczy. Podchodzę do drzwi mojego pokoju i coś zakłóca ciszę. Słyszę pikanie aparatury, dochodzące z innego pokoju na tym piętrze. Wiem dokładnie, kto jest do niej podłączony.

Zostawiam walizkę pod drzwiami i zdejmuję buty. Na bosy podchodzę do starego pokoju chłopców i lekko uchylam drzwi. Wnętrze nie przypomina tego, co zapamiętałam. Nie ma zabawek, piętrowego łóżka, wszechobecnego bałaganu.

Pokój jest niemalże pusty. Z boku stoi kanapa, na środku szpitalne łóżko, a na nim leży Michał. Wiem to tylko dlatego, że właśnie jego się spodziewałam, chociaż mój brat nie przypomina siebie w ani jednym calu. Wokoło znajduje się bardzo skomplikowana aparatura, której nie widziałam nawet w szpitalu. Pod oknem stoją pojemniki z tlenem, a obok nich duża lodówka z przejrzystym frontem wypełniona fiołkami, ampułkami, pojemnikami...

Powoli podchodzę do niego i mimo że słyszę pikanie aparatury, mimo że według niej mój brat żyje, to mam wrażenie, że jest martwy.

Jego ciało jest tak chude, że mogę zobaczyć każdą kość, którą powleka odsłonięta skóra. Na szyi Michała widzę każde ścięgno. Jego głowa jest łysa i nie porasta jej nawet minimalna szczecina... Twarz tak bardzo szczupła i bez wyrazu, pozbawiona rzęs, pozbawiona brwi, składająca się na obraz mężczyzny, którego nie pamiętam. Gdybym nie wiedziała, że w tym właśnie łóżku leży mój brat, nigdy bym nie uwierzyła.

Podchodzę bliżej, siadam powoli na krześle i delikatnie łapię go za rękę obleczoną pergaminową skórą, pokrytą siniakami i pękniętymi żyłami, do których chciano się wkluć.

Spoglądam znowu na jego twarz, tym razem z bliska, i na gołej czaszce widzę bliznę po uderzeniu kamieniem.

Chowam twarz w drugiej dłoni i mam wrażenie, że zaraz się rozpłaczę. To tak bardzo bez sensu. Chciałam zabić swojego brata, a teraz płaczę przy jego łożu śmierci. Czyż nie jestem popieprzona? Przecież naprawdę chciałam zrobić mu wtedy krzywdę.

– Nie płacz.

Podnoszę mokrą dłoń do twarzy, którą ledwo poznaję.

– Michał – szepczę cicho, podczas gdy na moje usta upadają łzy.

– Myślałem, że nie przyjedziesz.

– Dziś nie mogłabym być nigdzie indziej – mówię przez ściśnięte do bólu gardło.

– Powinnaś była... – szepczą suche, blade, popękane wargi. Jego powieki opadają i zastanawiam się, czy nie opadł z sił i nie zasnął.

Delikatnie nachylam się do trupa, który kiedyś był ładnym, zwawym, pełnym energii chłopcem, a później mężczyzną. Jego ciche charczenie coś mi przypomina i porusza delikatne coś w moich trzewiach, a to sprawia, że przechodzi mnie przyjemny dreszcz.

Zamykam oczy i wstrząsam głową. Przygryzam mocno wargę, próbując bólem zagłuszyć tę walkę emocji, która odgrywa się w moim wnętrzu.

– Co powinnam była, Michaś?

Jego powieki delikatnie się unoszą i spogląda wzrokiem, którym patrzył na mnie tylko ten jeden, jedyny raz, lata temu. Kiedy klęczał na kolanach na zakurzonej podwórzu, i mimo że krew zalewała jego oczy, patrzył na mnie i nie mrugał.

– Powinnaś była mnie wtedy zabić.

Rozdział XX

Mimo że noce są jeszcze chłodne i sypiam przy uchylonym oknie, budzę się zrana z potem. Oddycham ciężko, odrzucam kołdrę i odklejam od swojego ciała mokry podkoszulek. Siedzę chwilę, dysząc i nasłuchując. Przez moment miałam wrażenie, że ktoś jest w pokoju, ale sekundę po tym szybko uzmysławiam sobie, że to niemożliwe i przecież zawsze mam takie uczucie, gdy budzę się w nocy. W każdym kącie czai się cień, który nigdy mnie nie opuści i chyba się z tym pogodziłam. A przynajmniej bardzo bym chciała, żeby tak było.

Powoli wstaję z łóżka i wsuwam stopy w kapcie. Zakładam szlafrok. Muszę iść się przebrać i napić wody.

Podłoga nieprzyjemnie skrzypi, gdy opuszczam pokój. Słyszę pikanie aparatury dochodzące z pokoju mojego brata. Zaglądam tam na krótko i widzę, że na fotelu obok śpi jego żona. Musiała pojawić się po tym, jak przyjechałam, bo nie widziałam jej wcześniej.

Wpatruję się chwilę w ten piękny, a zarazem tragiczny obrazek i zastanawiam się, czy faktycznie miłość jest silniejsza od śmierci?

Cóż po tej miłości, skoro ukochany odchodzi i już nigdy nie wróci?

Schodzę do kuchni i nalewam sobie wody prosto z kranu. Siadam na barowym krześle, nie zapalam światła. Chcę posiedzieć w ciemności i nie patrzeć na snobistycznie urządzone wnętrze.

Nie wiem, czy mama sprzedała udziały prywatnej kliniki ojca, czy też ktoś prowadzi tę klinikę za nią. Nigdy jej o to nie pytałam. Tak samo jak o to, czy ojciec zostawił mi jakieś pieniądze, bo przecież powinnam być uwzględniona w spadku. Ale to nie ma znaczenia – nigdy nie wzięłabym od niej żadnych pieniędzy po ojcu. Nie zniosłabym, gdyby mi je przekazała z wielką łaską i obrzydzeniem, choć sama nie zarobiła nigdy ani grosza.

Wystarczająco często powtarzała, że zabrałam jej wszystko.

Chowam twarz w dłoniach i opieram czoło o zimny blat, próbując wziąć się w garść.

I wtedy to czuję.

Mocna, duża, ciepła dłoń przesuwa się wzdłuż mojego kręgosłupa, po łopatce i delikatnie zaciska się na szyi, gładząc opuszkami palców moją skórę.

Biorę głęboki wdech i znowu czuję, że jestem tam, gdzie powinnam być. Na miejscu.

– Tak mi przykro, że odszedłeś – szepczę milionowy raz. To zdanie powinno wyryć się pod moimi powiekami, to w jego kształcie powinny być blizny na moich nadgarstkach.

– Widzisz świat inaczej, kochanie. To nic złego. Pamiętaj o tym.

I wtedy to słyszę.

Dźwięk, na który tak bardzo jestem wyczulona.

Podrywam głowę z blatu i rozglądam się dookoła, szukając w mroku postawnej postaci, chociaż wiem, że jej tu nie ma.

Wstrzymuję oddech i po chwili jestem pewna, że mam rację. Podnoszę się z krzesła i po cichu wychodzę z domu. Wiatr jest zimny, otulam się mocno szlafrokiem, ale chłód wciska się w każdą szczelinę między materiałem a moim ciałem, wilgotna piżama szczypie mnie zimnem i zaczynam się trząść.

Idę przed siebie, po czym skręcam w prawo w wąską dróżkę pośród zadbanego zagajnika. Dobrze wiem, gdzie idę, a pisk i charkot stają się coraz wyraźniejsze. Słyszałam je tyle razy. Moja krew buzuje, bulgocze, parzy mnie od środka.

Wchodzę do lasu, który znajduje się za naszym zagajnikiem. Ścieżka się kończy, a ta, która powinna ciągnąć się od skraju naszej posesji, dawno już zarosła. Mimo to idę dalej, a moje serce bije coraz szybciej. Wokół jest ciemno, światło księżyca tworzy poszarpany obraz wokół mnie, przebijając się przez drzewa i krzewy, sprawiając wrażenie, że otaczają mnie kikuty zastygłych, rozcapierzonych kończyn.

Cisza przerywana jest trzaskami i chrzęstami przypominającymi łamanie kości, wiatr z szelestem podrywa liście i igliwie. Chyba każdy inny bałby się tych przerażających, niezidentyfikowanych, zmieniających położenie dźwięków koszmarnego lasu, ale nie ja. Ja doskonale znam je wszystkie i wiem, że nie pochodzą od człowieka czy zwierzęcia, ale od roślin.

Znam je wszystkie, bo to one pomagały, a właściwie pozwalały mi polować. Samotnie albo z ojcem.

Droga przede mną delikatnie się rozjaśnia i jestem już stuprocentowo pewna, że ktoś jest w pobliżu. Idę powoli, na pamięć, w kierunku szopy, która stała tu, odkąd pamiętam.

Podchodzę bliżej, robi się coraz jaśniej. Światło przenika przez brudne okienka szopy. Jestem już o krok, stoję przed drzwiami

i waham się, czy chcę je otworzyć. Biorę szybki wdech i mocno zaciskam oczy. Gdy znowu spoglądam na wejście, wszystko wydaje się większe, wyższe i bardziej przerażające. Wyciągam drobną dłoń do skobla, widzę leżącą w trawie kłódkę, która się z niego zsunęła.

Powoli uchylam drzwi. Uderza we mnie piżmowy odór wymieszany ze smrodem strachu i śmierci. Otula mnie, ogarnia od stóp do głów jak niewidzialna pierzyna i sprawia, że moja krew zaczyna wrzeć.

– Wejdź do środka. I zamknij za sobą drzwi.

Rozdział XXI

– Zaspałaś.

Wchodzę do jadalni, powłócząc za sobą nogami i patrząc na suto zastawiony stół. Po jednej jego stronie siedzi matka, a po drugiej Diana, która wygląda przez okno i sprawia wrażenie, jakby mnie nie zauważyła. Jakby niczego nie dostrzegała. Na talerzu przed nią leży nietknięta kanapka.

Zajmuję główne miejsce, ale nie mam ochoty niczego jeść. Wydaje mi się, że gdy tylko coś przełknę, to od razu wszystko zwrócę. Nalewam sobie do szklanki soku i wypijam duszkiem.

– Słyszałaś, co powiedziałam?

– Tak, mamo. Z tym że wcale nie zasnęłam. Nie mówiłam, że przyjdę na śniadanie.

Mama z impetem uderza pięścią w stół, aż podskakuje część zastawy, wydając nieprzyjemny dźwięk. Wzdrygam się, moja bratowa również.

– Po to co tu przyjechałaś? Żeby znowu siać zamęt?

Spoglądam na nią zaskoczona i właściwie nie wiem, co powiedzieć. Patrzy na mnie tymi swoimi pięknymi, wielkimi

oczami i zastanawiam się, co właściwie one wyrażają. Szukam w nich nienawiści, ale nie mogę jej znaleźć.

– Jeśli myślisz, że będę ci pobłażać, to się mylisz. Twój brat umiera i to on jest najważniejszy. Postaraj się chociaż przez pięć cholernych sekund być częścią tej rodziny!

Gwałtownie wstaje od stołu i wychodzi.

Oddycham szybko i spoglądam na Dianę, ale ona bez słowa wróciła do wpatrywania się w jeden punkt za oknem. Gardło mam ściśnięte niemal do bólu. Opuszczam kuchnię, biorę leżące na krześle przy wejściu torbę i sweter. Idę na ganek i zatrzymuję się.

Matka siedzi na schodach, pochyloną głowę trzyma w dłoniach tak mocno, aż pobielają jej palce. Biedna matka. Traci wszystkich po kolei. Czasami ze swojej, czasami nie ze swojej winy. Robi mi się jej żal. Piękna, zniszczona kobieta, która chciała jedynie być kochana przez mężczyznę, a on tak naprawdę jej nie kochał. Tak myślę, bo to, co było między rodzicami, po prostu nie mogło być miłością. Było zbyt trywialne, zbyt bolesne, zbyt samotne.

Przez sekundę moja ręka drży, chciałabym wyciągnąć dłoń i położyć ją na ramieniu mamy, powiedzieć jej, że ja też za nim tak bardzo tęsknię i nie potrafię bez niego żyć, że każdy dzień bez jego ciepłego dotyku, niskiego głosu i poczucia bezpieczeństwa, które mi dawał, jest katorgą. I że obie chciałybyśmy to skończyć, ale brakuje nam odwagi.

Jednak postanawiam nie mówić nic i schodzę powoli ze schodów, modląc się, aby matka się do mnie nie odezwała. Ale nie byłaby sobą, gdyby tego nie zrobiła.

Wymawia cicho kilka słów, bardzo niewyraźnie, ale mocno. Zatrzymuję się na chwilę u podnóża schodów, ale nie odwracam

się. Spoglądam przed siebie i próbuję zrozumieć, czy tak naprawdę mnie to zabolalo, czy wręcz przeciwnie.

Biorę głęboki wdech, łzy cofają się, po czym ruszam przed siebie. Mam zamiar dotrzeć dziś do miasteczka i załatwić kilka spraw. Powiedziałam „A” i muszę powiedzieć „B”.

Wychodzę za bramę i skręcam w lewo. Idę poboczem drogi, próbując wyrzucić z głowy słowa, które wypowiedziała przed chwilą moja matka:

– To ty powinnaś umierać w męczarniach zamiast niego.

Rozdział XXII

Od lat byłam w potrzasku. Od momentu gdy powstałam z grobu, stałam się duszą między światami, która boi się odejść i boi się zostać. Zanim to się stało, myślałam, że jestem niezwykła, że panuję nad swoimi uczuciami, a kieruję się instynktami, co było wspaniałe, tak bardzo piękne; dawało mi tak ogromne poczucie wolności, o którym przeciętny śmiertelnik, taki jak chociażby moja matka, mógł tylko pomarzyć.

Niczego się nie bałam. Świat stał przede mną otworem, a ja czerpałam z niego pełnymi garściami – z jego fauny, z jego flory – i chyba byłam szczęśliwa, choć nie do końca jestem pewna, czy rzeczywiście znam to uczucie. Wiele razy ojciec w szpitalu pytał mnie, prosił, żebym opisała mu, czym dla mnie jest uczucie szczęścia, miłości, nienawiści, radości... A ja nie potrafiłam. Mówiłam tylko to, co mi się wydawało, a nie to, co tak naprawdę czułam. Bo, odkąd pamiętam, targały mną uczucia i emocje, których nie potrafiłam nazwać. Miałam wrażenie, że w ludzkim języku nie ma słów, którymi mogłabym je opisać.

Jakbym była przedwiecznym obcym przybyłym na Ziemię, bo jak inaczej można to było wytłumaczyć? Próbował, ale mu się nie udało.

A najważniejsze w jednym z moich poprzednich żyć, odgradzonych od siebie masywnymi tamami, było to, że miałam koło siebie kogoś, kto rozumiał mnie całkowicie i na wskroś, kto kochał mnie i dobrze o tym wiedziałam. Może nie z początku, ale im bliżej byliśmy, im bardziej skracał się między nami dystans, tym bardziej rozumiałam, że jestem wyjątkowa. I nie dlatego, że tak rzeczywiście uważałam, ale dlatego, że on sprawiał, że właśnie tak się czułam.

Ale tego już nie ma. Ciebie zabrakło i katuję się tym każdego cholernego dnia.

Czasami żałuję, że wtedy w grobie mi pomogłeś. Że dałeś mi impuls do tego, aby spróbować wstać, bo dobrze wiedziałeś, że miałam siłę, aby to zrobić, mimo że wydawało mi się, że część mnie przeszła już na drugą stronę.

Nie wierzę w duchy, zwidy, zrządzenie boskie i wiem, że nie mogło cię tam być, choć jestem pewna, że tam byłeś. I kazałeś mi wstać z jednego prostego powodu.

To nie był mój czas.

Ja mam tu jeszcze niezalutowane sprawy.

Nie przewidzieliśmy tylko jednej rzeczy. Że doświadczenie tak ogromnego bólu i bliskiej śmierci zmieni mnie bezpowrotnie. Bo tym razem to ja byłam zwierzyną. Tym razem to nie ja miałam kontrolę. Wszystko, czym się określałam, wszystko, co mnie tworzyło, zostało mi odebrane i stałam się innym człowiekiem.

Po części byłam w dalszym ciągu tym samym targanym przez nieznane instynkty zwierzęciem, ale w większości stałam się

zwykłym, przerażonym śmiertelnikiem, jak wszyscy wokół mnie, i chyba po prostu nie mogłam sobie z tym poradzić.

Przez lata, odkąd uciekłam, odkąd zostałam nazwana kłamczuchą i straciłam wszystko, nie chciałam o tym myśleć, ale rozumiałam, że nie mogę już biec. Że jeśli nie przestanę, to już nigdy się nie zatrzymam.

Odkąd wyszłam z grobu, starałam się nie myśleć o tym, co mi się przydarzyło, nie chciałam wracać do wspomnień spod ziemi, nie chciałam się leczyć, nie chciałam faszerować lekami, które mnie otępiały, podczas gdy musiałam stać na czubkach palców, bo tak bardzo się bałam, że on po mnie wróci, a ja znowu go nie zauważę i nie usłyszę. A drugi raz nie dam rady przejść przez to piekło, które mi zgotował, mimo że sama nie- jednokrotnie próbowałam się zabić.

Przez ojca.

Przez braciszka.

Przez matkę.

Ale wtedy to był mój wybór. Mój i tylko mój.

Sama zamknęłam się w klatce; coś czego się najbardziej obawiałam, stało się rzeczywistością, pułapką, w którą wpadłam. Coś, o czym kiedyś byłam przekonana, że tylko ja mogę to robić. Tymczasem stałam się zwierzyną.

Ale dziś podważam skobel, z którego zsuwa się kłódka. Nigdy nie była zamknięta. Wychodzę na zewnątrz, aby odetchnąć po raz pierwszy świeżym, zimnym powietrzem. Dziś rozumiem, co powinnam zrobić, żeby już nigdy nie musieć się bać.

Rozdział XXIII

Zastanawiam się, od czego zacząć.

Siedzę w niewielkiej, urządzonej w PRL-owskim stylu, kawiarence usytuowanej przy małym rynku, będącym centralną częścią mojego rodzinnego miasteczka. Gdy tu przyjechałam, chciałam być niewidzialna, unikać starych znajomych i znajomych moich rodziców.

„Patrzcie, wróciła Laura, ta kłamczucha i dziwaczka!”. Spojrzenia z ukosa, przepraszające i drwiące uśmiechy.

Wczoraj w nocy zrozumiałam, że to przecież nie ma najmniejszego znaczenia. To nie powinno mnie w ogóle obchodzić. Czy ja naprawdę tak bardzo się zmieniłam?

Odpalam laptopa i czekam, aż będzie zdatny do użytku. W zamyśleniu spoglądam przez okno i nie widzę żywej duszy. Wszyscy są w pracy, na polu, albo w szkole. Ulicą przejeżdża dostawczy samochód Adama, ale nie widzę, kto siedzi za kierownicą. I to wszystko.

Młoda dziewczyna za ladą przygotowuje mi kawę. Przynosi ją razem z kawałkiem bezowego ciasta na wyszczerbionym

talerzyku.

– Na koszt firmy. – Szczerzy się, a ja mam wrażenie, że gdzieś już ją widziałam. – Mam na imię Daria. Chodziła pani do szkoły z moim starszym bratem.

Uśmiecham się przepraszająco, bo nie pamiętam ani nie domyślam się, kim jest jej brat.

– Możliwe – odpowiadam. – Dziękuję za ciastko, naprawdę nie trzeba było.

– Oczywiście, że trzeba, to żaden problem. Rzadko gościmy tu sławne osoby.

Mrużę oczy i przyglądam się jej z uwagą, zastanawiając, czy ze mnie kpi. Ale nie. Dziewczyna jest szczerze uśmiechnięta, a w jej oczach pojawia się coś na podobieństwo zachwyty.

– Dzięki pani nasze miasteczko stało się sławne – mówi i odchodzi za ladę.

Podążam za nią wzrokiem i czuję, jak mój żołądek się skręca. Dzieje się tak za każdym razem, kiedy nachodzi mnie choć urywek wspomnienia tego ogromnego upokorzenia, którego doznałam na oczach całego kraju.

– Zmęczą się tym tematem, Laura.

Potrząsam głową, zaciskam mocno drżące ręce i próbuję wziąć się w garść. Otwieram notes i chwytam długopis. Na laptopie włączam przeglądarkę, na której automatycznie pojawia się strona Dorian, ale na razie nie będę jej przeszukiwać.

W mojej stagnacji coś zaczęło się zmieniać, w momencie gdy pojawił się Dorian. To wtedy te skrzypiące zawiasy zardzewiałych krat sprawiły, że moje serce zabiło pierwszy raz od dawna. A kraty otworzyły się w momencie, w którym zrozumiałam, że on się na nas uczył.

Jestem pewna, że Dorian miał rację i że powiązania, które odnalazł, są trafne. Może nie wszystkie, ale na pewno większość. Próbuję zrozumieć, znaleźć jakieś wskazówki, dowiedzieć się, dlaczego to robił.

I czy to jeszcze uczyni, bo jestem przekonana, że tak jest. Bo tacy jak on... Tacy jak ja nie mogą tak po prostu przestać.

Dorian odwalił kawał świetnej roboty, ale skupił się najbardziej na elemencie, na który ja aż tak bardzo nie będę zwracać uwagi. Na zmarłych, którzy zostali odnalezieni. Musimy cofnąć się o krok. Albo i dwa.

Wpisuję w wyszukiwarce internetowej zapytanie o rejestr osób zaginionych. Przeglądam kilka stron, zanim trafiam na jakąś sensowną. Myślałam, że będzie to prostsze.

Przeraża mnie ilość rekordów. Właściwie nie miałam żadnych oczekiwań, ale jednak czuję niepokój, patrząc na to, ilu ludzi wyszło z domu i nigdy do niego nie wróciło. Ich rodzinom nie było dane się z nimi pożegnać.

To chyba dobrze, że Michał umiera otoczony bliskimi.

Chcę przefiltrować wyniki, zaczynając od najwcześniejszej daty zniknięcia i chcę, żeby wyszukało tylko kobiety. Strona jest fatalna, mało przejrzysta, jestem coraz bardziej zirytowana. Po dobrych kilku minutach udaje mi się ustawić prawidłowe filtry i spoglądam w oczy kobiet na kolorowych i czarno-białych zdjęciach. Kobiet, które nigdy nie wróciły do domu.

Przeglądam stronę Dorianą i wszystkie przypadki powiązane z moim, szukając miejscowości, z których pochodziły dziewczyny i w których zostały odnalezione.

Nie zabija więcej niż dwie rocznie. Tak mi się przynajmniej wydaje. Patrzę na dane, które mam przed sobą. Przecież tyle

dziewczyn mogło zostać nieodnalezionych. Tyle z nich gnije gdzieś w lesie, tyle z nich robaki ogryzły do kości...

Zazwyczaj porzuca je właśnie w lesie.

Rysuję prowizoryczną mapę kraju i zaznaczam lokalizacje odnalezienia zwłok. A później grubym krzyżykiem zaznaczam miejsce, w którym teraz siedzę. Czyżbyś nie lubił oddalać się od domu?

Wzór. Znajdź wzór, Laura.

On musi postępować według pewnego schematu, może od niego odchodzi, później do niego zbliża, ale oś musi być taka sama.

Dlaczego je zabija?

Co mu zrobiły?

Może to mężczyzna, który nienawidzi kobiet. Którego skrzywdziła matka, siostra, dziewczyna, który musi przejąć kontrolę, bo inaczej pęknie.

A może to po prostu zwykły psychopata i ciężko stwierdzić, co napędza jego żądzę? Bo coś napędza, z pewnością, ale to może być coś, co nigdy zdrowej osobie nie przyszłoby do głowy.

KIM JEST?

DLACZEGO TO ROBI? – zapisuję drukowanymi literami i zaczynam się zastanawiać, na jakiej podstawie nas wybierał.

DLACZEGO JA? – piszę, po czym przekreślam ostatnie słowo i zamieniam je na „MY”. Czy działał według jakiegoś klucza?

Coś szybko przebiega gdzieś z tyłu mojej głowy, jakaś ulotna myśl, której nie jestem w stanie złapać. Sapię z irytacją.

Przez długi czas myślałam, że to była osobista zemsta, że to ktoś, kto mnie dobrze znał i nienawidził. Wiele musiał mieć w sobie tej nienawiści, skoro tak bardzo mnie krzywdził. Ale to się nie składało w całość. Bo mimo że mnie ranił, truł i topił, to

miałam wrażenie, że wcale nie chciał tego robić i że tak naprawdę cierpiał. Czasami nawet mu współczułam.

Czy tak właśnie rozwija się syndrom sztokholmski?

Ale teraz, po latach, patrząc na posty Doriana, dochodzę do wniosku, że wcale nie musiał mnie znać. Po prostu i ja, i one padłyśmy ofiarą szaleńca. Albo znalazłyśmy się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Śmieszne. Zawsze myślimy, że coś takiego może przytrafić się komuś innemu, ale nie nam. Myślimy, że nas to nie dotyczy.

Nie mogę zrozumieć kilku kwestii – dlaczego krzywdzi nas, zabija w taki sposób? Dlaczego właśnie tak? Co się za tym kryje?

Włączam ponownie zakładkę ze stroną Doriana, rysuję koślawą tabelkę w notatniku i wypisuję obrażenia dziewczyn, z którymi chłopak mnie powiązał.

Pocięte nadgarstki.

Woda w płucach.

Badania toksykologiczne.

Rana w brzuchu.

Ślady duszenia.

Wiem, że musiał nas czymś faszerować. Wiem, że faszerował nas na wszelki wypadek, zanim pozbywał się ciała. Mówiłam im to, ale mi nie wierzyli. Dla nich byłam ćpunką. Można było powiedzieć o mnie wiele różnych rzeczy, ale nigdy, że ćpałam.

Brałam psychotropy, ale nie z własnej woli. Za zamkniętymi drzwiami wpychano mi je do gardła.

Spoglądałam na te smutne dane i ścisnęłam mi się gardło, bo zaczynam rozumieć, że szło mu coraz lepiej. Ale najwyraźniej tylko ja przeszłam wszystkie próby, z wyjątkiem ostatniej. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie zaszedł tak daleko, jak ze mną.

Mnie jedynej założył na szyję sznur, ale poddał się po kilku chwilach, gdy stało się jasne, że rana w brzuchu mnie zabije.

Żadna z osób, które zidentyfikował Dorian, nie przeszła tyle, ile przeszłam ja.

Dlaczego, Laura? Jak to możliwe, że akurat ty dałaś radę?

Jestem ocalałą. Jestem dzika, nieokiełznana, odkąd pamiętam.

DLACZEGO JE TAK ZABIJA?

DLACZEGO W TAKIEJ KOLEJNOŚCI NAS ZABIJA?

Bo nie mam wątpliwości, że część mnie umarła, została na dnie płytkiej mogiły, razem z Rumcajsem, koziołkiem i lisem.

Nic nie jest tu takie proste, jakim się wydaje. Jak je wybierasz? Jak długo je obserwujesz, zanim podejmiesz ostatni krok i je zabierzesz? Jak to się dzieje, że nikt nigdy cię nie zauważa? A może to dlatego, że wszyscy cię znają, nie zwracają na ciebie uwagi?

One muszą mieć ze sobą coś wspólnego. Nie mogą być przypadkowe. Nie możemy być przypadkowe. Albo może po prostu coś wewnątrz mnie nie chce pozwolić, żeby tę przypadkowość zaakceptować?

Wracam na stronę policji i zaginionych. Jestem pewna, że wciąż polujesz. Nie wiem, skąd ta pewność. Chyba łączy nas niewidzialna, instynktowna nić drapieżnika z drapieżnikiem.

Wiem, co mówię.

Jeśli zacząłeś, jeśli tego posmakowałeś, to już nigdy nie będziesz mógł przestać.

Wyciągam telefon, robię zdjęcia swoich notatek i wysyłam je do Dorianą z dopiskiem: „Chyba musimy porozmawiać. Nie masz ochoty na krótki urlop? Chcę ustalić krok po kroku, co przydarzyło mi się lata temu w tej zatęchłej dziurze”.

Nie muszę długo czekać na odpowiedź.

Rozdział XXIV

Wyszłam z kawiarni, bo dziewczyna zza lady zaczęła być zbyt wścibska. Podchodziła do mnie za często, przeszkadzała mi i nie chciałam, żeby spoglądała w moje notatki. Tak, rozumiem, jestem wsiową atrakcją. Dajcie mi już spokój.

Spaceruję uliczkami powybijanymi kocimi łbami, rozglądając się dookoła. Pomyślałabym, że czas musiał się tu zatrzymać, gdyby nie to, że wszystkie znane mi ciała i dusze zestarzały się albo zniknęły pod ziemią, nie zdążywszy się zestarzeć. Idę powoli, nigdzie mi się nie spieszy, ale dokładnie znam cel mojej podróży.

Z brzękiem zatrzymuje się koło mnie stara furgonetka Adama. Przestraszona odskakuję w głąb chodnika, a serce dudni mi w piersi. Idiotko, tak wiele przeszłaś i mimo to zamysłasz się na tyle, że nie słyszysz, co się dzieje za twoimi plecami?

– Cześć! – Uśmiechnięty chłopak otwiera drzwi po stronie pasażera. – Wsiadaj, podrzucę cię!

Spoglądam na niego zdziwiona.

– Przecież nie wiesz, gdzie idę.

– To nieważne, tutaj wszędzie jest blisko. No, chyba że wracasz do miasta, to niestety nie dam rady cię dziś odwieźć.

– Nie. Nie wracam.

– To gdzie cię podrzucić?

– Na cmentarz.

Chłopak odsuwa się z powrotem na swój fotel, ja wsiadam do środka i zatrzasnę za sobą z całej siły drzwi. Tym razem nie musi mi pomagać.

– Co robisz tu sama w ciągu dnia? Nic tu się nie dzieje.

– Nie mogłam wysiedzieć w domu.

Zapada niezręczna cisza, ale nie chcę wyszukiwać na siłę tematów do rozmowy, bo tak naprawdę zupełnie nie mam na to ochoty.

– Fajnie, że wróciłaś – mówi Adam, przerywając ciszę i zastanawiam się, czy powiedział to na siłę, bo jemu akurat milczenie przeszkadza.

– Chyba nie na długo.

– No tak.

Znowu cisza. To straszne, że gdy choruje lub umiera ktoś bliski, ludzie już nie potrafią z tobą rozmawiać. Wszystko, co powiedzą albo co ja odpowiem, sprowadza się do tego słonia stojącego w salonie.

Nie przyjechałam tu na długo. Bo niedługo umrze mój brat.

Porozmawiamy jeszcze raz, może dwa, Adamie, i zaczniesz mnie unikać, żeby nie powodować krępujących sytuacji, a właściwie dlatego, żebyś nie musiał się tak bardzo spinać i męczyć lawirowaniem pomiędzy zdaniami i słowami, które mogłyby być nie na miejscu. A ja będę ci wdzięczna, bo widząc, jak się męczysz, męczę się jeszcze bardziej.

– Twoja mama chyba za tobą tęskniła. – Chwyta się ostatniej deski ratunku, a ja niemal parskam śmiechem. – Dawno cię nie widziała.

– Tak. Dawno – potwierdzam wymijająco i przypominam sobie ostatnie zdanie, które wykrzyczała do mnie poprzednim razem, kiedy opuściłam mój dom rodzinny: „Jeśli naprawdę istniał, to żałuję, że cię nie zabił! Tylko na to zasługujesz!”.

I mocno zaciskam dłonie w pięści, żeby tylko się nie rozplakać. Albo nie zacząć z furią uderzać we wszystko, co mam wokół siebie.

Spoglądam w okno i wpatruję się w spokojne, idylliczne pejzaże, które mijamy. Kiedyś bardzo często jeździłam tędy z ojcem do szpitala. Na początku na zwykłe sesje czy raczej pogadanki. Później, po tym co stało się z braciszkiem, jeździliśmy tam regularnie, nawet na całe dni. A gdy próbowałam się zabić, zamknęli mnie tam na dobre.

I minęło naprawdę dużo czasu, zanim stamtąd wyszłam.

Przymykam oczy, czuję wiatr we włosach i zapach zboża, wyobrażam sobie, że to tata siedzi w fotelu kierowcy i że jedziemy do szpitala. Lubiliśmy razem spędzać czas. To nie było tak, że moich braci nie kochał – po prostu ojca i mnie łączyła niewidzialna nić, która sprawiała, że rozumieliśmy się bez słów, że ufałam mu bezgranicznie i byłam w stanie mu zawierzyć bez względu na wszystko.

Właśnie za to znienawidziła mnie matka.

Czemu nienawidziła jego? Czemu nie kazała upadać mu na kolana, tak jak kazała mnie, czemu nie zgniatała go jak robaka, tak jak to robiła ze mną?

Bo matka, głupia matka, po prostu go kochała.

I była cholerną zazdrośnicą, bo wiedziała, że on w każdej chwili może odejść, może wyslizgnąć się z jej rąk i wszystko traktowała jako zagrożenie. Nawet własną córkę.

Nienawidziłabym cię, gdyby nie było mi ciebie żal.

Wjeżdżamy do rzadkiego zagajnika, w głębi którego znajduje się cmentarz. Wyskakuję z auta.

– Dziękuję. Trzymaj się, do zobaczenia!

– Laura! Poczekać na ciebie?

Odwracam się do chłopaka i zastanawiam się, czy pytał wyłącznie przez grzeczność, z nadzieją, że odmówię. Pomogę ci.

– Nie, dzięki. Wrócę na piechotę.

– Jesteś pewna?

– Tak, spacer mi nie zaszkodzi.

– To na razie!

Samochód z wizgiem odjeżdża, a ja przez chwilę za nim spoglądam, po czym rozglądam się dookoła. Ani żywej duszy. Z jednej strony jest to trochę przerażające, ale z drugiej czuję ulgę, że nie muszę uginać się pod obcymi spojrzeniami i udawać, że nie słyszę gorączkowych szeptów.

Wchodzę przez bramę cmentarza i wędruję uklepaną ścieżką w kierunku mojej rodzinnej mogiły. Mijam stare, zapadłe grobowce oraz nowe, strzeliste, nadęte nagrobki, w które wpakowano niemałe pieniądze. Jakby tych, których pożarły robaki, jakkolwiek to obchodziło.

Przecież wystarczy zwykła dziura w ziemi.

Taka, w której sama byłaś. Ale na twojej mogile nigdy nie miało być tabliczki z twoim imieniem.

Biorę głęboki wdech i staję nad wyglądającym znajomo grobem, nie mniej nadętym niż reszta. Matka nie szczydziła pieniędzy, aby

zamknąć swoje wspomnienia i ból w marmurowych blokach.

Ja ich nie potrzebuję. Za każdym razem, gdy tu przychodzę, nie chcę już odchodzić. Kładę się na pachnącej ziemi, dotykam ją dłonią, starając się wyczuć twoją obecność i pokrzepić się nią, próbując się przekonać, że tak naprawdę nie jestem sama.

Chociaż wiem, że jestem. I zawsze będę. Mnie nie da się już uzdrowić.

Na moją chorobę nie ma lekarstwa.

Urodziłam się chora.

Zwijam się porażona bólem, który przepelnia każdą komórkę mojego ciała, gdy mimowolnie z zamkniętej na klucz części mojego umysłu wypływa obraz upadku ojca.

Przez chwilę miałam wrażenie, że zanim roztrzaskał sobie głowę o marmurową posadzkę, zatrzymał się i popatrzył na mnie przenikliwie, a ja wyłam jak zraniony wilk, zdając sobie sprawę, że już nic nie mogę zrobić, że stało się nieuniknione. I że nikt nie pytał mnie o zdanie, że to po prostu musiało się stać, bo nie było innej możliwości. Nieuniknione było to, że ojciec upadnie i już nigdy nie powstanie. I tak się stało.

Gdy tylko na mnie spojrzełaś, nienawiść wybuchła z ciebie jak wulkan i wtedy zrozumiałam, że już na zawsze będę sama, bo nie mam nikogo. I nigdy nie znajdę nikogo, kto mnie zrozumie. Czemu to mnie nienawidziłaś? Bo myślę, że tak naprawdę nienawidziłaś jego, ale to na mnie tę nienawiść przelewałaś. Przecież nie mogłaś przyznać się do tego, że nienawidzisz swojego księcia z bajki, nieprawdaż?

Bo to, że ciebie nie kochał, to nie była twoja wina, prawda? Nie mogłaś na to pozwolić.

Zamykam oczy i delikatnie naciskam nasadę nosa, starając się nie rozplakać.

Kolejny skutek uboczny przeżytego przeze mnie piekła na ziemi – wrażliwość. Rozklejanie się. Nienawidzę tego i zrobiłabym wszystko, żeby się tak nie czuć, żeby się tego pozbyć.

Zastanawiam się, czy mi się uda. Czy dam radę rozliczyć się z przeszłością i zamknąć ostrym, szybkim cięciem najstraszniejszy i najbardziej obrzydliwy rozdział mojego życia. Czy to będzie zemsta?

Nie sądzę. Po prostu wyrównanie rachunków.

Rozdział XXV

- Musisz przestać tak o sobie mówić.
- Przecież wiesz, że to prawda.
- Nie masz racji i chciałbym, żebyś to zrozumiała. Nie jesteś potworem.

Nie patrzę na ojca, tylko wyglądam przez okno w kierunku gór, po których ślizgają się promienie słońca. Od dłuższego czasu nachodzą mnie bardzo sprzeczne uczucia. Kiedy za pierwszym razem ojciec mnie tu zamknął, byłam zła, wściekła, przepełniona furją, której nie byłam w stanie opisać i której nie byłam w stanie się pozbyć. Nie miałam na kim się wyżyć, więc wyzywałam się na siebie i na wszystkim, co znalazłam w swoim luksusowym pokoju, aż musieli zaaplikować mi leki i unieruchomić. Gdyby nie leki, gdyby nie one, gdyby mnie nie otumaniały i nie uspokoiły, to chyba bym pękła na miliony kawałków, bo wtedy miałam ochotę tylko na jedno – na uderzanie w furii tak mocno, żeby czuć ten piękny i kojący metaliczny zapach krwi.

Zrobiłabym wszystko i skrzywdziłabym wszystkich, żeby tylko móc wyjść ze szpitala. Ale to zaczęło się zmieniać. Zaczęłam mieć

wrażenie, że to dla mnie lepiej, że jestem zamknięta, odizolowana od otoczenia, i mimo że w dalszym ciągu targały mną różne potrzeby, to zaczęłam czuć, że odbijają się ode mnie, zamiast mnie pochłaniać. Bałam się wyjścia ze szpitala, bo to by oznaczało zderzenie się z rzeczywistością, nienawistne spojrzenia matki, zrozpaczone spojrzenia Michała i pustkę po braciszku. Tutaj byłam sama, otoczona szaleńcami, bo przecież sama byłam szalona, nie ma innego wytłumaczenia. Świat poza murami zaczął się oddalać, zarastać bluszczem i egzotycznymi roślinami, a ja przestawałam chcieć się przez nie przedzierać, bo wysiłek na powrót do normalnego świata, w którym ja normalna nie byłam, po prostu przestawał być tego wart.

Wieczny pobyt, tony otępiających leków pomogłyby uspić potwora, który już nikogo nie mógłby skrzywdzić. Przestało mi się chcieć walczyć. Nie powinno mnie tu być.

– Powiedz mi, o czym teraz myślisz.

Uśmiecham się pod nosem. Dobrze wiesz, że ci nie powiem, więc po co pytasz?

– Jak długo tu zostanę?

Jego badawcze spojrzenie zmienia się i pojawia się w nim pewna emocja, której nigdy nie byłam w stanie zidentyfikować. Ból? Współczucie? Rozpacz? Nie umiem jej nazwać, ale ją rozumiem, czuję ją całą sobą, tak jak przyjemny dreszcz przebiegający po moim karku. Rozumiemy się bez słów. Żyjemy w świecie pełnym emocji i uczuć nieznanym innym śmiertelnikom, na które zapewne istnieją prastare określenia sprzed wielu ziemskich cywilizacji.

– To zależy od ciebie.

– To nieprawda. To zależy od ciebie.

Ojciec wzdycha i zmienia pozycję na fotelu.

– Tak, masz rację. Wypuszczę cię stąd, gdy będę miał pewność, że kolejny raz nie zrobisz sobie krzywdy.

– W takim razie zostanę tu na zawsze.

– Laura! – warczy ojciec. Bardzo szybko się denerwuje, dokładnie jak ja. – Nie możesz tak myśleć i tak się zachowywać, rozumiesz? To, co się stało, to był wypadek, a ty nie jesteś żadnym cholernym potworem. Czy jesteś w stanie to pojąć?

– Przestań mnie pocieszać, tato. Sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Mylisz się.

– To kim jestem, jak nie potworem?

– Jesteś sobą, Laura. To, że jesteś inna niż wszyscy, nie znaczy, że jesteś potworem. Masz inne cele, zachcianki i żądze niż przeciętny człowiek, ale to nic złego. Trzeba je po prostu odpowiednio ukierunkować i dokładnie to staram się od dawna robić.

Urywki wspomnień przelatują mi przed oczami. Ojciec gorączkowo szorujący moje zakrwawione dłonie. Uczący mnie, jak trzymać strzelbę.

– Spójrz, Laura. Popatrz.

Sarna sunąca po zamarzniętym jeziorze, malująca czerwienią piękne wzory na kruchym lodzie.

– Nie, nie jesteś taka jak twoi bracia, taka jak twoi rówieśnicy, ale to nic złego, rozumiesz? Wszystko jest z tobą w porządku. Wiem, jaka byłaś zagubiona, ale po to masz mnie. Dlatego jestem tu dla ciebie, kochanie. Razem damy radę. Nie jesteś potworem, Laura, jesteś po prostu innym gatunkiem, który wyewoluował i zostawił za sobą słabszych. Jesteś pionierem.

Ojciec zawsze tak ładnie umiał ubierać w słowa rzeczy, których ja nie potrafiłam albo nie rozumiałam.

Delikatnie gładzę bandażę na moich nadgarstkach, pod którymi goją się powoli rany. Poprzednie blizny się zagoiły i trudniej przesuwano się po nich ostrzem, więc musiałam ciąć trochę niżej, co, mam wrażenie, było bardziej bolesne.

Później długo siedzieliśmy z ojcem w ciszy, wyglądając przez okno, a ja byłam pewna, że myślimy dokładnie o tym samym, czujemy dokładnie te same emocje i że tak naprawdę oboje jesteśmy tym nowym gatunkiem.

A później tego samego dnia wykorzystałam nieuwagę jednej z pielęgniarek i wsypałam do kieszeni szlafroka niemalże wszystkie leki, które były przygotowane na wieczór dla pacjentów mojego oddziału, po czym zamknęłam się w swoim pokoju.

Rozdział XXVI

Drogę powrotną do miasteczka przeszłam, zastanawiając się, jak mogę go odnaleźć. Milion razy analizowałam każdą sekundę mojego życia od momentu, gdy mnie zabrał, do momentu, gdy zostałam okrzyknięta kłamczuchą i nigdzie nie znalazłam niczego, co mogłoby wskazywać na to, kim był mój oprawca. A przecież na samym początku starałam się, jak tylko mogłam, zapamiętać każdy szczegół, bo wtedy jeszcze wierzyłam, że się nade mną zlituje i mnie wypuści, albo dam radę uciec. Nie widziałam go. Słyszałam jego głos, ale niczego mi nie przypominał. Nie pachniał również jakoś charakterystycznie, cały czas śmierdział środkami odkażającymi i innymi szpitalnymi zapachami, które znałam tak dobrze.

Nie był ani lekarzem, ani pielęgniarzem, bo miał problemy z zatamowaniem krwotoków i zszyciem ran na nadgarstkach. Pewnie był cholernym amatorem, który do tej misji przygotowywał się z aptecznymi produktami i filmikami w Internecie. A później ćwiczył na mnie i na innych jak na jakimś kawałku mięsa.

Do czego się przygotowywałeś? Do czego ćwiczyłeś? Czemu akurat takie rany? Czemu akurat takie stacje miała ta droga krzyżowa?

Nie daje mi spokoju to, jak nas wybierałeś. Musiałeś się czymś kierować, do cholery, musiałeś! Nie porywałeś nas przypadkowo, to niemożliwe. Chociaż bardzo dobrze wiem, że wielu seryjnych morderców właśnie tak robiło. Czuli impuls i za nim podążali.

Ale mam przeczucie, że w tym przypadku było inaczej.

Wiem też, że mieszkasz niedaleko. Wszystkie ciała zostały porzucone na terenie naszego województwa, ale dziewczyny mieszkały na obszarze całego kraju. Być może ja albo one dorastałyśmy w twoim towarzystwie, patrzyłyśmy na twoją twarz, rozmawiałyśmy z tobą, nie wiedząc, że będziesz ostatnią żywą osobą, której obecności zaznamy przed śmiercią.

Łączy nas jeszcze wiek – wszystkie miałyśmy mniej niż trzydzieści lat, ale na tym podobieństwa się kończą. Byłyśmy chude, grube, jasnowłose, ciemnookie, wysokie, niskie, ładne i brzydkie. Nie było między nami niemalże żadnego wizualnego podobieństwa.

Ale coś musiało być, do cholery!

Były biedne czy bogate? Z poprawnych czy patologicznych rodzin? Wychowywane przez samotnych czy oboje rodziców?

Powoli wspinam się po schodach starego budynku, w którym mieści się komisariat policji, zastanawiając się, jak to rozegrać, żeby mnie nie spławili.

Budynek jest stary, ale gdy wchodzę do środka, widzę, że niewiele się zmieniło od czasu, gdy byłam tu ostatnim razem, wiele, wiele lat temu. Najpierw po tym, co stało się z braciszkiem, później po tym, co stało się z ojcem. I potem, gdy wypełzłam

z dziury w ziemi jak biblijny wąż i zatrułam życie mojej rodziny. Chociaż czy to w dalszym ciągu była moja rodzina?

Zużyte, wytarte linoleum, drewniane ramy okienne, przez które zimą z pewnością przenikał chłód i ten wierzący w nosie smród stęchlizny, od którego zawsze robi mi się niedobrze. Podchodzę do siedzącego w dyżurce policjanta. Spoglądam na niego, ale jego twarz nie wydaje mi się znajoma. Wygląda na o wiele ode mnie starszego, ale nie sądzę, aby rzeczywiście tak było – postarzają go pojawiająca się łysina, puciołowata, czerwona twarz świadcząca o nadciśnieniu i wyraźny piwny brzuch.

– Dzień dobry – mówię do niego. – Czy Alicja dziś pracuje?

Mężczyzna podnosi na mnie wzrok i przygląda mi się przez chwilę. Z lekkim obrzydzeniem zauważam, jak prześlizgnął się po mnie powoli wzrokiem, od góry do dołu, zatrzymując dłużej na dekolcie, aż poczułam na grzbiecie ciarki. Następnie zawiesił wzrok na mojej twarzy i uważnie patrzył przez jakiś czas, na pewno zastanawiając się, skąd mnie zna. Po chwili jego tępe spojrzenie zniknęło i pojawił się uśmiezek, a ja dobrze wiedziałam, że to nie będzie dla mnie miła wymiana zdań.

– To ty! – wykrzyknął z triumfem. Skrzywiłam się i zauważyłam obrączkę na jego palcu.

– Czy Alicja dziś pracuje? – pytam kolejny raz, dając do zrozumienia, że nie mam ochoty na pogaduszki, ignorując to, że mężczyzna zwraca się do mnie na ty.

– Co tym razem się stało? Znowu zabalowałaś i cię porwali? Czy tym razem może gwałt? To ostatnio modne. – Mężczyzna zarechotał obrzydliwie, a mi podniosła się ręka, którą z całej siły bym go uderzyła, ale zamiast tego mocno chwyciłam blat kontuaru, zaciskając na nim palce tak, aż zbieleły.

– Czy Alicja dziś pracuje? – pytam kolejny raz i obiecuję sobie, że ostatni. Za chwilę zrobię mu krzywdę.

– Słyszałem, o co pytasz, nie jestem głuchy. Pracuje, powinna być na miejscu. Pokój 25, ale pewnie jest na papierosie.

Bez słowa oddalam się w głąb budynku, nadal fizycznie czując, jak wzrok policjanta wędruje po mnie od góry do dołu, ale nie jestem już skrępowana. Jestem wściekła.

W moim życiu już wystarczająco dużo razy potraktowano mnie jak kawałek mięsa.

Kieruję się ku wyjściu na tylny dziedziniec, gdzie chodziłam palić po przesłuchaniach, zanim sprawa została przeniesiona na wyższy szczebel, do oddziału w mieście. Mija mnie dwóch młodych funkcjonariuszy, obrzucają mnie szybkim spojrzeniem, ale potem dzieje się to, co zawsze – odwracają głowę jeszcze raz i skanują wzrokiem moją twarz, zastanawiając się, skąd mnie znają, po kilku sekundach ich twarze się rozjaśniają. Nachylają się do siebie, szepcząc coś i patrząc wprost na mnie, więc nie mam wątpliwości, że mówią o mnie.

„Patrz, to ta psychopatka, która chciała się zabić, ale się przestraszyła i wymyśliła, że ktoś ją porwał i torturował! Pamiętasz ją? To ta pieprznięta córka doktorka, który spadł ze schodów i skreślił kark! Jak to którego, tego właściciela prywatnego psychiatryka dla bogatych, tego za miastem, na wzgórzu. Cóż za przypadek, nie sądzisz? Ojciec psychiatra i walnięta córeczka. Przynajmniej miał ją gdzie zamknąć”.

Słyszałam różne wersje tych rozmów tyle razy, że mogłabym napisać książkę złożoną z wypowiedzi i obelg. A najczęściej powtarzane słowa to te, które najbardziej mnie bolą.

Kłamczucha. Psycholka. Wstyd dla całej rodziny. Pewnie jej ojciec sam się zabił, bo nie radził sobie z tym, że jego córka jest szalona. Ta rodzina musi być przeklęta, pieniądze to nie wszystko.

Pcham z całej siły duże, mosiężne drzwi prowadzące na dziedziniec, na którym znajdują się wydzielone miejsca dla palących. Wbrew temu, że palenie staje się coraz mniej modne, widzę sporo kopcących ludzi stojących w grupkach, plotkujących i wymieniających się zapewne mało istotnymi informacjami. Stoję tak przez chwilę i myślę o tym, że ja nigdy nie wychodziłam na papierosa z koleżankami z pracy. Zawsze się mijałyśmy i zastanawiam się, czy to ja ich unikałam, czy one mnie? Sama nie wiem, już nie pamiętam, jak to się zaczęło.

W pewnym momencie dostrzegam ogromną burzę blond loków, przez które przebijają się promienie słoneczne, sprawiając wrażenie, jakby głowę Alicji okalała aureola. Stoi w gronie kilku osób, a z ich gardeł dobywa się gromki śmiech. Chciałabym być między nimi i też roześmiać się z czegoś w głos. Nie wiem, kiedy ostatni raz miałam ku temu okazję.

Zastanawiam się, jak to rozegrać, boję się do nich podejść. Miałam nadzieję, że Alicja będzie sama i wtedy bez problemu z nią porozmawiam. Nienawidzę natrafiać na spojrzenia innych osób, nie lubię na nich patrzeć i nie lubię, gdy patrzą na mnie. A już najbardziej nie lubię tego właśnie tutaj, gdzie wszyscy albo znają mnie osobiście, albo z widzenia, albo z legendarnych opowieści o szalonej Laurze samobójczynie, która przyniosła tej zapadłej dziurze jako taką sławę.

Serce przyspiesza, gdy kieruję się w stronę głośnej grupy, a po chwili spływa na mnie uczucie ulgi, gdy Alicja mnie zauważa. Przez chwilę mi się przypatruje, mówi coś do swoich towarzyszy,

po czym oddała się od nich i podchodzi do mnie z uśmiechem na ustach.

– Laura! – Alicja jest naprawdę uradowana. Wyciąga do mnie ręce i nim się spostrzegam, tonę w jej uścisku. Na początku bardzo się spinam, ale po chwili odpuszczam.

Kiedyś matka przytulała mnie bardzo często, a przynajmniej tak mi się wydaje. Przestała mnie przytulać i dotykać od tego dnia, w którym moja śliczna, malinowa sukienka cała była we krwi, a ja chciałam wdrapać się na jej kolana z uśmiechem na ustach. Od tamtego dnia przytulał mnie tylko ojciec i czasami moi bracia. A odkąd ich zabrakło, nie przytula mnie już nikt.

Po tym wszystkim, co stało się w ciemnej norze pod ziemią, w moim piekle, które zgotował mi człowiek, nie jestem w stanie znieść żadnego dotyku. Dotknięcia cudzej dłoni, podczas gdy wydaję resztę w kawiarni, czy otarcia się o mnie w zatłoczonym autobusie. Gdybym mogła, ubrałabym się w niewidzialny kombinezon, który odgrodziłby mnie od jakiegokolwiek dotyku, czy choćby muśnięcia.

Ale Alicja jest inna. Mimo że jej wybuchy czułości sprawiają, że przebiega mnie dreszcz, a serce bije szybciej, to gdy już tonę w jej uścisku, przez chwilę, przez krótką chwilę, odprężam się i czuję się jak w domu. Chociaż to określenie w mojej sytuacji nie jest odpowiednie, to nie umiem go inaczej nazwać.

– Nie wiedziałam, że przyjechałaś – mówi kobieta, całując mnie po kolei w policzki, chuchając na mnie oddechem o zapachu papierosów. Chwyta mnie za ramiona, po czym spogląda w moje oczy, a z jej twarzy znika uśmiech. – Bardzo mi przykro z powodu Michała. Jeśli jest cokolwiek, cokolwiek co mogę dla ciebie zrobić, powiedz mi. Cokolwiek!

Uśmiecham się delikatnie i czuję, jak ten nagły wodospad czułości sprawia, że uginają się pode mną nogi i cała jestem jak z waty, nie rozumiejąc, jak ktoś może okazać mi tyle dobrych uczuć. Ja na to nie zasługuję.

– Chodź, usiądziemy sobie na ławce i zapalimy. Bardzo się cieszę, że cię widzę.

Rozdział XXVII

Alicja była moją przyjaciółką od dziecka i teraz jak o tym myślę, to była moją jedyną przyjaciółką w ogóle. W naszym miasteczku większość z nas się znała, choć nie ma co ukrywać, że biedni trzymali się z biednymi, a bogaci z bogatymi i raczej się nie mieszałyśmy. Każdy żył w swojej bańce i w tej bańce starał się wychowywać swoje dzieci.

Alicja była córką kuzynki mojej matki i mieszkała dwa domy od nas. Nie miała rodzeństwa, mimo że jej matka chciała mieć przynajmniej czwórkę dzieci i często powtarzała to z żalem w oczach. Podczas porodu Alicji wdały się komplikacje i zajście w ciążę nie było już dla niej możliwe.

W okolicy mieszkało naprawdę sporo dzieci w wieku podobnym do mojego i moich braci, więc nie mogliśmy narzekać na brak rozrywek, a przecież najlepiej bawić się, gdy jest nas spora grupa. Ja od małego wolałam trzymać się z chłopakami. Pewnie po trochu dlatego, że sama wychowywałam się z braćmi, ale też przez to, że ich zabawy podobały mi się bardziej. Nie interesowały mnie lalki, zabawy w dom, kolorowanki czy puzzle. Wolałam

bawić się z chłopakami w podchody, polować z nimi na żaby i motyle, które później ginęły w męczarniach, wspinać się po drzewach, strzelać ze zrobionych przez nas łuków...

Myślę, że najpierw dzieci, a później ich rodzice zaczęli zauważać, że jestem inna niż reszta rówieśników, że jest ze mną coś nie tak. Z początku nazywali mnie dziwną, a później niebezpieczną.

Pokazywałam ich dzieciom martwe płazy i gryzonie, w które wpatrywałam się z namaszczeniem, podczas gdy one uciekały z krzykiem. Lubiłam sprawiać, żeby się bały, chociaż sama nie wiem, dlaczego miałam taką potrzebę. Lubiłam je znienacka popchnąć do kałuży, a czasami z pomostu na naszym miejskim jeziorze. Albo w kierunku czegoś, czego się bały, jak żaby czy sieci pomiędzy drzewami, na których czaiły się wielkie pająki. Na placu zabaw, gdy huśtałam któreś z nich, lubiłam złapać gwałtownie za łańcuch, a one traciły równowagę i spadały na piach.

Nie do końca wiem, jakiego rodzaju satysfakcję czerpałam z tych drobnych uszczypliwości, ale pamiętam, że zawsze wtedy się uśmiechałam, robiło mi się błogo, jakbym patrzyła na jakieś swoje dzieło, które właśnie ukończyłam, a w które włożyłam bardzo dużo uczucia i pracy. Obserwowanie tego, jak się przewracały, upadały, piszczwały i krzyczały ze strachu, podczas gdy ja stałam nieruchomo i z uwagą im się przyglądałam, przyprawiało mnie o dreszcze ekscytacji i samozadowolenia.

Kiedyś jedna z dziewczynek zapytała mnie, czemu to zrobiłam – dlaczego popchnęłam ją wprost do głębokiej kałuży. Pytała, czy coś mi zrobiła, czy jestem na nią zła.

Powiedziałam, że nie. I nie byłam w stanie odpowiedzieć jej, dlaczego to zrobiłam. Po prostu obserwowanie jej reakcji, jej

strachu i zachowania sprawiało mi ogrom satysfakcji. Tylko tyle i aż tyle.

Z czasem coraz mniej dzieci chciało się ze mną bawić, a pozostałym po kolei zabraniali rodzice. Została tylko Alicja. No i moi bracia.

– Ile jeszcze mu zostało?

Alicja nigdy nie miała problemu z zadawaniem trudnych pytań i za to ogromnie ją szanowałam. Bez skrepowania, bez owijania w bawełnę. Dziś trudno znaleźć takich ludzi.

– Niewiele. Myślę, że kilka dni. Bardzo się męczy.

Zapada cisza przerywana pstrykaniem zapalniczki. Po chwili obie mocno się zaciągamy.

– Życie jest kurewsko niesprawiedliwe. Ale tobie chyba nie muszę tego mówić.

Uśmiecham się delikatnie pod nosem.

– Chciałam z tobą o czymś porozmawiać.

– Jasne, dawaj!

Znów zastawiam się, czy jest sens poruszania tego tematu, czy to jest tego warte, jak Alicja zareaguje i po raz ostatni podejmuję decyzję.

– Chciałam porozmawiać o moim porwaniu.

Spogląda na mnie, jakby chciała się upewnić, czy dobrze usłyszała, ale jej oczy nie wyrażają żadnej emocji. Może jedynie odrobinę ciekawości. Bo Alicja nigdy nie negowała tego, że zostałam porwana, ale też nie starała się mnie w tym utwierdzić. Dla niej najważniejsze było to, że stało mi się coś złego, a czy kłamałam, czy mówiłam prawdę, było dla niej o wiele mniej istotne.

– O czym dokładnie?

Rozglądam się dookoła i czekam, aż przejdzie koło nas grupka policjantów, którzy patrzą się na mnie jak na cholerny okaz w zoo. Pewnie plotka już rozeszła się po budynku i za moment zawita tu pół posterunku, żeby przez chwilę popatrzeć sobie na sławną dziwaczkę.

– Nie będę owijać w bawełnę, Alicja. W wyniku splotu różnych wydarzeń zrozumiałam, że ja nie byłam jego jedyną ofiarą i obie dobrze wiemy, że ja wcale nie powinnam była przeżyć. On nigdy tego nie chciał, to był przypadek, że udało mi się uciec. Przez lata myślałam, że po prostu przestał i zapadł się pod ziemię. Że planował zemstę, planował, że mnie dopadnie i skończy to, co zaczął. I nie twierdzę, że tak nie jest, każdego dnia, odkąd to się stało, boję się, że po mnie wróci. Ale wiesz, Alicja, to był tylko mój problem. Dziś wiem, że to nieprawda, bo on w dalszym ciągu poluje i morduje niewinne dziewczyny. Ja nie byłam jego celem. Zarówno ja, jak i reszta ofiar byłyśmy tylko środkiem do celu.

– Jakiego celu? – pyta odruchowo moja przyjaciółka.

Marszczę nos i przetykam głośno ślinę. Błagam, niech ona mi uwierzy! Niech mi pomoże!

– Nie wiem.

Zapada milczenie. Obie wpatrujemy się przed siebie i po chwili odpalamy kolejnego papierosa.

– Mów dalej.

– Wierzysz mi?

– To chyba nie ma większego znaczenia, nie sądzisz? – Uśmiecha się do mnie, a mi robi się troszkę lżej na sercu.

– Przyszedł do mnie niedawno chłopak, który prowadzi stronę o niewyjaśnionych zbrodniach, ale też o dziwnych zgonach, których policja nigdy nie określiła jako morderstwa. Sporo rodzin

pisze do niego i prosi o publikowanie artykułów na temat ich zmarłych bliskich, bo nie wierzą w to, co orzekła policja. Ma tam dużo danych, dużo opisów i szuka powiązań pomiędzy sprawami, którymi się zajmuje. Bez zbędnego przedłużania – wziął na tapet także mnie.

Sięgam do torby i wyjmuję z niej telefon. Zrobiłam screeny zdjęć dziewczyn powiązanych z moją sprawą i szukam ich w galerii.

– Urazy powtarzają się, ale nie zawsze. Mam wrażenie, że on stosuje pewien schemat, robi krok za krokiem, tylko nie zawsze tym dziewczynom udaje się do kolejnego kroku dożyć.

– A co się powtarza?

– Zawsze, ale to zawsze zaczyna się od zatrucia. Podaje im jakiś popieprzony koktajl, a później je ratuje. Oczywiście, zakładając, że udało mu się od pierwszego razu. Może być tak, że na początku jego ofiary nie przechodziły nawet tej pierwszej próby.

Pokazuję Alicji zdjęcia i powoli przesuwam je na ekranie telefonu. Bierze ode mnie aparat i sama zaczyna przesuwac rolę.

– Zobacz, to nie może być przypadek, niemalże każda ma podcięte nadgarstki, często w opisie jest podane, że były szyte. I to prawda, dobrze pamiętam, jak zszywał mi je na żywca, nie przejmował się tym, że mnie bolało i że krzyczałam przez knebel. Wcześniej myślałam, że nie zwracał na to uwagi, bo był pieprzonym sadystą, ale dziś uważam, że on po prostu nie potrafił tego robić dobrze, nie był pewien i skupiał się nad samym procesem szycia, nie dostrzegając, co działo się dookoła, starając się nie rozproszyć. To nie może być nikt z wykształceniem medycznym, nikt kto...

– Laura – mówi cicho Alicja, a ja milknę. Moje dłonie się trzęsą, gardło wyschło, czuję się niezdrowo podniecona. – Proszę, powiedz

prawdę. Czy to ma coś wspólnego z chorobą Michała?

Przez chwilę mrugam szybko, próbując zrozumieć, skąd to pytanie.

– Co masz na myśli?

– Czy powrót do tego, co ci się przytrafiło, cokolwiek to było, to nie jakiś mechanizm obronny, żeby odsunąć od siebie to, co dzieje się z twoim bratem?

Wpatruję się w nią, starając się pojąć to, co właśnie powiedziała. Chwilę później łzy napływają mi do oczu, spuszczam głowę i uśmiecham się sama do siebie. Idiotka. Jesteś idiotką, Laura.

– Nie. Wszystko, co mówię, to prawda.

– To czemu wszystkim powiedziałaś, że kłamałaś?

Podnoszę wzrok na nią i kontempluję przez chwilę nieprzenikniony wyraz jej twarzy.

– Bo nikt mi nie wierzył – mówię cicho, wbijając wzrok w betonową ścieżkę, próbując zapaść się pod ziemię. – Tak było prościej. A właściwie miało być prościej.

Nie miałam innego wyjścia.

Przez chwilę obie milczymy, słysząc oddalone rozmowy i śmiechy pracowników posterunku relaksujących się na papierosie nieopodal nas. Alicja oddaje mi telefon.

– Wyślij mi te zdjęcia na mejla, okej? I wpadnij do mnie na drinka dziś wieczorem. Dzieciaki są u dziadków, a Filip jest w delegacji, więc będziemy miały chwilę spokoju.

Podrywam do góry głowę, nie do końca wiedząc, co właśnie się stało. Czy ona naprawdę mi pomoże?

– Laura, ziemia do Laury. – Uśmiecha się kobieta. – Przyjdiesz?

– Jasne, że tak. Przepraszam, że zajęłam ci tyle czasu.

Wstaję z ławki i zarzucam na ramię torbę.

– Daj spokój. Trzymaj się, do zobaczenia!

Odwracam się i opuszczam dziedziniec. Po chwili dochodzę do wniosku, że dziwnie się czuję, coś dziwnego ze mną się dzieje i za bardzo nie rozumiem, co to jest. Wychodząc z budynku, już wiem.

To iskierka nadziei grzeje moje skamieniałe serce.

Rozdział XXVIII

Nie chcę wracać do domu z wielu różnych powodów. Nie mogę patrzeć na umierającego brata. I nie mogę patrzeć na żyjącą matkę. Nie wiem, czego oczekiwałam, gdy tu jechałam. Chciałam pożegnać się z Michasiem.

Gdyby nie było matki, byłoby prościej.

Po raz kolejny wracam do pewnego wspomnienia z dzieciństwa i znów zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdyby cała ta sytuacja potoczyła się inaczej.

Wtedy miałabym święty spokój. Również matka by tego spokoju w końcu zaznała.

Znowu jestem w centrum miasteczka i siadam na rynku, na ławce rozgrzanej przez słońce. Metalowe elementy palą mnie w uda. Powoli na ulicach zaczynają pojawiać się przechodnie, nie jest już tak pusto, jak było rano. Miasteczko zaczyna tętnić życiem, żeby znowu zatrzymać się koło dwudziestej drugiej i zapaść w sen.

Zastanawiam się, czy wrócić do domu, czy usiąść w którejś z knajpek i poczekać do wieczora, zanim udam się do Alicji.

Patrzę na zegarek i podskakuję, gdy nagle dzwoni mój telefon. Spoglądam na wyświetlacz i odbieram.

– Cześć. Jak leci?

– Jak zwykle. I jak, kiedy można się ciebie spodziewać?

– Przyjadę jutro rano, musiałem ogarnąć kilka spraw. Jak się nazywa ten hotel, w którym mam się zatrzymać?

– Hotel – parsknęłam. – Co najwyżej zajazd. Nie wiem, czego ty się tu spodziewasz, ale hoteli z pewnością tutaj nie ma.

– Dobra, zajazd. Wyślesz mi dokładny adres?

– Jasne.

Zapada cisza i wyczuwam lekkie napięcie.

– I jak? – odzywa się po chwili Dorian. – Rozmawiałaś z nią?

– Tak.

– Jak wrażenia?

– Myślę, że może nam pomóc. A przynajmniej spróbuje. Zobaczymy, opowiem ci jutro, bo dziś wieczorem idę ją odwiedzić. Jak przyjedziesz, będziesz miał najświeższe informacje.

Zapada cisza. Słyszę przyspieszony oddech chłopaka w słuchawce.

– Stresujesz się?

– Nie, co ty. Ale jestem podekscytowany. Tyle lat czekałem na to, żeby ktoś wziął mnie na poważnie!

– Dorian, proszę cię, nie nastawiaj się. Równie dobrze mogę się niczego nie dowiedzieć.

– Zabijasz mój entuzjazm.

– Po prostu nie chcę, żebyś się rozczarował.

Pamiętam, jak ja się rozczarowywałam raz po razie. Jak po tym paskudnym reportażu z moim zdjęciem dzwoniły do mnie redakcje chcące „porozmawiać”. A ja miałam nadzieję, że oni mi

uwierzą, że będę mogła wszystko wytłumaczyć, jakoś się usprawiedliwić... Nikt nie dał mi takiej możliwości.

– Do jutra, Laura.

Chłopak się rozłącza, a ja jeszcze przez chwilę wpatruję się w ekran komórki. Po chwili chowam ją do kieszeni, a moje myśli znowu wracają do Michasia. Nie powinno się tak umierać. Śmierć jest nieodzownie związana z życiem, zdaję sobie z tego sprawę bardziej niż ktokolwiek inny, ale to, w jaki sposób umiera mój brat... Jak choroba zżera go od środka, pożera każdy żywy kawałek tkanki, zadając ból, którego nie są w stanie uśmierzyć żadne leki w jakiegokolwiek dawce. Jedynie w dawce śmiertelnej.

To czekanie na śmierć w bólu jest czymś, co nie powinno nigdy mieć miejsca. Ludzie są do tego zmuszani chyba tylko po to, żeby poczuć ulgę w momencie odejścia. Nie widzę innego wytłumaczenia. Gdyby tak cierpiało jakiegokolwiek stworzenie, które spotkałam na swojej drodze, skróciłabym jego cierpienia.

Czemu to ja przeżyłam? Czemu to ja wygrzebałam się z nory ledwo żywa lata temu i dzisiaj jestem tutaj? Ja, Laura, zła Laura, niosąca śmierć Laura, Laura innego gatunku. Na pewno bardziej zasłużyłam na śmierć w męczarniach niż mój brat.

Matka miała rację. Powiedziała na głos tylko to, co ja sama bałam się wypowiedzieć.

Wzdycham ciężko i spoglądam w jasne niebo, na tle którego szybują jaskółki. Zamykam na chwilę oczy, grzejąc twarz w ciepłych promieniach słońca, po czym wstaję z ławki. Nogi mam ciężkie, jakby były z betonu, jednak konsekwentnie stawiam krok za krokiem i kieruję się w stronę parku, w środku którego znajduje się sztuczne jezioro, a wokół niego wije się wysypana białymi kamyczkami ścieżka.

Rozdział XXIX

– Czy możesz się w końcu na coś przydać?

Matka gwałtownie ściąga z moich uszu słuchawki, z których dobiega muzyka klasyczna. Podrywam głowę znad książki i spoglądam na nią ze złością.

Zazwyczaj matka po prostu mnie ignoruje i przychodziło jej to z łatwością od śmierci ojca. Niekiedy było mi z tego powodu przykro, innym razem byłam zła, ale z czasem doszłam do wniosku, że to nawet lepiej. Gdy mnie ignoruje, jej wahania nastroju, jej niezrozumiałe dla mnie frustracje i pretensje przestają mnie dotyczyć. Później już do tego się przyzwyczaiłam i żyło mi się lepiej, wiedząc, że te wszystkie tornada i tajfuny toczące się we wnętrzu jej ciała mnie nie dosięgają.

Ale dziś było inaczej. Matka musiała mieć naprawdę zły dzień albo znowu zapomniała wziąć swoich leków. Nie było już ojca, który by jej pilnował. Gdy go zabrakło, czasami o nich pamiętała, czasami niekoniecznie. Przypominała sobie, gdy zaczynało jej się chcieć tłuc wszystkie naczynia w kuchni i uderzać głową w ścianę. Co się zdarzało.

Zawsze wtedy krzyczała na mnie, wylewając niekończące się żale i litanie pretensji, pluła jadem pełnym nienawiści. Wtedy zazwyczaj pojawiał się Michał, to on ją uspokajał i pilnował, żeby brała leki, przynajmniej przez jakiś czas. Kilka tygodni później sytuacja się powtarzała.

– Wzięłaś leki? – zapytałam w odpowiedzi na jej zaczepkę.

Odwróciła się do mnie, zrzucając z impetem z kuchennego blatu słoik z solą.

– Zobacz, co zrobiłaś – syknęła. – Naprawdę musisz mnie nienawidzić.

Wyciągnęła z szafki szufelkę i zmiotkę i trzęsącymi dłońmi zaczęła zamiatać podłogę.

Nie, matko.

Wcale cię nie nienawidzę. Udowodniłam to tak, że chyba wyraźniej się nie dało.

– O co chodzi? – pytam cicho, zaciskając dłonie w pięści, próbując uspokoić wrzącą w moich żyłach krew.

– Potrzebuję mąki.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Czy ja za ciebie muszę też myśleć? – Matka wsypała z impetem kawałki zbitego słoika i resztki soli do kosza na śmieci pod zlewem, wrzuciła w ślad za nimi szufelkę i zmiotkę, po czym z hukiem zamknęła szafkę. Odwróciła się do mnie, jedną dłonią oparła się o blat, a drugą położyła na swoim kształtnym biodrze.

Mimo upływu lat i tragedii, które ją spotkały, wciąż była przepiękna.

Gęste, długie, kręcone włosy, w których zaczęły pojawiać się srebrne nitki, opadały kaskadą na jej szczupłe ramiona. Piękne, duże usta wygięte były w podkówkę, a śliczne, ciemne oczy

otoczone gęstymi rzesami, zawierały tyle złych emocji, że aż poczułam dziwne, nieznane mi ukłucie w sercu.

– Chyba nie zauważyłaś, ale piekę ciasto. Skończyła mi się mąka. Czy możesz z łaski swojej iść do sklepu i ją kupić? Czy ja mam wszystko sama robić, jak zwykle?

– Mamo, po co ciasto? Jest już wieczór, nikt nie będzie się napychał na noc słodyczami. Poczekaj do rana, Leokadia upiecze ci takie ciasto, jakie tylko sobie zazyczysz.

Zawsze starałam się zbijać fanaberie mojej matki racjonalnymi argumentami, ale rzadko odnosiłam zwycięstwo. Tamtego dnia też próbowałam, ale spisałam to na straty, zanim otworzyłam usta, bo widziałam już, że matka się uparła. I dla świętego spokoju będę musiała pójść po tę cholerną mąkę.

– Nie – odparła. – Chcę zrobić ciasto. Dzisiaj. Teraz. Pójdiesz do tego sklepu czy nie?

– Michał nie może pojechać?

– Nie. Poprosiłam ciebie.

– Dobrze. Pójdę.

Niechętnie zamknęłam książkę i wstałam od stołu.

– Kup kilogram. Albo nie, dwa. Albo najlepiej trzy!

– Dobrze, mamo.

Włożyłam na powrót słuchawki do uszu, żeby nie musieć jej już więcej słuchać. Zarzuciłam na siebie sweter, wzięłam torbę i portfel, wyszłam z domu, starannie zamykając za sobą drzwi.

Odetchnęłam głęboko rześkim, świeżym powietrzem o zapachu igliwia i ruszyłam przed siebie. Droga była bardzo prosta – trzeba było wyjść z naszej posesji, skręcić w prawo i iść wzdłuż ulicy. Później należało przejść na drugą stronę i przez duży park, na środku którego było sztuczne jezioro oblegane przez dzieciaki

i młodzież, gdy było ciepło. Po wyjściu z parku przechodziło się przez kolejną ulicę i było się w centrum miasteczka, niedaleko rynku, gdzie skupiona była większość sklepów i lokali usługowych.

Tamtego wieczora widziałam w parku raptem kilka osób, kilkoro nastolatków chowających się po krzakach i palących papierosy, może dwóch biegaczy oraz parę na spacerze z psem. Był środek tygodnia, więc nie było w tym nic dziwnego. Poza tym nigdy nie czułam się w miasteczku w żadnym stopniu zagrożona i nie przywiązywałam większej uwagi do tego, czy w razie napadu w okolicy będzie ktoś, kto mi pomoże.

Bo dlaczego to mnie miałyby stać się coś złego?

Rozdział XXX

Na to pytanie nigdy nie ma dobrej odpowiedzi.

Stoję dosłownie kilka centymetrów przed progiem, od którego zaczyna się ścieżka prowadząca w głąb parku i nie mam odwagi postawić kroku w przód. Niemalże czuję, jak jakaś niewidzialna bariera otacza park i mam wrażenie, że poparzy moją skórę, gdy tylko podejść za blisko.

Jest środek dnia, nie mam słuchawek na uszach, nie widzę nikogo, ale słyszę dziecięce krzyki dochodzące zapewne z jeziora.

Przestępuję z nogi na nogę, wstrzymuję powietrze za każdym razem, gdy decyduję się wejść na ścieżkę, po czym wypuszczam je, gdy jednak się cofam. Moje dłonie drżą, a oczy wilgotnieją, kiedy potokiem niecenzuralnych słów karzę samą siebie, gdzieś wewnątrz mojej głowy.

Jest tyle uczuć niepozwalających mi spać.

Jest tyle wrzasków szarpiących każdą struną mojego nie niewartego ciała.

Jest tak wiele pustych przestrzeni, w których oplatom ramionami swoje własne echa.

Myślę, że mam tak wiele słów, które szeptem wypełniłyby ciszę, a której nie mogę już znieść. Ja nie mogę dalej być ofiarą. Ofiarą niekochającej matki, ofiarą kochającego ojca, ofiarą nienasyconego mordercy, ofiarą mediów.

To kiedyś musi się skończyć.

To był tylko mały krok, który kosztował mnie więcej siły, niż wygrzebanie się z grobu. Od chrzęstu pod moimi stopami powinna pęknąć ziemską skorupa, a świat ogarnąć kataklizmy; powinnam usłyszeć trzask upadku z bardzo wysoka, jak gdyby aniołowi odpadły skrzydła i upadł z hukiem z niebios wprost na rozgrzaną do czerwoności ziemię.

Nawet nie wiem, kiedy z oczu pociekły mi łzy, bo moje policzki są mokre i czuję zimno smagającego je wiatru. Wzięłam głęboki oddech, wtłaczając do płuc powietrze, które, mam wrażenie, pachnie i smakuje inaczej niż przed sekundą.

Nagle słyszę delikatny szmer w oddali. Otwieram czujnie oczy i spoglądam w stronę, z której dochodzi. Nie ruszam się, oddycham powoli i czekam, aż szmer się powtórzy i rzeczywiście po chwili się to dzieje.

Dostrzegam ledwo widoczną wśród gęstwiny łąnię. O tej porze roku na pewno jest z koziółkiem. Zaciskam dłonie w pięści, tłumiąc w sobie długo zapomniany odruch.

Odrywam wzrok od czarnych studni oczu młodej matki i spoglądam przed siebie, po czym wolnym, delikatnym krokiem zaczynam zmierzać w kierunku jeziora. Po jakimś czasie się zatrzymuję. Od wody dzieli mnie piętnaście, może szesnaście metrów.

Zamykam oczy i przypominam sobie ten moment.

Jego największą przewagą był element zaskoczenia. Nie dość, że się nie spodziewałam ataku, to na dodatek nie słyszałam napastnika, mając słuchawki w uszach. A przecież musiał do mnie podbiec, skądś musiał się wziąć!

Miałam wrażenie, że ktoś wskoczył mi na plecy i że zaraz się przewrócę, dlatego wyciągnęłam ręce przed siebie, ale on brutalnie zatrzymał mnie w swoim uścisku, zamykając ramię na mojej szyi, aż usłyszałam nieprzyjemny trzask i przez moją głowę przebiegła myśl, że złamał mi krtań. Z impetem zacisnął drugą dłoń na nosie, ustach i szczęce. Nie zdążyłam wydać z siebie ani jednego okrzyku.

Wiele razy się za to winiłam. Nie wiem, czy choćby pojedynczy krzyk cokolwiek by zmienił, czy ktoś by usłyszał, co się dzieje, czy by mi pomógł albo chociaż zadzwonił na policję?

Szmaciana torba, w której miałam portfel i trzy kilogramy mąki dla matki, upadła na ziemię i nigdy więcej jej już nie widziałam.

To były sekundy. Szarpałam się i próbowałam krzyknąć, ale na nic to się zdało. Kilka chwil później odpłynęłam i nie wiem, czy w wyniku paniki, braku powietrza, czy może środka odurzającego, który mi podał. A może zaaplikował mi go później, przedłużając moją utratę świadomości.

Był wieczór, na dworze było jeszcze widno. Jak mnie stąd zabrałeś? Czy przedzierałeś się przez gęste zarośla i krzewy, czy po prostu schowałeś się wraz ze mną w gęstwinie, czekając aż się ściemni?

Spoglądałam przed siebie i wpatruję w ciemną, marszczoną wiatrem tafelę wody. To była ostatnia rzecz, którą widziałam, zanim pochłonęła mnie czerń.

A później obudziłam się w piekle.

Rozdział XXXI

Spaceruję pomiędzy półkami niewielkiego marketu, zastanawiając się, co kupić. Nie chcę pokazać się u Alicji z pustymi rękoma, a że sama nic nie ugotuję, to myślę, co w miarę wykwintnego mogłabym kupić. Rozglądam się dookoła, aż w końcu macham ręką i ładuję do koszyka chipsy, kilka różnego rodzaju serów i dwie butelki wina ze średniej półki. Biorąc pod uwagę moją kondycję finansową, wydam za dużo i trochę mnie to stresuje, ale staram się o tym nie myśleć.

Podchodzę do kasy i czekam w kolejce. Przede mną są dwie osoby, kobieta i mężczyzna, i mam nadzieję, że nie zwrócą na mnie uwagi, bo jest duża szansa, że ich znam. Nie mam ochoty z nimi rozmawiać ani uginać się pod ich wymownymi spojrzeniami.

Wykładam powoli zakupy na taśmę, ale ona rusza się i zatrzymuje tak gwałtownie, że upadają postawione na sztorc obie butelki wina. Nic się nie dzieje, nie tłuką się, ale robią wystarczająco dużo hałasu, by wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie. Uśmiecham się przepraszająco, nie podnosząc wzroku.

Stojący przede mną mężczyzna odwrócił się w moim kierunku i zastygł.

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego, a on zmrużył jasne oczy, jego twarz napięła się, jakby starał przypomnieć sobie, skąd mnie zna, po czym gwałtownie się odwrócił. Wpatrywałam się przez chwilę w tył jego głowy, zastanawiając się, skąd ja go znam. Kiedy pakował szybko zakupy do siatki, a kasjerka zaczęła naliczać moje zakupy, przypomniało mi się.

– Siatkę?

– Tak, poproszę – odparłam niecierpliwie, chcąc dogonić oddalającego się szybkim krokiem mężczyznę. Przyłożyłam kartę do terminalu, ale on zapiszczał.

– Proszę włożyć kartę do terminalu.

Westchnęłam ze zniecierpliwieniem.

– Proszę wpisać PIN.

Chwilę później wychodziłam już z budynku i zbiegałam po schodach. Rozejrzałam się gorączkowo. Mężczyzna zdążył się już oddalić na sporą odległość, więc postanowiłam do niego podbiec.

– Hej! Hej, ty! – krzyknęłam i jestem pewna, że mnie usłyszał i wiedział, że wołam do niego, bo jego ramiona trochę się skuliły.

Nie dałam za wygraną. Po kilku chwilach dopadłam do niego i zrównałam się z nim:

– Hej, poczekaj chwilę! Pamiętasz mnie?

Dopiero po chwili na mnie spojrzał i przez moment mi się przyglądał. Powoli omiótł mnie wzrokiem, westchnął i powiedział cicho, nie patrząc mi w oczy:

– Tak. Chyba tak.

Uśmiechnęłam się, ale po sekundzie dotarło do mnie, że tak właściwie to nie wiem, czemu za nim biegłam. Chciałam się

przywitać?

– Przepraszam, że tak cię napadłam. Po prostu zobaczyłam cię i zastanawiałam się, kim jesteś. A jak już mi się przypomniało, to chciałam zamienić z tobą kilka słów. Chyba po prostu dowiedzieć się, czy mnie pamiętasz. I przeprosić.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– A za co ty miałabyś mnie przeprosić?

– No jak to, za co? Za tamten pocałunek. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przykro mi. Już cię później nie widziałam i martwiłam się, że cię zwolnili przeze mnie.

– Nie, nie zwolnili. Do dziś tam pracuję. Ale zostałem przeniesiony do innego skrzydła.

– I tak mi przykro. Nie chciałam sprawiać ci nieprzyjemności w pracy.

– Nie było żadnych nieprzyjemności. Sam poprosiłem o przeniesienie.

Och. Jego odpowiedź nic nie zmienia, ale nie spodziewałam się jej. Przypatrujemy się sobie przez chwilę w milczeniu, a mężczyzna co rusz ucieka wzrokiem. Nie wiem, czy jest zniecierpliwiony, speszony czy zestresowany, ale jego nieporadna, zgarbiona sylwetka, nierówno przycięte, gęste włosy sprawiają, że robi mi się ciepło w żołądku i niemalże bez mrugania przypatruję się mu z dziwnego rodzaju czułością, która rozlewa się ciepłem po moim ciele.

Minęły lata, ale jego piękne, niebieskie oczy wcale nie wyblakły.

– Mieszkasz gdzieś w pobliżu? Nigdy wcześniej nie widziałam cię w miasteczku.

Mężczyzna przestępuje z nogi na nogę, po czym powoli podnosi na mnie wzrok i zawiesza go na mojej twarzy.

– Mieszkam tu od urodzenia. Po drugiej stronie torów kolejowych, przy wjeździe na drogę ekspresową.

Aha. W biednej dzielnicy. Nic dziwnego, że wcześniej go nie widywałam, przecież żyłam zamknięta w nowobogackiej bańce.

– Raczej nie wychodzę z domu. Nie lubię. Pewnie dlatego się nie znaliśmy – dodaje, jakby się usprawiedliwiając.

Zapada między nami cisza. Właściwie powinnam już pójść, ale nie wiem czemu, bardzo chciałabym z nim jeszcze chwilę porozmawiać. Mimo że minęło tyle lat, to ja w dalszym ciągu czuję do niego dziwne przywiązanie, niemalże fizycznie odczuwam łączącą nas nić niemego porozumienia, którego nie jestem w stanie opisać. I tak naprawdę wcale nie żałuję, że go wtedy pocałowałam. Nigdy nikogo wcześniej, ani nikogo później nie pocałowałam tak szczerze jak jego, chociaż nawet nie znałam jego imienia.

– Jak masz na imię?

– Igor.

– Ja jestem Laura.

– Wiem – odpowiada, ale po chwili peszy się tą odpowiedzią.

No tak. Przecież wszyscy w miasteczku i okolicy znają histrioniczną Laurę.

– No cóż, nie będę cię zatrzymywać. Miło było cię zobaczyć.

– Do widzenia – odparł chłopak, uparcie wpatrując się w płyty chodnikowe, i odszedł. Kilka chwil później zniknął za rogiem kamienicy, przy której staliśmy.

Patrzyłam za nim i zastanawiałam się, co ze mną jest nie tak, albo i z nim, że tak dziwnie się przy nim zachowuję? Widzę go raptem drugi raz w życiu i w obu przypadkach te spotkania były

co najmniej dziwne. Coś mnie do niego ciągnie, ale nie wiem co, jakbyśmy byli przedstawicielami tego samego gatunku.

Wstrząsam gwałtownie głową, starając się przywrócić mój tok myśli do porządku. Ze mną jest coś bardzo nie tak. Nie żebym tego wcześniej nie wiedziała.

Spoglądam na zegarek, przekładam torbę z zakupami do drugiej ręki i powoli zaczynam wędrówkę do domu Alicji.

Rozdział XXXII

– Wchodź, kochana! Przepraszam cię za bałagan, ale nie chce mi się sprzątać. Chcę czerpać z tego, że dzieciaków nie ma i nie robić kompletnie nic!

Przekraczam próg domu Alicji i rozglądam się dookoła. Dom nie wygląda na duży, ale jest ładny i bardzo przytulnie urządzone. Faktycznie, jest tu nieporządek, ale to chyba właśnie on dodaje mu tej przytulności, której moje mieszkanie nigdy mieć nie będzie.

Szafki w korytarzu pokryte są kurzem i zavalone zabawkami – lalkami Barbie, kucykami Pony i dinozaurami. Na podłodze walają się buty, zarówno dziecięce, jak i dorosłych, wymieszane razem – żadna para nie stoi obok siebie i mam wrażenie, że tych butów są setki. Duże lustro umorusane jest czymś pomarańczowym, może sokiem marchewkowym?

– Laura, chodź do kuchni!

Postałam jeszcze chwilę, spoglądając w swoje odbicie w wielkim lustrze, westchnęłam ciężko i ruszyłam do pomieszczenia, z którego wołała mnie Alicja.

W kuchni jest większy porządek – blaty są czyste, zlew pusty, a z uchylonej zmywarki wyglądają umyte naczynia. Bardzo lubiłam tu przebywać, choć byłam tu raptem kilka razy. Pomieszczenie jest przestronne, wypełnione białymi, wysokimi meblami i można z niego wyjść bezpośrednio na taras, gdzie stoją plastikowe, rozkładane leżaki i plastikowy basen dla dzieci.

Alicja nalewa nam wina – mnie do czystego kieliszka, a sobie do brudnego. Najwyraźniej zaczęła beze mnie, ale nie mam jej tego wcale za złe.

Kładę na blacie reklamówkę z zakupami i wyjmuję po kolei produkty.

– Przyniosłam nam coś do przekąszenia. Nie jest to wykwintne, ale nie dałabym rady niczego przygotować, przepraszam cię...

– Oszalałaś? – Alicja spojrzała na mnie, jakbym bełkotała. – Super! Uwielbiam sery! Usiądź, nie stój tak, napij się, a ja to ogarnę.

Alicja cieszy się, jakbym co najmniej przywiozła ze sobą kawior i trufle, a nie ser pleśniowy i chipsy. Kręci się po pomieszczeniu, wyciąga talerzyki i sztucce, cały czas coś mówiąc, głównie o swoich dzieciach.

Przyglądam się jej z zainteresowaniem i zastanawiam, skąd bierze tyle energii. Skąd ma w sobie tyle radości? Czy jest to coś, co można wyhodować? Albo może przechowywać, kumulować i uwalniać, gdy nadejdzie taka potrzeba?

Ja nigdy taka nie byłam. Wydaje mi się, że może trochę, kiedyś, jak byłam bardzo mała, ale niewiele z tego pamiętam.

Alicja zasługuje na to, co ma. Na kochającego męża, na dzieci, na ten dom. Jest kochana i dobra. W przeciwieństwie do mnie.

– Okej, łap kieliszki i wino, ja wezmę jedzenie i chodźmy usiąść na tarasie. Dobra?

– Dobra.

Siadamy na plastikowych krzesłach i wpatrujemy się w stojący kilka metrów od nas mur porośnięty gęstym bluszczem, na drodze do którego stoi basen dla dzieciaków pełen brudnej wody.

– Boże, jak tu jest cicho. Chciałabym, żeby tak było zawsze. – Śmieje się w głos. – A chwilę później myślę, że za nic w świecie nie oddałabym tego hałasu i rumoru, który z takim zacięciem produkują moje dzieci.

Spogląda w moim kierunku i uśmiecha się, wyciągając kieliszek. Stukamy się i pijemy kilka łyków. Siedzimy w ciszy i wcale nas to nie krępuje, wręcz przeciwnie. Pierwszy raz od dłuższego czasu ogarnia mnie spokój i powoli, powolutku, spływa ze mnie napięcie. Zamykam oczy i oddycham głęboko, rozkoszując się tym rzadkim dla mnie uczuciem.

Wiem, że przyszłam do Alicji w konkretnej sprawie, że chcę porozmawiać o morderstwach, ale w tej chwili nie mam na to ani trochę ochoty. Chcę zatracić się w tej błogości, poczuć się dobrze i bezpiecznie pierwszy raz od dłuższego czasu. I zamierzam się w tym uczuciu zawiesić na tak długo, jak to tylko możliwe.

– Tęskniłam za tobą.

Nie wiem, skąd wyrywają się te słowa, ale poczułam, że je wypowiedziałam dopiero wtedy, gdy sama je usłyszałam.

– Oj, ja za tobą też.

Jestem w stanie się założyć o to, że obie mamy zamknięte oczy i obie się uśmiechamy.

– Ale widzisz, jak jest. Życie pisze nam różne scenariusze. Nasze drogi się rozchodzą i nic na to nie poradzimy, należy się z tym po

prostu pogodzić.

Po chwili śmieje się w głos.

– Pamiętasz, jak znalazłyśmy za garażem u ciebie na podwórku zdechłego szczura i podrzuciłyśmy go twoim braciom do pokoju? Pamiętasz, jak wtedy darli się wniebogłosy? Najbardziej darł się Michał, a przecież był starszy!

Alicja wybucha głośnym śmiechem, a ja jej wtóruję i po chwili czuję, jak od tego śmiechu boli mnie brzuch, a jednak nie mogę przestać. Zachowujemy się, jakbyśmy obaliły kilka butelek wina, a przecież ani ja, ani Alicja nie jesteśmy pijane.

Kilka łez spłynęło po moich policzkach. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się śmiałam. Chciałabym tu zostać na zawsze i na zawsze czuć się jak teraz.

– O Boże, ale my byłyśmy pojebane, Laura! Mów, co chcesz, ale nigdy nie miałyśmy równo pod sufitem.

I temu nawet nie będę próbowała zaprzeczać.

Rozdział XXXIII

– Twoja mama jest dziwna – powiedziała po głębokim namyśle Alicja.

Nie sposób było się z nią nie zgodzić.

Jej mama była zwykła, normalna i jej zachowanie niczym nie przypominało zachowania mojej matki. Dla Alicji wybuchy mojej rodzicielki i jej irracjonalne zachowanie było czymś, do czego nie mogła się w żadnym stopniu odnieść, ani tego zrozumieć. Z kolei ja chyba po prostu się do niektórych rzeczy przyzwyczaiłam i nie zwracałam na nie większej uwagi.

Tamtego dnia mama zleciła sprzątacze wypranie kilku kompletów nowej pościeli, którą kupiła w mieście za horrendalne pieniądze. W domu wybuchła między rodzicami o to ogromna awantura, mimo że dobrze wiem, że nie chodziło o pieniądze, tych mieliśmy pod dostatkiem. One były tylko pretekstem. Wrzaski trwały dobrą godzinę, głównie wydawane były przez matkę, przeplatane histerycznymi szlochami.

Razem z Alicją bez skrępowania stałyśmy na ganku i ostentacyjnie podsłuchiwałyśmy wymianę zdań między moimi

rodzicami, głównie głośne monologi mojej matki, robiącej z siebie jak zwykle ofiarę. Błagała mojego ojca, żeby kochał ją tak jak wcześniej, kiedy byli młodzi, kiedy poprosił ją o rękę, żeby przestał całą swoją miłość przelewać wyłącznie na tę cholerną Laure, pieprzoną dziwaczkę...

Z perspektywy czasu widzę, że każda awantura, kłótnia z najbardziej błahego powodu, była tylko pretekstem matki do wyrzucenia z siebie całego tego nieszczęścia i bólu, które z jakiegoś powodu zżerały ją od środka.

Czy naprawdę brak miłości może doprowadzić do zatracenia się w sobie, utracenia wszystkiego, co cię definiuje i określa? Doprowadzić na skraj urwiska i równoważenia się chęci skoku z pragnieniem pozostania? Czy to po prostu świadomość tego, jak wygląda miłość, co z tobą robi, jak kształtuje cię jako człowieka, a później jej brutalne odebranie sprawia, że stajesz się żalną kupką nieszczęścia?

Co jest gorsze?

Tamtego dnia do mojej ośmioletniej głowy wpadł pomysł, jak się na matce zemścić, chociaż zemsta to chyba niezbyt trafne określenie. Jak odpłacić jej pięknym za nadobne.

– Chodź – powiedziałam do Alicji, po czym ruszyłyśmy żwawym krokiem na podwórko.

Przytaszczyłyśmy z garażu krzesło, na które przyjaciółka pomogła mi wejść. Powoli zaczęłam odpinać klamerki i zdejmować z linki części nowej pościeli matki i podawać je Alicji, która zwijała je nieskładnie. Gdy wszystkie były już zdjęte, wzięłam większość z nich do rąk, bo Alicja wydawała się topić pod ilością materiału, i zaprowadziłam ją przed nasz garaż. Ułożone przed

nim bloki betonu były nierówne i zawsze w tym miejscu po ulewie robiła się duża, błotnista kałuża.

Z namaszczeniem, po kolei, wrzucałam części pościeli do kałuży, dociskając je butem, aby mieć pewność, że na pewno będą mokre i brudne.

Alicja nie mówiła nic, tylko przyglądała mi się z ciekawością, jakby z nadzieją, że zrozumie, po co ja to w ogóle robię.

Ale ja nie miałam zamiaru jej tego tłumaczyć.

Gdy cała pościel była już w kałuży, odeszłam kilka kroków do tyłu i przymrużyłam oczy, spoglądając na dzieło mojego zniszczenia z ogromną satysfakcją i lekkim uśmiechem na twarzy.

Matka wypadła z domu chwilę później ze strasznym okrzykiem na ustach. Zapewne, podczas kolejnej kłótni z mężczyzną życia, nie widziała z okna momentu niszczenia jej pięknej pościeli wartej kupę pieniędzy, ale zauważyła jej brak na linkach do suszenia. Biedny ojciec podążył za nią i, zobaczywszy moje dzieło, lekko osłupiał, ale nie wydawał się zbyt zdziwiony.

Matka podbiegła do kałuży i zaczęła wyciągać pościel, rozchlapując dookoła brudną wodę i wyjąc wniebogłosy, jakby ktoś co najmniej umierał. Po chwili poddała się, rzuciła mokre szmaty na beton i odwróciła się do ojca.

– Widzisz, co zrobiła? Czy ty widzisz, co ona zrobiła?

Moja rodzicielka trzęsła się jak w febrze, z oczu ciekły jej łzy, ale nie szlochała, tylko wpatrywała się wyczekująco w mojego ojca i jestem pewna, że – jak zwykle – miała w głowie przygotowaną odpowiedź, który którą powinien wypowiedzieć na głos i oboje, zarówno ja, jak i ojciec, wiedzieliśmy, że jeśli powie coś innego, to matka wpadnie w furję.

Do tego chyba też już się przyzwyczailiśmy.

– Karina, daj spokój, to przecież tylko dziecko – powiedział ugodowo ojciec.

Matka nie odzywała się, dysząc ciężko, i świdrowała go wzrokiem pełnym uczuć, których wtedy jako dziecko nie rozumiałam.

– Nie dziecko – odezwałam się. – Tylko pieprzona dziwaczka.

Matka zachłysnęła się powietrzem i odwróciła gwałtownie w moją stronę. To trwało ułamek sekundy – jej ręka uniosła się, dłoń przecięła powietrze i z płaskim zatrzymała się na mojej twarzy.

Mój policzek zapiekł, głowa odskoczyła pod wpływem uderzenia, zachwiałam się, ale nie upadłam, tylko po chwili podniosłam na nią wzrok, cicho dysząc, po czym spojrzałam na ojca, ale on na mnie nie patrzył.

Patrzył na matkę.

Ruszył w jej kierunku gwałtownie, sprężystym krokiem, jak drapieżca w kierunku swojej ofiary. Złapał ją za przedramię, odwrócił do siebie, zamachnął się i z całej siły uderzył w policzek. Ona aż się zachwiała, ale nie upadła, bo ojciec mocno ją trzymał. Głowa odskoczyła jej w lewą stronę, a gęste, długie loki zakryły na chwilę jej twarz. I zastygli. Nie poruszali się. Wyglądali jak rzeźba. Albo zastygłe pod lawą splecione ciała.

Trwali w tej pozie przez dobrych kilkanaście sekund, podczas gdy ja z Alicją przyglądałyśmy się im z zaciekawieniem, zastanawiając się, co będzie działo się dalej.

Po chwili matka się ruszyła, a ojciec wypuścił jej rękę ze swojego uścisku. Wyprostowała się, a loki opadły na jej ramiona, ukazując

szramę na policzku, która zaczerwieniła się świeżą krwią. Musiała zranić ją obrączka, którą ojciec zawsze nosił na palcu.

Wpatrywali się w siebie, nie mrugając, nie odrywając od siebie wzroku. Matka pierwsza opuściła głowę.

Odwróciła się do utopionej w kałuży pościeli i popatrzyła na nią przez chwilę. Jej wzrok prześlizgnął się po mnie, ale nie spojrzała mi w oczy, po czym, nie patrząc już na nikogo, zgarbiona, z opuszczoną głową, powłóczyłym, powolnym krokiem, skierowała się do domu. Ojciec spojrzał na mnie pierwszy raz dopiero, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi. Wyciągnął do mnie rękę, w którą włożyłam swoją drobną dłoń.

– Chodź. Przyłożymy lód do twojego policzka, okej? To powinno zmniejszyć ból.

Rozdział XXXIV

Od dobrych kilku minut siedzimy w ciszy, wpatrując się w ciemniejące niebo, pod którym zaczynają szybować nietoperze.

Odkąd tu przyjechałam, powtarzałam, że nie powinno mnie tu być, że nie powinnam tu przyjeżdżać, ale teraz wcale nie jestem tego pewna. Gdzieś z tyłu mojej głowy zaczyna powoli kiełkować myśl, że się myliłam. I dziś, teraz, to właśnie w tym miejscu powinnam być i podążać wytyczoną przez siebie ścieżką.

Alicja wstaje i lekko chwiejnym krokiem udaje się do kuchni. Po chwili zapala światło na tarasie i wraca z kolejną butelką wina, którego dolewa nam niemal do pełna. Obie bierzemy kilka łyków, po czym Alicja wyjmuje spod pachy teczkę, której wcześniej nie zauważyłam, rzuca ją na stojący między nami stolik i siada na krześle.

Spoglądam na nią pytająco.

Ona wpatruje się we mnie przez chwilę i jestem pewna, że właśnie układa sobie w głowie to, co chce mi powiedzieć.

- Po prostu to powiedz – zachęcam ją. Zaczęłam się stresować.
- Okej.

Alicja nachyla się i otwiera teczkę, z której wyjmuje i rozkłada na stoliku zdjęcia dziewczyn i fragmenty tekstów Doriana, które wysłałam jej na maila. Wystarczy mi ułamek sekundy, żeby rozpoznać i nazwać każdą z dziewczyn na zdjęciach. Godzinami wpatrywałam się w nie, kontemplowałam je, starając się zrozumieć, co nas łączy i czemu ja przeżyłam, czemu to właśnie mi to było dane, a nie którejś z nich. Owca

To one śnią mi się po nocach, to ich twarze widzę w kątach mojego pokoju, gdy budzę się zlna potem w pustym łóżku. Odkąd zrozumiałam, że jesteśmy już na zawsze połączone, porywacz zszedł na dalszy plan. On już nie prześladowuje mnie w koszmarach.

One to robią.

One na mnie liczą.

Tylko ja mogę zamknąć ten rozdział dla siebie samej i dla każdej z nich.

– Może zacznijmy od początku. Nie chcę rozmawiać o tym, co się przydarzyło albo co ci się nie przydarzyło, Laura. Nie zrozum mnie źle, nie chodzi o to, że mnie to nie interesuje, po prostu nie uważam tego za istotne w tym momencie. Obawiam się, że jeśli zaczniemy teraz o tym rozmawiać, to zgubimy obiektywne spojrzenie na sprawę, którą chcesz się zająć. Chyba że zamierzasz o tym porozmawiać, Laura. Wtedy możemy to zrobić.

Powoli czuję, jak krew zaczyna coraz szybciej krążyć w moich żyłach, a na policzki wypływa rumieniec. Czuję, jak parzy mnie twarz.

– Nie, Alicja. Nie po to tu jestem.

– Tylko żebyśmy się dobrze zrozumiały – powiem ci, co myślę, jakie są słabe i mocne punkty twoich założeń, ale to wszystko. Nie obiecuję ci załatwiania żadnego śledztwa, ani nic w tym stylu.

Rozmawiam z tobą nie jako policjantka, ale jako twoja dobra koleżanka. Te sprawy są w większości dawno pozamykane i musisz mi wybaczyć, ale nie jestem na pozycji zarówno życiowej, jak i zawodowej, żeby zacząć je rozgrzebywać. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

– Oczywiście.

– Na potrzeby tej rozmowy założmy, że faktycznie istnieje morderca, a te kobiety rzeczywiście nie popełniły samobójstwa, nie zaćpały się na śmierć, tylko zostały zabite.

Alicja wyciąga z kieszeni paczkę fajek i częstuje mnie, po czym po kolei odpalamy je tą samą zapalniczką. Kobieta zaciąga się, przymyka oczy i zaczyna mówić:

– Nie ukrywam, że mnie zaciekawiłaś i jak pokrótce mi wszystko opowiedziałaś, postanowiłam się bliżej temu przyjrzeć. W robocie nic ciekawego się nie działo, więc miałam dziś sporo czasu, żeby się skupić na tym, co mi wysłałaś.

– I co?

– Jest tam wiele rzeczy, które faktycznie się łączą i to mnie zainteresowało. Ale nie ukrywam też, że jest sporo, które w pewnym stopniu tym połączeniem zaprzeczają. Nie będę się upierać, że mam rację, ale takie są moje wrażenia. Powiem ci tylko, co ja uważam, co mi pasuje albo i nie.

– Co na przykład nie pasuje?

– Powoli. – Alicja uśmiecha się delikatnie, po czym zaczyna przekładać na stoliku zdjęcia w znanym sobie porządku. Teraz widzę, że zdjęcia są podpisane markerem, mają cyfry i krótkie hasła, których nie jestem w stanie odczytać. – Zacznijmy od „kto”. Mamy osiem dziewczyn, których nie ma za bardzo jak ze sobą powiązać. Na pierwszy rzut oka nic je nie łączy oprócz płci

i młodego wieku. Nie są ani ładne, ani brzydkie, mają różne kolory oczu i włosów, są niskie, wysokie, otyłe i chude. Nie ma wybijającego się na pierwszy plan typu i to komplikuje sprawę. Jeśli morderca nie ma konkretnego typu, typowanie ofiar robi się problematyczne, tak samo jak ich powiązanie. Nie twierdzę, że się nie da, ale jest to utrudnione. Tak więc oprócz płci i wieku tak naprawdę nic ich nie łączy. Przejdźmy do „gdzie”. Sprawdzałam w bazie ich miejsca zamieszkania – rozsiane po całym kraju. Żadna z nich nie mieszkała w odległości mniejszej niż sto kilometrów od drugiej. Nie znały się, nie studiowały razem, nie miały wspólnych znajomych.

– Ale miejsca odnalezienia zwłok...

– Właśnie. Zostały znalezione na terenie wyłącznie naszego województwa, ale bez większego związku. Miejsca znalezienia zwłok są bardzo różne – parki, lasy, przedmieścia... Nie ma zależności. Może to być zwykły przypadek albo mordercy nie robi to większej różnicy, bo jest pewien, że i tak nie zostawił żadnych śladów. A my i tak nie będziemy go szukać. Jednak, tak czy inaczej, miejsca te są odludne.

– Wiesz, teraz jak o tym mówisz, to myślę, że nie zawsze tak było. Nie zawsze był pewny siebie. Na samym początku dziewczyny znajdowano głęboko w lasach, a później zwłoki zaczęły pojawiać się coraz bliżej cywilizacji.

Sięgnęłam do torby i wyjęłam z niej mój notes. Zaczęłam szybko zapisywać to, co przychodzi mi do głowy i co mówi Alicja.

– Myślisz, że chciał się pochwalić?

– Myślę, że zaczął przesuwać granicę, podtykać nam pod nos swoje osiągnięcia, jednocześnie napawając się tym, że nie mamy nawet cienia podejrzenia, że one zostały zabite. Sprawiało mu to

dużo satysfakcji, dlatego uważam, że ma na koncie przynajmniej kilka ofiar i z każdą posuwał się o krok dalej, widząc, że uchodzi mu to na sucho. Ale to tylko teoria, i to trochę wydumana. A może po prostu były to miejsca odludne, bez monitoringu, miejsca, które bardzo dobrze znał... Przejdźmy teraz do „kiedy”. Z tego co wyczytałam, nie interesuje go sezonowość. Dziewczyny giną zarówno wtedy, jak jest ciepło i wtedy, jak jest zimno. Nie powstrzymują go żadne czynniki związane z sezonowością pór roku. Ale jest jedna kwestia, która mnie zaintrygowała, chociaż nie uważam, że powinnyśmy się jej kurczowo trzymać, ponieważ osiem dziewczyn to zbyt mało, żeby mówić o statystyce, jakkolwiek strasznie to brzmi.

Jej dłonie przesuwają zdjęcia na stole. Odkłada cztery na bok i przysuwa pozostałe.

– Te cztery dziewczyny zginęły w drugiej połowie maja. Dane są przybliżone, ponieważ niektóre ciała były w tak zaawansowanym stopniu rozkładu, że nie dało się ustalić daty zgonu.

– Co się dzieje w drugiej połowie maja?

Alicja uśmiechnęła się.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Ale jeżeli ten fakt ma jakieś znaczenie, to wie o nim wyłącznie morderca. My możemy spróbować się tylko domyślać.

– Coś w jego życiu stało się na wiosnę? Wtedy ma największy psychiczny komfort, gdy je zabija? Słońce i ciepło nastrajają go optymistycznie? – myślę na głos.

Odchylam się na fotelu i myślę przez chwilę intensywnie. Muszę je jakoś powiązać, do cholery! Odpalam kolejnego papierosa, Alicja robi to samo.

– Zostało nam „jak”.

Zamykam oczy i lekko się wzdrygam, łapiąc odruchowo za lewy nadgarstek. Gdzieś z tyłu, za mną, rozlega się cichy trzask, jakby ktoś nadepnął na suchą gałązkę. Odwracam się nerwowo i próbuję przeniknąć wzrokiem mrok, ale niczego nie widzę.

– Widziałaś, jak te urazy są powtarzalne, prawda?

– Owszem. Ale nie wszystkie.

– Tak, to prawda. Niektóre zdążyły umrzeć, zanim przeszedł o krok dalej.

– Też. Ale nie do końca.

Znowu sięga do stolika i zaczyna przekładać zdjęcia. Dotykam delikatnie swojej skroni.

– Spójrz na ostatnią ofiarę. Ona nie do końca pasuje do całej reszty.

– Co masz na myśli?

– Mogę? – Wyciąga do mnie rękę, a ja trochę zaskoczona podaję jej swoją dłoń.

Alicja delikatnie podwija do góry rękaw mojej bluzki i odwraca dłoń wierzchem do dołu, wystawiając na widok moje poharatane nadgarstki.

Nie znoszę, gdy ktoś na nie patrzy. Są obrzydliwe. Blizny są bardzo nierówne, czasami nachodzą jedna na drugą, tworząc paskudne, pomarszczone ścieżki, które w pewnym stopniu upośledzają ruchomość, ale do tego się już przyzwyczaiałam. Gdy to robiłam, myślałam tylko o tym, by było szybko i jak najgłębiej, żeby to po prostu za długo nie trwało. Nienawidzę na nie patrzeć, ale są momenty, w których z szaleństwem w oczach podwijam rękawy i wpatruję się w nie, naciskając na nie mocno, jak gdybym w ten sposób pozwalała sobie na przytrzymanie się czegoś rzeczywistego, zanim odpłynę w czerni.

– Które są twoje? – zapytała Alicja, a mi ścisnęło się serce.

Bez słowa, delikatnie, ledwo dotykając skóry, powiodłam po bliznach, które sama sobie zadałam, przypominając sobie te momenty, gdy przecinałam skórę i co doprowadzało do tego, że to robiłam.

– Wszystkie dziewczyny miały blizny na nadgarstkach, a na nich kolejne, późniejsze, które przypisujesz mordercy. Oprócz jednej.

Alicja odsuwa na bok zdjęcie ostatniej ofiary.

– Tak jak mówiłam, nie wygląda na to, żeby nasz morderca miał typ, przynajmniej jeśli chodzi o cechy zewnętrzne. I myślę, że tu jest punkt zaczepienia.

– Bo wszystkie mają za sobą próby samobójcze?

– No właśnie. Nie do końca. Wszystkie ofiary miały w przeszłości próby samobójcze poprzez podcięcie nadgarstków, oprócz niej. Dorota zdaje się być innego rodzaju ofiarą i to ona zastanawia mnie najbardziej. A właściwie zastanawia mnie, co zmieniło się w jego życiu, w jego głowie czy też otoczeniu, że zmienił taktykę i przeszedł, hm... chyba regres?

– Mogła próbować się zabić na inne sposoby. Nie wszyscy są gotowi na rozplatanie sobie nadgarstków.

– To prawda i masz rację. Ale chyba nie była bojaźliwa, bo wypła wybielacz.

Spoglądam na nią z zaskoczeniem. Samobójstwo tym sposobem zawsze wydawało mi się bardzo teatralne i bez sensu, po co aż tak się męczyć?

Spuszczam wzrok i przyglądam się z intensywnością zdjęciom dziewcząt, i coś przykuwa moją uwagę.

– Dziwne. Pomiedzy odnalezieniem przedostatniej i ostatniej ofiary minęło prawie półtora roku. Długo. Wcześniej odstępy były raptem kilkumiesięczne. Myślisz, że miał przerwę? A może znalazł jakieś dobre miejsce do ukrywania zwłok?

– Bardzo możliwe. Ale to nie wszystko. Przejrzałam raport z autopsji Doroty. Oprócz tego, że urazy na jej nadgarstkach były pierwszymi, to nie zgadza się też coś innego, a mianowicie rana w podbrzuszu. Jest po lewej stronie, podczas gdy u reszty ofiar, u których doszło do urazu w tym rejonie, rana była po prawej stronie.

– Dziwne, nie widziałam tego w żadnych notatkach Dorianiana.

– Ciężko dotrzeć do tego typu szczegółów, chociaż muszę oddać chłopakowi, że niektórymi informacjami byłam naprawdę zdziwiona. Jestem ciekawa, jakim cudem je pozyskał.

– Użyto innego noża? – Zmieniam temat.

– Tu niestety nie ma żadnych konkretów, niemalże za każdym razem używał innego noża.

– A co z ranami na skroniach? Sprawdziłaś to?

– Tak. Faktycznie, wszystkie ofiary miały większe lub mniejsze rany w tych okolicach, ale tylko u dwóch z nich w raporcie odnotowano, że znaleziono resztki kleju akrylowego.

– Chcesz mi powiedzieć, że reszta dziewczyn ich nie miała?

– Może było go za mało, aby został wykryty. Może zabójca go usunął. Albo tego nie sprawdzono czy też pominięto przy raporcie. To się zdarza.

Zaciskam mocno powieki i delikatnie masuję skronie w miejscach, do których przyklejona była maska.

– Najwięcej tego kleju znaleziono u jednej z ofiar i pewnie domyślasz się u której.

– U Doroty.

Zapada cisza, przerywana cykaniem świerszcza i bzyczeniem komarów. Alicja rozkłada się z powrotem na plastikowym krześle i odpala kolejnego papierosa. Chyba nie ma już nic więcej do powiedzenia.

– Wracając do „kto”, to chyba wiesz, czemu je wybiera. Przeprowadziłaś mnie przez tok swojego rozumowania, żebym sama do tego doszła, prawda?

Przyjaciółka nie odzywa się, tylko mocno zaciąga się papierosem i lekko uśmiecha. Jak zadowolona nauczycielka, której uczeń rozwiązał trudne zadanie z jej pomocą.

– Nie ze względu na wiek, wygląd czy na miejsce zamieszkania. Wybiera je ze względu na problemy psychiczne i próby samobójcze. Myślę, że musi je znać. Leczenie u psychiatry i próby zabicia się to nie coś, co masz wypisane na czole, co łatwo zweryfikować, szczególnie, że często rodziny starają się ukryć to przed światem. Z wielu różnych powodów. To nie jest wiedza powszechna. On musiał je znać, jestem tego pewna. To mogłoby sprowadzać się do tego, że przemieszcza się po kraju. Może jest zawodowym kierowcą? Przedstawicielem handlowym?

Znowu gorączkowo zapisuję to, co przyszło mi do głowy, bojąc się, że zaraz zapomnę. Z jednej strony mam wrażenie, że zbliżam się do rozwiązania tej zagadki, ale za chwilę mam taki mętlik w głowie od natłoku nowych informacji i pomysłów, że moje serce przyspiesza i ściska mi się gardło. Pojawia się dużo tropów.

– Zostało jeszcze „dlaczego”.

Spoglądam na Alicję, ale nie odzywam się. Odkładam notes, chwytam w dłoń kieliszek z winem i rozsiadam się na

niewygodnym krześle. Zrobiło się chłodniej, na moim ciele pojawia się gęsia skórka.

– Dlaczego pośród tych zdjęć nie ma twojego, Laura?

Pod powiekami powoli pojawiają się łzy, mimo że robię wszystko, aby je powstrzymać i nie pozwolić im spłynąć po moich policzkach. Mam wrażenie, że znowu ogarnia mnie nieprzenikniona ciemność, która oślizgłymi mackami zaczyna spowijać mnie całą, nie pozwalając mi oddychać.

– Mam nadzieję, że ci pomogłam, kochanie, i że zrobisz, co do ciebie należy, żeby w końcu się odnaleźć, zgasić ten ogień, który pali cię od środka. I zaznasz w końcu choć trochę spokoju. – Alicja odkłada kieliszek na stolik i spogląda na mnie, delikatnie się uśmiechając. – Oczywiście, zakładając, że ten morderca faktycznie istnieje.

Zamykam oczy i łzy wypływają na zewnątrz, podczas gdy w mojej głowie tłucze się w kółko to samo zdanie:

– Przecież nie było żadnego porywacza.

Rozdział XXXV

Bzyczenie lampy doprowadza mnie do szału. Niemalże czuję, jak w jego zaburzonym rytmie wibruje krew, jak wibracje rozchodzą się po całym moim ciele i czuję, jakbym ja cała wibrowała w uciążliwym, denerwującym rytmie, sprawiającym, że chcę rwać sobie włosy z głowy i roztrzaskiwać zaciśnięte pięści o najbliższą ścianę.

Do tego lampa czasami mruga, co sprawia mi jeszcze większy dyskomfort. W każdej takiej chwili mam wrażenie, że zgasną wszystkie lampy, jedna po drugiej jak w tanim horrorze, a ja pogrążę się w ciemności.

Zaciskam z całej siły pięści, próbując wbić w skórę paznokcie, ale są za krótkie, żebym mogła się zranić. Wzrok mam utkwiony w podłogę, a dokładniej w pękniętą płytkę i boję się spojrzeć na mojego rozmówcę, bo wiem, bardzo dobrze wiem, do czego dąży ta rozmowa i jak się skończy.

Chciałabym móc zaprzeczyć, ale chyba po prostu nie mam już na to siły.

– Sama widzisz, że wszystko wydaje się oczywiste, Laura.

Tak właściwie nie ma w moim życiu już nikogo, na kim by mi zależało, aby mi wierzył.

– Gdyby nie przeszłość twoich zaburzeń psychicznych i leczenia, nie byłoby tak łatwo. Zdajesz sobie sprawę, ile naszego czasu i naszych środków zmarnowałaś? Mogliśmy w tym czasie tropić prawdziwego przestępcę albo skupić się na jakiejś nierozwiązanej sprawie. Mogliśmy robić, do cholery, cokolwiek, ale ciebie to nie interesowało, prawda?

Oboje wiemy, że to pytania retoryczne i ani ja nie mam zamiaru na nie odpowiadać, ani on nie chce słuchać moich odpowiedzi.

– Musisz być paskudną egoistką. Ale właściwie niczego innego się nie spodziewałem po tym, jak pierwszy raz przeczytałem twoje akta.

Policjant rzuca na środek stołu moją teczkę, z której wysuwa się kilka kartek wypełnionych drobnym, gęstym drukiem. Najbliżej mnie leży jeden z moich wypisów ze szpitala. Na nim kilka pieczętek, jedna z nich należy do mojego ojca.

– Bogata gówniara, która od małego miała wszystko na każde skinienie. Wiesz, ludziom od dobrobytu się w dupach przewraca i tobie też się przewróciło. Tatuś nie kupi mi nowego auta? Szast-prast. – Wykonuje swoimi nadgarstkami zamaszyste ruchy. – Ukarzmy go. Bo przecież to tragedia, koniec świata, prawda, Laura? Mamusia nie zwraca na mnie uwagi? Udam, że zostałam porwana.

Tak bardzo żałuję, że nie mam przy sobie broni mojego ojca. Odstrzeliłabym mu łeb i nawet przez sekundę bym tego nie żałowała.

– To wszystko, co sobie zrobiłaś... Musisz być naprawdę popieprzona. Serio, pracuję od lat z różnymi czubkami

i kryminalistami, ale nigdy w życiu nie widziałem tak popierdolonej osoby jak ty. Jak można się tak bardzo nienawidzić? Przecież to chore. Gdyby to ode mnie zależało, skończyłabyś w pierdłu albo w psychiatryku. Ten półroczny pobyt, który ci nakazali, jest kpiną.

Milczę. Nie odzywam się ani słowem, bo już powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. Poza tym wydaje mi się, że go drażni, irytuje, że nie reaguję na jego obelgi, które dla niego wydają się prawdą.

– Nie potrafisz doceniać tego, co masz. Masz wszystko, a i tak ci mało.

Odwracam głowę i spoglądam na niego, świdrując go spojrzeniem.

Policjant jest facetem w średnim wieku, niskim, grubym, łysiejącym. Zarówno jego twarz, jak i łepetyna świecą się obrzydliwie, a paskudny uśmiezek obnaża pożółkłe zęby. Za każdym razem, gdy na niego patrzę, robi mi się niedobrze.

Wpatruję się w niego w ciszy, nie mrugając, aż mężczyzna czuje skrępowanie i zaczyna wiercić się na krześle.

– Ty naprawdę sądzisz, że mam wszystko?

Rozdział XXXVI

Jest grubo po północy, gdy wchodzę na ganek.

Nie jestem pijana, nie czuję już otumaniającego działania alkoholu; zaczęła mnie boleć głowa, język mam suchy i drętwy jak kołek, bardzo chce mi się pić.

Zdejmuję buty i zostawiam je na ganku, żeby zrobić jak najmniej hałasu przy wchodzeniu do domu. Cicho zamykam za sobą drzwi, po czym przemykam do kuchni. Nie zapalając światła, sięgam do suszarki na naczynia i zdejmuję z niej szklanke. Napełniam ją wodą z kranu i wypijam duszkiem, po czym powtarzam czynność. Odkładam naczynie do zlewu i opieram się dłońmi o jego krawędź. Czekam chwilę, żeby sprawdzić, czy nie zrobi mi się niedobrze.

– Niczego innego się po tobie nie spodziewałam.

Podskakuję jak rażona prądem i, ciężko dysząc, odwracam się w kierunku, z którego dochodzi głos.

W ciągu kilku sekund przez moją głowę przechodzą przebłyski wspomnień z momentu, w którym mnie zabrał. Serce podchodzi mi do gardła.

Matka siedzi w najdalszym rogu kuchni przy dużym, jadalnianym stole. Teraz ją widzę. Alkohol przytępił moje zmysły, powinnam była ją spostrzec wcześniej. Albo chociaż usłyszeć.

Biorę głęboki wdech i podchodzę do okapu, włączając światło, które tylko delikatnie rozświetla postać mojej rodzicielki, pogłębiając rysy jej twarzy, co sprawia, że wygląda jak upiór.

– Co tu robisz o tej godzinie? – pytam cicho, nie chcąc przez przypadek obudzić Michała, choć nie sądzę, że mógłby nas słyszeć.

– Wcale nie chciałam, żebyś tu przyjeżdżała. – Głos matki jest zimny i stanowczy. – Zadzwoiłam do ciebie wyłącznie dlatego, że poprosił mnie o to mój syn. Umierającym się nie odmawia.

Opuszczam głowę.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, gdzie szlajasz się dniami i nocami, podczas gdy tutaj, w tym domu, umiera twój brat?

– Ja nie potrafię...

– Czego nie potrafisz? Patrzyć, jak umiera? A jak myślisz, przez co ja przechodzę? Przez co przechodzi jego żona? Myślisz, że my możemy na to patrzeć? Jesteś tchórzem, Laura. Twój ojciec tak bardzo cię wychwalał, uwielbiał, a ty od zawsze byłaś nic niewartym tchórzem. Od kiedy śmierć zaczęła cię tak bardzo przerażać? Od kiedy przestałaś patrzeć z upodobaniem na to, jak żywe stworzenia odchodzą? Zawsze to uwielbiałaś. Zresztą tak samo jak twój ojciec.

Chciałabym na nią warknąć, krzyknąć, obrazić ją, ale nie potrafię. Bo wiem, że ona ma rację. I wszystko, co mówi, jest prawdą, chociaż sama po części nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Zasługujesz na to, żeby cię zniszczyć, Laura. Zrobiłaś tyle złego. Nie znam innej tak złej, zepsutej do szpiku kości osoby jak ty. Nie mogę pojąć, jak to możliwe. – Matka wstaje od stołu

i powoli się zbliża, przypatrując mi się tak, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu. – Kim ty jesteś? Jak to możliwe, że to ja wydałam cię na ten świat, że to ja cię stworzyłam, że to ja trzymałam cię pod sercem i gładziłam brzuch, śpiewając ci piosenki? Jak to możliwe, że to ty wyszłaś ze mnie, rozrywając moje ciało? Tak bardzo się zmieniły twoje oczy, odkąd pierwszy raz w nie spojrzałam... – Wyciąga dłoń i delikatnie dotyka mojego policzka. Wzdrygam się, a ona cofa rękę.

Nachyla się i patrzy mi głęboko w oczy, po czym szepcze:

– Jesteś potworem, Laura. Mam nadzieję, że życie rozerwie cię na strzępy. Prędzej czy później.

Matka wychodzi z kuchni powłóczystym krokiem. Wygląda jak zjawą, która zanurza się w ciemności. Przez chwilę się zastanawiam, czy naprawdę tu była i ze mną rozmawiała.

Gwałtownie zasłaniam dłonią nos i usta, żeby stłumić wyrywający się ze mnie szloch i osuwam się na podłogę. Nie mam już siły stać.

Po chwili słabości podnoszę się z kolan, wychodzę na korytarz i powoli pnę się po schodach. Otwieram drzwi pomieszczenia, ale nie wchodzę do środka. Opieram się plecami o framugę i siadam na podłodze. Spoglądam w kierunku pokoju chłopców. Drzwi są uchylone.

Gdyby nie pikanie aparatury przy łóżku Michała, poczułabym się znowu jak mała dziewczynka wyglądająca swoich braci w momencie słabości; próbująca ukryć się w ich oczach i uśmiechach, żeby nie odpłynąć w czerń.

Rozdział XXXVII

W jadalni jest matka, nasza gospodyni i dwie sprzątaczkę. Nie widzę Dianę, ale wcale jej się tu nie spodziewałam. Gdy wchodzę do pomieszczenia, kobiety po kolei spoglądają na mnie.

Wzrok mojej rodzicielki jest zimny, a spojrzenia pozostałych smutne i współczujące.

– Przykro nam, Laura – odzywa się jedna z nich, a reszta smutno kiwa głowami, po czym zabierają się do swoich obowiązków.

Nie wiem, dlaczego zawsze, gdy ktoś umiera, najważniejsze staje się robienie jedzenia. Nagle dom opanowuje mieszanina słodkich i gorzkich zapachów, słyszeć niekończące się pbrzękiwania szkła i garnków, co kilka sekund ciszę przecina gwizdanie czajnika albo pikanie piekarnika.

Gdy zmarł ojciec, było dokładnie tak samo.

Podchodzę do stołu jadalnianego i siadam naprzeciwko matki. Trzyma w dłoniach szklanę, w której znajduje się alkohol nalany ze stojącej obok butelki.

Ta kobieta jest jak posąg. Nie rusza się. Nie drży. Gdyby nie jej delikatnie unosząca się klatka piersiowa i sporadyczne mruganie, pomyślałabym, że ona też umarła i zastygła w tej pozycji. Zastanawiam się, co tak naprawdę czuje.

Czy ona kochała którekolwiek ze swoich dzieci?

Często się nad tym zastanawiałam, bo moja matka przecież nie była zwykłą matką. Coś ją niszczyło, zjadało, odkąd tylko pamiętam. Jej spojrzenie zawsze było przydymione smutkiem, bólem, którego pochodzenia nie potrafiłabym nazwać ani określić, ale był tam cały czas. Niekiedy bardziej, innym razem mniej widoczny. Sylwetkę miała zawsze lekko zgarbioną, jakby coś nie pozwalało jej się wyprostować. Jakby siedział tam ten obrzydliwy gargulec, którego tak często widziałam oczyma wyobraźni, a który zniknął, gdy dorosłam. Ale zgarbienie matki pozostało. Jej dłonie zawsze drżały. Próbowwała to ukryć. Trzęsły się jeszcze bardziej, gdy kłóciła się z ojcem.

Czy ona po prostu rodziła dzieci po to, żeby sprostać jego wymaganiom? I to wszystko? Bo przecież miłość matki do dziecka wcale nie jest dana z góry. Nie bierze się z powietrza, z instynktu. Są matki, które nie kochają swoich dzieci.

Bo co do tego, że matka nigdy mnie nie kochała, jestem pewna i już zdążyłam się z tym pogodzić. Albo tak tylko mi się wydaje. Jednak wiem, że nigdy nie oswoję się z tym, że zaczęła mnie nienawidzić w momencie, w którym powinna była tak naprawdę mnie pokochać.

Jestem nieludzkim stworem, obrzydliwym monstrem, kreaturą nie do pokochania.

– Mamo? – pytam cicho.

Nie spogląda na mnie, nie rusza się.

– Mamo?

Z jej gardła wyrywa się cichy dźwięk, który biorę za jej reakcję na moje słowa.

– Czy mogę jakoś pomóc? Zadzwoić po kogoś? Pojechać do domu pogrzebowego?

Nic. Cisza. Lekkie uniesienie klatki piersiowej.

Odchylam się na siedzeniu, po czym sięgam do tacki obok, biorę szklankę i nalewam sobie alkoholu, który wypijam jednym haustem. Wyglądam przez okno.

Gdy zmarł ojciec, nie musiałam nic robić. Wszystkim zajęła się jego rodzina. Zastanawiam się, czy matka już ich poinformowała. Albo czy poprosiła Leokadię, żeby to zrobiła.

Zostaje jeszcze coś.

– Mamo? Myślę, że musimy powiedzieć braciszкови o tym, co się stało.

Podrywa głowę, jakbym ją uderzyła. Oddalam się delikatnie od stołu, zaskoczona nerwowością jej ruchów. Spoglądam w jej oczy i przeraża mnie to, co w nich widzę. Jestem w stanie przysiąc, że powoli ciemnieją. Malutkimi kroplami po jej białkach i tęczęwkach rozlewa się czarna, bezdenna nienawiść.

Gwałtownie wstaje od stołu i chlusta na mnie alkoholem ze swojej szklanki, po czym bierze zamach i rozbija ją o ścianę nade mną. Jednym ruchem, z rozmachem, przesuwa tackę ze szkłem i butelką, zrzucając wszystko na podłogę. Służba zastyga.

Ramiona matki unoszą się i opadają impulsywnie, a z jej gardła wydobywa się zwierzęce charczenie. Nagle jej dłonie szybkim ruchem opadają na drewniany stół; wspiera się na nim i mocno przesuwa paznokciem po drewnianym blacie, zaciskając

jednocześnie pięści. Towarzyszy temu dźwięk, od którego dostaję ciarek.

– Nie waż się wymawiać na głos jego imienia – mówi cicho, ale jej głos jest tak głęboki, że czuję dudnienie, jakby dochodził z pustej studni. Albo głębokiego grobu.

– Nie waż się go wspominać, powoływać na niego, nie waż się o nim mówić. Rozumiesz?

Nie odzywam się, bo wiem, że nie ma takiej potrzeby, ale też z innego powodu. Jestem po prostu przerażona. Znam matkę od najgorszej strony. Ale nigdy, przenigdy nie widziałam jej w takim stanie. Mam wrażenie, że przede mną stoi potwór, który zaraz mnie pochłonie.

Wtem matka zaczyna krzyczeć, trząść się jak w gorączce, a w jej oczach pojawiają się łzy:

– Zabierasz mi wszystko, Laura, wszystko! Moją młodość, moją miłość. Ludzi, których kocham. Wszystko, co kocham! Nie widzisz tego, ty potworze? Co takiego ci zrobiłam? Co takiego ci zrobiłam, że tak bardzo mnie nienawidzisz? Jak możesz mi to robić? Jesteś moją córką, powinnaś mnie kochać, a zamiast tego jesteś diabłem, jesteś śmiercią, okrutną, krwawą śmiercią! Co jeszcze chcesz mi zabrać, co jeszcze? Nic mi już nie zostało!

Szybko podchodzi do niej Leokadia i bierze ją w swój silny uścisk, delikatnie ciągnąc w stronę schodów.

– Pani Karino, proszę pójść ze mną. Weźmiemy leki. Proszę, chodźmy.

W momencie, gdy kobieta objęła moją matkę, jej ciało nagle zwiotczało jak przebity balon, zatopiła się w tym uścisku. Zniknęła nienawiść w jej oczach, rozluźniły się spięte mięśnie, a z oczu przestały lecieć łzy.

Odprowadziłam je wzrokiem, nie mrugając, napięta jak do skoku, do ucieczki, w razie gdyby matka jednak się odwróciła i rzuciła na mnie, żeby rozszarpać na strzępy. Oczy mam wytrzeszczone, a usta otwarte, mój oddech jest urywany i bolesny.

Gdy schody przestają skrzypieć i wiem, że matka jest już w swojej sypialni, opada ze mnie napięcie, ale w bardzo zły sposób. Teraz ja zaczynam płakać. Ale cicho, nie tak jak matka.

Jedna ze sprzątaczek, która zabrała się za sprząkanie pobojuwiska na środku kuchni, podniosła na mnie wzrok i spojrzała współczująco.

– Niech się pani nie martwi. To minie. Wszystko będzie dobrze.

I chociaż nie znam jej imienia i wiem, że to, co powiedziała, to nieprawda, jestem jej wdzięczna za ten mały gest.

Rozdział XXXVIII

– Wszystkie złe emocje, które w sobie masz, czyhające gdzieś pod powierzchnią i niespodziewanie wybuchające, należy ukierunkować. Rozumiesz, nie możemy się ich pozbyć, ale możemy nad nimi zapanować i tak zrobimy. Zgadzasz się?

Jesteśmy z ojcem w garażu. Matka pojechała jakiś czas temu na zakupy i zapewne nieprędko wróci, a bracia bawią się na zewnątrz.

Ojciec czyści swoją broń, którą zawsze zabiera na polowania. Już jakiś czas temu nauczył mnie, jak się nią posługiwać. Umiem strzelać, nawet dobrze. Bardzo dobrze. Jakbym miała wrodzony talent.

Wcześniej strzelałam do rzeczy martwych, ale dzisiaj jest ten dzień, kiedy przygotowujemy się do prawdziwego polowania, na które wybierzemy się jutro o świcie. Cały dzień z tatą! Wbrew pozorom wcale nie zdarza się to często, bo zawsze ktoś wchodzi nam w drogę. Albo matka, albo chłopcy. Naprawdę, czasami przyłapuję się na tym, jak myślę, że byłoby lepiej, gdyby oni nie istnieli. Byłabym tylko ja i ojciec, i nikt by nam nie przeszkadzał.

– Ale przecież ja panuję nad swoimi emocjami.

Ojciec przez chwilę nic nie mówi, po czym odwraca się do mnie. Spoglądam na niego i widzę, że mocno trzyma w dłoniach strzelbę. Dreszcz przebiega mi po plecach, podczas gdy on w milczeniu przypatruje mi się i mam wrażenie, że jego oczy wilgotnieją.

– Laura, rozmawialiśmy o tym. Nie panujesz nad swoimi emocjami. To, jak się zachowujesz, wskazuje, że nie potrafisz się powstrzymać, czasami po prostu nie masz hamulców, jakie powinien mieć każdy z nas. Przecież tyle razy o tym rozmawialiśmy.

Odwraca się i odkłada broń na stół, po czym podchodzi do mnie i delikatnie mnie przytula, głaszcząc po plecach, a ja momentalnie się odprężam.

– Wszystko będzie dobrze. Ukierunkujemy twoje emocje i zobaczysz, że wszystko będzie w najlepszym porządku. Kocham cię, maleństwo.

– Ja ciebie też, tatusiu.

To właśnie było poczucie bezpieczeństwa. Jego ciepło, jego zapach i sunąca po plecach dłoń. Nigdy wcześniej ani nigdy później, gdy ojca zabrakło, nie zaznałam tak pięknego, odprężającego, wyrywającego z odrętwienia poczucia bezpieczeństwa.

Chodzenie na polowania stało się naszym rytuałem, do którego z namaszczeniem się przygotowywaliśmy i z którego wracaliśmy spełnieni. Matka nie mogła tego pojąć, ale po jakimś czasie przestała raczyć nas komentarzami i interesować się, jaką zwierzynę znosimy do domu. Bracia byli bardzo źli, że ojciec nie zabiera ich razem z nami, a argument, jakoby miał zacząć ich

zabierać, gdy podrosną, trafiał w próżnię. Pamiętam przynajmniej kilka podsycanych przez matkę awantur z tego powodu.

– Czemu jej pozwalasz, a ich pomijasz? Polowanie to nie zajęcie dla dziewczyny, nie zdajesz sobie z tego sprawy?

Matka pozostawała w tej kwestii nieugięta, nie akceptowała tego, ale ojciec twardo stawiał na swoim.

Z czasem musiałam przyznać mu rację. Uwalniałam się na sekundy po tym, jak słyszałam głos wystrzału, gdy czerwona mgiełka niemalże osiadała na moich oczach.

Ulga.

Zaspokojenie głodu.

To ogromne, aż bolące napięcie, które również z bólem opadało.

I jego wzrok, jego uśmiech, w którym widziałam, jak bardzo jest ze mnie dumny.

Czułam się lekka i wolna.

Przez lata zabiliśmy z ojcem tyle zwierząt, że nie jestem ich w stanie zliczyć.

Aż do momentu, który zmienił wszystko. Do dnia, kiedy ostatni raz razem polowaliśmy. Po tym, co się wtedy stało, żadne z nas nie mogło tego kontynuować. A ja zaczęłam zabijać coś innego.

Siebie.

– Spójrz, Laura. Popatrz – szepnął ledwie słyszalnie ojciec.

Zastygliśmy w bezruchu, unikając najmniejszego szelestu. Wyteżyłam wzrok, napięłam się i połaskotało mnie uczucie relaksu i spełnienia przed tym, co się zaraz stanie.

Ojciec krzyknął w momencie, w którym pociągałam za spust, ale było już za późno.

Wiedziałam, że stało się coś strasznego, coś niedobrego, chociaż jeszcze nie miałam pojęcia co.

Ojciec z krzykiem poderwał się z ziemi, porzucając broń i gubiąc czapkę. Runął przed siebie, a ja podążyłam za nim, czując, jak moje żyły zalewa panika i zaczyna w nich krążyć tak szybko, że przyprawia mnie o zawroty głowy. Ojciec wydał z siebie wrzask, od którego mogłoby pęknąć niebo. Nigdy nie słyszałam, żeby tak przeraźliwie krzyczał.

Miałam wrażenie, że jego wrzask się skroplił i osiadł na mojej skórze, dostał się do moich uszu, nosa i gardła, wsiąknął głębiej i już nigdy mnie nie opuścił.

Nogi miałam jak z waty. Każdy stawiany krok był ogromnym wysiłkiem i mimo że wcale nie chciałam zobaczyć, co się stało, musiałam stawić temu czoła.

Wiosna zaczynała rozkwitać, zaspas topniały, zalewając łąki, ale w miejscu, w którym leżał braciszek, spoczywała jeszcze gruba warstwa zbitego śniegu, a krew sącząca się z jego głowy barwiła otaczającą ją biel.

Nie potrafiłam opisać uczuć, które mną wtedy targały. Była to mieszanka mnóstwa emocji w setkach różnych barw i odcieni. Gdy moje wnętrze zaczynało wrzeć, musiałam dać im upust, by powstrzymać dziki, wyrrywający się ze mnie szal.

Ale nie wtedy. Nie w tamtym momencie.

Upadłam na kolana, ukryłam twarz w dłoniach i gorzko zapłakałam, tak jak nigdy. Płakałam, gdy ojciec ratował mojego brata, płakałam, gdy zabierał go helikopter, płakałam, gdy matka wyła wniebogłosy i płakałam, gdy dowiedziałam się, że zgotowałam braciszkowi los gorszy niż śmierć.

Wszystko, co potrafił i kim był, przepadło. Gdy było już wiadomo, że przeżyje, w toku dalszych, specjalistycznych badań okazało się, że nie pamięta kim jest, mimo pewnych przeblysków,

które niestety tylko bardziej mąciły mu w głowie. Wszystkiego musiał uczyć się od początku – mówienia, pisania, podstawowych czynności, kontaktu z ludźmi. Od początku było wiadomo, że nigdy nie wróci do sprawności sprzed wypadku i już do końca życia będzie zależny od rodziny i instytucji. Nigdy nie będzie miał normalnego życia, nigdy nie pójdzie na studia, nigdy nie założy rodziny. Będzie żył życiem dalekim od prawdziwego.

I była to moja wina.

Dobrze o tym wiem i nikt nie jest w stanie temu zaprzeczyć, chociaż ojciec bardzo próbował.

Może to właśnie dlatego zaznałam piekła na ziemi? Może to właśnie była moja kara?

Nawet jeśli tak było, nic to nie zmieniło.

Braciszek stracił swoje życie i już nigdy go nie odzyska.

Rozdział XXXIX

– Kiedy pogrzeb?

– W sobotę.

Siedzę na podłodze, w kącie pokoju tego, pożałuj Boże, zajazdu, a Dorian stoi tyłem do okna, opierając się o parapet i z założonymi rękoma przygląda mi się uważnie.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

Nie odpowiadam, bo właściwie nawet nie wiem, co mogłabym powiedzieć. Mnie nikt nie jest w stanie pomóc. Jestem przeklęta. W swoim życiu straciłam wszystkich, na których choć trochę mi zależało. Co jeszcze można mi zabrać?

Nie mam już nic.

Ale to nie do końca prawda, bo mam je. Dziewczyny, które straciły życie w imię jakiejś szalonej idei, dla mnie niezrozumiałej.

I mam też jego. Mojego oprawcę.

Zemstę.

– Całą noc przeglądałam strony internetowe policji z listami osób zaginionych – mówię cicho. – Jest jedna dziewczyna, która

przykuła moją uwagę.

Dorian jest trochę zaskoczony zmianą tematu, ale nie komentuje, tylko siada na skrzypiącym krześle przy biurku, na którym leży jego laptop.

– Mów dalej.

– Wpisuje się w schemat. – Wyciągam notes z torby leżącej obok i otwieram go na ostatniej stronie. – Mariola. Dziewiętnaście lat. Mieszka niecałe sześćdziesiąt kilometrów stąd. Zdarzało jej się uciekać z domu. Ma za sobą próby samobójcze, dlatego policja prosi o szczególną uwagę. Weszłam na jej profil na Facebooku, pogrzebałam trochę w sieci i zauważyłam, że dziewczyna wielokrotnie zmieniała szkoły, nawet kilka razy w ciągu roku. Szkoły prywatne. Jej rodzice to jacyś potentaci rolniczy, mają mnóstwo kurzych ferm, na których się dorobili.

– Zdajesz sobie sprawę, że to może być przypadek?

– Nie może. Ja wiem, że to on ją zabrał.

– Skąd?

– Po prostu wiem.

Zatrząskuję notes i milczę przez chwilę.

– Gdy już to ustaliłam, zaczęłam się zastanawiać. I zaczęłam grzebać. Wszystkie dziewczyny, które powiązałeś z moją sprawą, pochodzą z mniej lub bardziej bogatych rodzin. Dlaczego? Czy to może być przypadek? Mnie to wygląda na cholernie dziwny zbieg okoliczności.

– A co to zmienia, czy były bogate, czy nie?

– No właśnie. Po pierwsze, te dziewczyny mają przeszłość naznaczoną problemami psychicznymi – wszystkie próbowały się zabić.

– Tak, to już wiemy, co dalej?

– Daj mi skończyć. Po drugie, ich próby samobójcze i leczenie zostały kompletnie zatuszowane. Nie mogłam znaleźć zbyt wielu szczegółów i poszlak, i może to akurat nie jest wyznacznikiem, ale zauważ, że tobie też się nie udało. A przecież masz większy arsenał i więcej możliwości niż ja. Tak naprawdę, zanim porozmawiałam z Alicją, mogliśmy się tylko domyślać, że coś z tymi samobójstwami było na rzeczy. Teraz jesteśmy pewni. I jestem w stanie założyć się o każde pieniądze, że dziewczyna, którą znalazłam w bazie zaginionych, ma dokładnie taką samą przeszłość. O mnie, zanim rozpętała się ta cała awantura, też nie mógłbyś niczego znaleźć w Internecie, czy na inne, szemrane sposoby. Mój ojciec postarał się, aby wszystko zatuszować, żeby ludzie nie wytykali mnie palcami i żeby moja przyszłość nie została przekreślona. A jeśli chce się tuszować takie rzeczy, to sorry, ale trzeba mieć dużo kasy.

Dorian milczy przez chwilę, po czym szybko zaczyna pisać na klawiaturze, zapewne zapisując moje słowa i swoje przemyślenia w tej kwestii. Opieram głowę o ścianę i przyglądam mu się spod w półprzymkniętych powiek.

Zastanawiam się, czego oczekuje. Czego się spodziewa, jeżeli faktycznie znajdziemy zabójcę. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Chyba żadne z nas nie dopuszcza do siebie myśli, że ta operacja może się udać. Ale w głębi duszy jestem pewna, że tak będzie, choćbym miała spędzić całe życie na tym, żeby go odnaleźć.

A jak już odnajdę, nie będę miała litości. I chciałabym, żeby Dorian to zrozumiał, ale mam wrażenie, że zarówno ja, jak i on, realizujemy dwa oddzielne plany, które kończą się w zupełnie inny sposób.

– Jak myślisz, jak on je wybiera? Czemu akurat one?

Dorian spogląda na mnie; na jego twarzy widzę zakłopotanie.

– Nie wiem, Laura. Nie masz pojęcia, ile bezsennych nocy spędziłem, zastanawiając się nad kluczem. I nie domyśliłem się. Mam kilka hipotez, ale żadna nie ma takiej mocy, żeby się utrzymać. Po prostu nie wiem.

– Wychodziłam z założenia, że to ktoś, kto je znał. Ktoś, kto dużo podróżuje. Ale teraz już sama nie wiem. Te dziewczyny nie miały ze sobą nic wspólnego – nie chodziły razem do szkoły, nie studiowały, nie miały wspólnych znajomych, podobnych zainteresowań.

– Może jakieś grupy na portalach społecznościowych? Randkowanie w sieci? To były dwa z moich strzałów.

– Nie są złe. Ale mam jedno podejrzenie, które wydaje mi się najbardziej prawdopodobne.

– Jakie?

Podnoszę się z podłogi, wrzucam do torby notes i zakładam na siebie sweter.

– Bierz kluczyki. Czas odwiedzić ojca Mariki.

Rozdział XL

To, że Dorian ma swoje auto, jest niezwykle pomocne. Co prawda jest to jakiś rozklekotany gruchot, ale przynajmniej może nas przewieźć z punktu A do punktu B. Miasteczko nie jest duże i mogę bez problemu przemieszczać się po nim pieszo, ale większe wyprawy niestety wymagają posiadania czterech kółek. Albo prywatnego szofera.

W garażu przy moim rodzinnym domu stoją dwa porządne auta, ale nie chcę nawet myśleć, z jaką łaską matka dałaby mi kluczyki. O ile w ogóle by to zrobiła.

Od lat, kiedy tylko pomyślę, że mam ją o coś poprosić, robi mi się niedobrze.

Powoli wytaczamy się z miasteczka, przed nami dobre półtorej godziny drogi. Normalnie, gdybym jechała z kimś innym, tylko by mnie to denerwowało. Nie lubię rozmawiania o niczym, nie lubię ciszy, która krępuje mojego towarzysza, nie lubię się zmuszać, żeby tę ciszę przerywać. W przypadku Doriany jest inaczej – jest mi dobrze, kiedy razem milczymy i raz na jakiś czas wymienimy ze sobą kilka zdań.

– To chyba nie był wymarzony powrót do domu. Pewnie chciałabyś spędzić ten czas z bliskimi.

Prycham.

– Wierz mi, to od lat nie jest mój dom. Nienawidzę tu wracać. Gdy zabrakło ojca, dom runął jak domek z kart. To on panował nad tym wszystkim. Gdy umarł, wiele się zmieniło.

– Przykro mi z powodu twojego taty.

– Dziękuję. A jaki jest twój ojciec?

Dorian przez chwilę milczy. GPS nakazuje skręt w lewo, więc chłopak po chwili włącza kierunkowskaz.

– Nie wiem.

– Co to znaczy?

– Nigdy go nie poznałem.

Tego się nie spodziewałam. Czyli Dorian też ma swoje tajemnice.

Choć z drugiej strony, kto nie ma żadnych?

– Przykro mi – mówię cicho, choć wiem, że to banał.

– Takie życie, Laura. Nie zastanawiam się nad tym, bo wiem, że nie mam na to wpływu. Ale po coś w końcu się żyje, dlatego zajmuję się sprawami zaginionych i zamordowanych. Trzeba nadać życiu jakiś sens, nieprawdaż?

Tym razem ja milczę. I mimo że pytanie jest retoryczne, to zastanawiam się nad odpowiedzią i wiem, że nigdy nie wypowiem jej na głos.

Do domu zamordowanej dziewczyny dojeżdżamy szybciej, niż się spodziewaliśmy i już w momencie, gdy podjechaliśmy pod posesję jej rodziców, oboje widzimy, że nie pomyliłam się zbyt w swoich podejrzeniach.

Imponującą posiadłość, wyglądającą niemalże jak miniatura królewskiego pałacu, przysłania gęsty, idealnie przycięty

żywoplot. Jak dla mnie budynek jest w bardzo złym guście, ale i tak robi wrażenie.

Z pewnością nie mieszkają tam biedacy. Zaparkowaliśmy na chodniku i udaliśmy się pod furtkę. Nacisnęłam guzik na interkomie i chwilę czekamy na połączenie.

– Tak? – odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry, mam na imię Laura. Dzwoniłam do państwa dziś rano, jestem umówiona na rozmowę z panem Karolem.

– Chwileczkę.

Czekamy dłuższą chwilę, przebierając nogami. Czyżby mężczyzna się rozmyślił?

Po niedługim czasie słyszymy jednak ten sam głos i drażniące pikanie.

– Zapraszam do środka.

Popycham wysoką furtkę i wchodzimy z Dorianem na teren posesji. Idziemy dróżką po pięknym trawniku przeplatany wielokolorowymi kwiatami, z których większości nigdy nie widziałam. Dochodzimy do drzwi frontowych, gdzie czeka na nas gosposia.

– To ja z panią rozmawiałam. Zapraszam.

Spośród trzech osób, do których udało mi się znaleźć kontakt, tylko ojciec Mariki zgodził się na spotkanie. Nie mam żadnych większych oczekiwań, ale muszę pomówić z kimś, kto w pośredni sposób został ofiarą zwyrodnialca, który mnie porwał. Może znajdę jakiś szczegół, jakiś maluteńki detal rzucający światło na to, co się działo z dziewczynami, zanim zostały zaciągnięte do piekła? Świetnie zdaję sobie sprawę z tego, że nie mam gwarancji, że nic się nie zmieniło, że nie zmienił taktyki, tak jak chociażby

w przypadku Doroty. Ale muszę spróbować. Nie mamy zbyt wielu innych opcji...

Chwilę później siedzimy z Dorianem w pięknym, przepelnionym antykami salonie, na stoliku znajduje się dzbanek z parującą herbatą, a przed nami siedzi ojciec Mariki.

Przystojny, wysoki, dobrze ubrany mężczyzna, który wygląda na o wiele starszego, niż jest w rzeczywistości.

– Nigdy nie chcieliśmy uwierzyć, że Marika odebrała sobie życie gdzieś daleko, w środku lasu. Takie miejsce? To było do niej niepodobne. Przyrodę lubiła oglądać w telewizji i to jej w zupełności wystarczało. Jednak z czasem zaczęliśmy się nad tym zastanawiać – co to zmienia, gdzie to zrobiła? Jak bardzo musiało być z nią źle, jak obco musiała się czuć, skoro to zrobiła? Skoro próbowała tyle razy, na tyle różnych sposobów, aż do skutku?

Mężczyzna spogląda przez okno i dobrze wiem, że nie czeka na odpowiedź.

– Kiedyś myślałem, że samobójstwa popełniają słabi ludzie, którzy są po prostu tchórzami i nie potrafią stawić czoła przeciwnościom losu, więc uciekają. Idą po linii najmniejszego oporu. Bóg mi świadkiem – nigdy w życiu bardziej się nie myliłem. Moja córka była silna. Odkąd tylko wyrwała się na świat, wiedziałem, że będzie wojowniczką! Wierzała, krzyczała wniebogłosy, pielęgniarka nie była w stanie jej utrzymać. Moja mała. – Uśmiecha się delikatnie. – Z żoną nie mogliśmy mieć już więcej dzieci, chociaż bardzo chcieliśmy. Ale tak się złożyło i z czasem się z tym pogodziliśmy. Mieliśmy Marikę i to wystarczało.

Zapada milczenie. Zastanawiam się, jak bardzo opowiadanie o tym wszystkim jest dla niego bolesne. Przyglądam mu się

dokładnie.

– We wszystkim musiała być pierwsza, najlepsza, zawsze. Wkładała w to ogrom pracy, czasami nawet z żoną próbowaliśmy jej wyperswadować te mordercze treningi i naukę trzech języków obcych. Mieliśmy wrażenie, że Marika sama sobie zabiera dzieciństwo. Z perspektywy czasu zastanawiam się, czy tym wszystkim, tą pracą, tym skupieniem, nie starała się po prostu wyciszyć jakiegoś głosu, który siedział jej gdzieś z tyłu głowy. Czy robiła to po to, aby nie myśleć, nie zastanawiać się, żeby to, co czaiło się gdzieś na dnie czaszki, nie wychodziło na powierzchnię. Może myślała, że tak ma być? Może myślała, że jeśli poprosi o pomoc, to ludzie uznają ją za słabą?

– Czy wie pan, dlaczego zdecydowała się na pierwszą próbę samobójczą? – pytam cicho.

– Oczywiście.

Mężczyzna wzdycha ciężko, po czym wstaje i podchodzi do jednej z szafek. Zdejmuje z niej oprawione w ramkę zdjęcie, podchodzi do nas i podaje je Dorianowi.

– To Marika i jej mama. Obie piękne. Obie uśmiechnięte. Podobne do siebie jak dwie krople wody.

Spoglądam na zdjęcie i kiwnięciem głowy przyznaję mężczyźnie rację. Wpatruję się w duże, błękitne oczy dziewczyny, które za chwilę zmieniają się w mojej wyobraźni w martwe, spoglądające na mnie ze zdjęcia z autopsji.

Potrząsam nerwowo głową i zerkam na mężczyznę, który znów zasiadł naprzeciwko nas.

– Jej matka zachorowała na nowotwór. Tak naprawdę zaczęła chorować parę lat po urodzeniu Mariki, ale po kilku dużych operacjach i terapiach wyszła na prostą. Mieliśmy nadzieję, że tak

już pozostanie. Niestety, rak uderzył ze zdwojoną siłą i w którymś momencie musieliśmy zaprzestać uporczywej terapii, mimo że córka nie mogła tego przyjąć do wiadomości. Nie rozumiała, że ja po prostu nie mogę patrzeć na to, jak jej mama się męczy. – Głos mu się załamał, ale odchrząknął i kontynuował. – Próbowaliśmy wszystkiego, ale za żadne pieniądze nie mogliśmy pozbyć się tego potwora. Patrzyliśmy jak radioterapia, chemia i sama choroba rozszarpują moją żonę na kawałki. Musiałem pozwolić jej odejść.

Spuszczam wzrok i czuję łaskotanie pod powiekami.

– Przykro mi – mówię cicho. – Niedawno przez tę chorobę straciłam starszego brata.

Ojciec Mariki chowa twarz w dłoniach, bierze kilka głębokich wdechów i spogląda na mnie wilgotnymi oczami.

– Tak nie powinno się umierać – mówi, a mnie ściska się gardło.
– Moja córka nigdy się z tego nie podniosła. Zdawałem sobie sprawę, że jej dochodzenie do siebie będzie trwało, na Boga, ja sam nie mogłem do siebie dojść po śmierci żony! Ale musiałem, nie miałem wyjścia ze względu na córkę. Zapewniłem jej najlepszego terapeutę w kraju, byleby tylko jej pomóc, ale to nie przynosiło rezultatów, wręcz przeciwnie, miałem wrażenie, że było coraz gorzej, że oddalała się ode mnie, od swojego otoczenia, od świata. Już nigdy nie było lepiej.

– Czy Marika wspominała komuś, na przykład chłopakowi, przyjaciółkom, że chce to zrobić? Czy może zawarła jakieś nowe znajomości po śmierci matki? Podejrzewa pan, że ktoś ją namawiał do samobójstwa?

Mężczyzna spojrział na mnie badawczo.

– Nie, wręcz przeciwnie. Marika odcięła się od wszystkich. Nie rozmawiała z nikim, nawet ze mną. Całymi dniami spała albo

patrzyła się w sufit. Trzeba ją było karmić i myć. Nie dlatego, że nie miała siły, była całkowicie sprawna. Po prostu nie chciała tego robić. Nie była w stanie normalnie funkcjonować, terapeuta nie potrafił pomóc i zasugerował leczenie w ośrodku zamkniętym, na które z początku nie chciałem się zgodzić.

– Dlaczego?

– Bo byłem egoistą. Nie było już mojej Marii i nie chciałem, żeby w domu zabrakło również córki. Wmawiałem sobie, że jestem w stanie się nią zająć, że nie udało mi się uratować żony, ale może uratuję córkę. Nigdy tak bardzo się nie myliłem. Popełniłem ogromny błąd. Naprawdę byłem egoistą, przedłożyłem swoje samopoczucie nad samopoczucie mojej córki, chciałem być bohaterem, udowodnić sobie, że uda mi się ją uratować, mimo że nie uratowałem żony... Gdy znalazłem ją w wannie z podciętymi nadgarstkami, myślałem, że nie żyje. Myślałem, że... – Ojciec Mariki chowa twarz w dłoniach, a z jego gardła wyrывa się pojedynczy, przerażający szloch.

Siedzimy z Dorianem cicho, spięci, zastanawiając się, czy nie powinniśmy powoli zbierać się do wyjścia.

– Przepraszam – mówi cicho mężczyzna i wyciera mocno oczy, których białka lekko się zaczerwieniają. – Ale udało się ją uratować. Udało się. I wtedy wyzbyłem się wszystkich wątpliwości, jakie miałem wcześniej. Zdecydowałem, że czas przenieść ją do ośrodka, tak jak to sugerował terapeuta. Podał kilka nazw, zasięgnąłem opinii różnych lekarzy i uznaliśmy, że trafi do prywatnej placówki. Musiała zostać wyleczona, nie było innej możliwości, pieniądze nie grały roli.

– Mogę zapytać, w jakim szpitalu była leczona? – włącza się Dorian.

– Jedna z lepszych placówek w kraju, do której zjeżdżają nawet obcokrajowcy. Leczyli tam, i pewnie leczą w dalszym ciągu, najlepsi specjaliści z ogromnym dorobkiem naukowym. Czytałem o wielu pacjentach z różnego rodzaju schorzeniami psychicznymi, którym udało się dzięki tamtejszemu leczeniu wyjść na prostą. Niedaleko stąd. Instytut imienia Filipa Pinela.

Gwałtownie poderwałam głowę.

– Może pan powtórzyć?

– Instytut Pinela. Piękny, nowoczesny ośrodek, niemalże jak hotel. Bardzo zależało mi na tym, aby moja córka nie czuła się jak w więzieniu, jak to często bywa w instytucjach państwowych. Piękna, góraska okolica, rześkie powietrze, cisza, spokój... Miałem ogromną nadzieję, że to wszystko jej pomoże, że nie będzie już chciała umierać. I przez pewien czas tak właśnie było.

– Czy pamięta pan, kto leczył Marikę?

– Marikę leczyło kilku specjalistów, w instytucie stworzone były specjalne, kompleksowe zespoły, dobrane odpowiednio do pacjentów, ich osobowości, problemów i stadium choroby. A jej lekarzem prowadzącym był, świeć Panie nad jego duszą, wspaniały specjalista, nazywał się Wagner. Teraz, jak o tym myślę, to już wiem, czemu pani nazwisko wydawało mi się znajome. Laura Wagner, dobrze zapamiętałem? To zbieg okoliczności, czy może doktor był pani rodziną?

Z wysiłkiem przełykam gęstą ślinę.

– Edward Wagner był moim ojcem.

Rozdział XLI

Wysłałam SMS-a do Alicji z nadzieją, że spełni moją prośbę i nie uzna, że jej się narzucam. Jeśli ona mi nie pomoże, to nikt tego nie zrobi.

Wsadzam telefon do kieszeni i owijam się mocno kurtką. Wieczory są naprawdę chłodne, a nie chcę całkowicie zamykać szyby auta. Jedną z naprawdę niewielu rzeczy, które lubię, gdy wracam w rodzinne strony, jest zapach powietrza. Zapach lasu, łąk, pól, nieskażony trującymi wyziewami z rur wydechowych tysięcy samochodów i smrodem pochodzącym z fabrycznych kominów.

Tutaj zmysły węchu i wzroku przeplatają się, zapachy i obrazy buzują, tworząc wyjątkową mieszankę. Zawsze to doceniałam. Czasami bardzo żałuję, że mieszkam w dużym mieście, ale musiałam się tu przenieść, żeby stać się bardziej anonimowa. Nie miałam wyjścia. Zapachy i widoki nie były na tamten moment najważniejsze.

Droga szybkiego ruchu zaczyna prowadzić przez las. Jedziemy nią kilkanaście minut, zanim zaczynam się orientować, gdzie tak

naprawdę jesteśmy. Czuję, jak skręca się mój żołądek. Spoglądam na Doriana.

– Dlaczego tędy wracamy?

– Pomyślałem, że moglibyśmy się tu zatrzymać.

– I nie przeszło ci przez myśl, żeby zapytać mnie o zdanie?

– Wiedziałem, że się nie zgodzisz.

Odwracam się od niego gwałtownie, na tyle, na ile mogę, wciskając się w drzwi auta. Wcale nie ma racji. W końcu bym się zgodziła. Od dawna chciałam tu wrócić, ale nie miałam odwagi.

Auto Doriana zatrzymuje się w zatoczce. Wysiadamy, a chłopak wyciąga z bagażnika plecak. Przyglądam mu się badawczo, ale nic nie mówię. Bez słowa kierujemy się w stronę drogi i idziemy kilkaset metrów poboczem. Obserwuję okolicę i zatrzymuję się, ale Dorian mnie wymija i idzie przed siebie, spoglądając w ekran telefonu.

– To nie tutaj. Kawalek dalej.

Niepewnie ruszam za nim, opatulając się mocniej kurtką, bo zaczynam się trząść, choć tym razem nie z zimna.

W pewnym momencie chłopak się zatrzymuje i odwraca do mnie. Wcale nie jestem pewna, czy to właśnie tutaj wybiegłam z lasu. To, co pamiętam, to lepka krew i prymitywna potrzeba ucieczki bez żadnego celu, po prostu jak najdalej. Gdy wybiegłam na drogę... Pamiętam tylko obrazy, przebiegające mi teraz przed oczami jak w starej przeglądarce do przezroczy, którą kiedyś pokazywała mi babcia.

Biorę głęboki wdech i delikatnie masuję blizny na skroniach, starając się nie wpaść w panikę. Dorian grzebie przez chwilę w swoim plecaku, po czym wyciąga w moim kierunku dłoń, w której spoczywa spora latarka. Waham się przez chwilę, ale

ostatecznie biorę ją do ręki, włączam i podążam za Dorianem w głąb lasu, z którego kiedyś uciekłam przed śmiercią.

Im byłam starsza, tym częściej wędrowałam po lesie z ojcem, a później sama, gdy nie miał dla mnie czasu. Nie bałam się ciemności, leśnych odgłosów, zwierząt grasujących nocą czy tych, które – przypadkiem lub nie – budziłam z drzemki. To ciemność i cisza mnie ukrywały, to one pozwalały mi wtopić się w tło, być niemym obserwatorem, przekształcającym się w sekundzie w drapieżcę.

Dziś jest inaczej, dziś towarzyszy mi irracjonalny strach, z bezsensowności którego doskonale zdaję sobie sprawę, ale nie mogę go wyrzucić z mojej głowy. Bo przecież dobrze wiem, że jego tutaj nie ma, że nie obserwuje mnie, nie poluje na mnie, nie wyobraża sobie, jak doprowadza sprawy do końca... Prawda?

Obracam się nagle, słysząc trzask łamanej gałązki, która musiała pęknąć pod czymś ciężarem. Mój oddech przyspiesza, zaczynam się trząść, rzucając urywane strumienie światła na prawo i lewo. Po chwili w jednym z nich dostrzegam uciekającą sarnę i czuję się, jakby z mojej klatki piersiowej gwałtownie wypompowano powietrze.

– Laura?

Zaciskam mocno drżące dłonie, próbuję się uspokoić, by nie pozwolić wybuchnąć uczuciu gorąca w moich piersiach. Z ogromną siłą woli odwracam się od miejsca, w którym widziałam sarnę, zmuszając się, aby za nią nie pobiec. Przymykam powieki, bo Dorian świeci mi prosto w oczy latarką.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Przestań mnie, do cholery, oślepić!

– Faktycznie, przepraszam. Możemy iść dalej?

– Tak. Czy naprawdę sądzisz, że znajdziemy coś sensownego po ciemku?

– Nie wiem, ale może to właśnie lepiej? Nie pamiętasz dokładnie, którądy biegłaś, robiłaś to instynktownie. I może instynktownie uda ci się teraz tę drogę odtworzyć, nie sugerując się widokiem otoczenia?

– Może.

Mijam go i idę przed siebie, próbując sobie przypomnieć, skąd mogłam biec.

To prawda, działałam instynktownie, myślałam wyłącznie o ucieczce. Kluczyłam między drzewami, przystawałam na odpoczynek pośród gęstwiny i dalej gnałam przed siebie. To niemożliwe, abym po kilku latach pamiętała, gdzie dokładnie próbowano pogrzebać mnie żywcem.

Poza tym teren był przeszukiwany niedługo po tym, jak się odnalazłam i policja niczego szczególnego nie zauważyła. Może źle szukali, a może to ja wskazałam im złe miejsce?

Może zrobiłam to specjalnie?

Idziemy w ciszy, a ja mam wrażenie, że napięcie zamiast ze mnie opadać, rośnie w siłę. Zaczynam myśleć o rozmowie, którą dziś odbyliśmy z ojcem Mariki i o tym, że była dla mnie o wiele trudniejsza, niż się spodziewałam.

Pamiętam bardzo dobrze pierwszy raz, kiedy postanowiłam się zabić. To wcale nie była wyrachowana, zimna gra, próba zwrócenia na siebie uwagi czy ukarania matki. Ona nigdy nie rozumiała... Ja po prostu nie mogłam już żyć.

Pamiętam pobyty w szpitalu psychiatrycznym i dziewczyny, które tam spotkałam. Niektóre z nich milczały i nie chciały mówić o tym, co się stało – tak samo jak ja. Niektóre opowiadały o tym

w kółko, każdemu, kilkakrotnie. A niektóre mówiły o tym, co się działo bardzo rzadko, urywanymi zdaniami i półsłówkami.

Każda z nas chciała się zabić, ale każdy przypadek był inny, powody były inne, okoliczności były inne, natomiast rozpacz wypływająca z nas była tego samego koloru, ale miała inne odcienie.

Wszystkie miałyśmy wrażenie, że nasze rodziny nas nie rozumieją. Że słuchają, ale nie pojmują wypowiedzianych przez nas słów. Że mówimy w innym, prastarym języku, niezrozumiałym dla zwykłych śmiertelników. I to tak bardzo bolało.

Ja, w przeciwieństwie do reszty pacjentek, miałam ojca, który choć trochę mnie rozumiał. Ale to poczucie akceptacji zanikało, zatapiane pod ogromną falą ignorancji wylewającej się z mojej własnej matki.

– Masz wszystko! Dostajesz na pstryknięcie palcem cokolwiek sobie zażyczysz – jedzenie, ubrania, kosmetyki i wszystko inne, i jeszcze ci mało? Czego jeszcze chcesz, Laura? Mścisz się na mnie, robisz to po to, żeby mnie ukarać, żeby mnie zniszczyć... Tak bardzo mnie nienawidzisz. Nienawidzisz, prawda? Powiedz to na głos! Czy ty naprawdę myślisz, że wiesz, co to znaczy być nieszczęśliwym? Nie masz o tym pojęcia, rozumiesz? Życie cię zniszczy... Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz miała dzieci, że ktoś wbije ci nóż w brzuch, pozbawiając daru macierzyństwa, że nie urodzisz takiej niewdzięcznej żmii, jaką urodziłam ja!

Moja matka nigdy niczego nie rozumiała. Nawet gdybym przyniosła jej na tacy odpowiedź, dlaczego to zrobiłam, ona i tak by tego nie pojęła z jednego prostego powodu. Dla niej zawsze było tylko „ja, ja i ja”. Zawsze wszystko było o niej i przez nią, stawiała

się w centrum uwagi, nie pojmując, że nie próbowałam się zabić z jej powodu.

Nigdy przez myśl by mi nie przeszło, żeby pozbawić się życia z powodu chorej i odrzuconej kobiety, nawet jeśli za to odrzucenie obwiniała mnie – swojego kozła ofiarnego.

Wtedy, za pierwszym razem, chciałam się zabić, bo nie potrafiłam żyć z tym, co zrobiłam. Nie potrafiłam żyć ze świadomością, jak bardzo zawiodłam ojca. Nie potrafiłam żyć z tym, co widziałam w jego oczach, gdy na mnie patrzył, od momentu, gdy tamtego dnia wystrzeliła moja broń. Nie było już odwrotu.

– Idziemy już dość długo – szepcze Dorian, a ja zastanawiam się, czemu zniżył głos. Nie ma tu nikogo oprócz nas. – Myślisz, że byłaś w stanie odbiec tak daleko?

– Nie wiem. Możemy przejść jeszcze kawałek i zawrócić. Nie spodziewałam się, że cokolwiek tu znajdziemy.

Przechodzimy kilkadziesiąt metrów, przedzierając się przez gęste krzaki i strząsając z siebie robactwo. Aż do momentu, gdy stwierdzam, że należy zawrócić. Wchodzimy na małą polankę i coś szarpie mnie w klatce piersiowej. Jakieś dziwne uczucie niepokoju niewiadomego pochodzenia.

Zatrzymuję się jak wryta i biorę głęboki wdech. Wdycham zapach powietrza w tym właśnie miejscu. Podeszwy stóp łaskoczą mnie, jakbym czuła przemieszczające się pod ziemią robaki.

Rozglądam się dookoła, rozświetlając otoczenie latarką.

– Przypomniało ci się coś?

– Nie.

– Więc o co chodzi?

– Sama nie wiem.

Dorian dobrze wie, że nie ma sensu mnie wypytywać, bo i tak niczego się nie dowie. Oddala się i zaczyna rozglądać po polance, a uczucie niepokoju zaczyna we mnie narastać.

Na chwilę zamykam oczy i biorę kolejny głęboki wdech, starając się zaabsorbować wszystkie zapachy i wsłuchać się w szum drzew. Uspokój się, Laura. Weź się w garść, bo zaczynasz popadać w paranoję. Cały ten powrót do przeszłości, do tego, co on ci zrobił, zaczyna siadać ci na psychice.

– Hej! Mam coś!

Otwieram szeroko oczy, bo to coś, czego chyba jednak najmniej się spodziewałam. Szybko podążam za głosem Doriana na skraj polanki, nie mogąc go z początku zauważyć. Dopiero po chwili dostrzegam jego czerwoną kurtkę pośród gęstych krzaków.

– Po co tam wlałeś?

– Zauważyłem coś dziwnego, nienaturalnego. Chodź tu, sama zobacz!

Przeciskam się przez chaszczę i po chwili stoję obok chłopaka.

Spoglądam na niego, a później ogarniam światłem latarki miejsce przed nami.

– Gratulacje. Byłbyś dobrym myśliwym. Jesteś spostrzegawczy.

Mały fragment ziemi przed nami pozbawiony jest badyli. Zostały połamane i odrzucone na bok. Po prawej stronie, pośród gęstych liści krzewu, zrobiony jest daszek, najprawdopodobniej z części pourywanych gałęzi. Ziemia pod nim usłana jest przyniesionym wyschniętym już mchem i liśćmi. Na pewno nie znalazły się tu przypadkiem.

– Co to?

– Kryjówka. Ktoś chciał ułatwić sobie obserwację przyrody. Ma to sens, polanka, co prawda, jest niewielka, ale z pewnością

łatwiej zauważyć leśne zwierzęta tutaj niż pośród gęstwiny.

– Ktoś przychodzi tak daleko w głąb lasu, żeby w tak niewygodnym miejscu poobserwować sobie zwierzęta?

– Tak, wyobraź sobie, że są tacy ludzie. Nie wszyscy mają takie hobby jak ty. Poza tym możliwe, że to kryjówka jakiegoś myśliwego. Albo kłusownika.

– Bywają tu kłusownicy?

– Oczywiście. Są wszędzie, nie ma powodu, żeby nie było ich w tych lasach.

– Szkoda. Myślałem, że znalazłem coś bardziej istotnego. Chodźmy stąd, chyba pora wracać do auta.

Odwracam się, żeby wrócić po naszych śladach, bo tak byłoby najłatwiej, rzucam snop światła przed siebie i krew zamarza w moich żyłach. Szybko gaszę latarkę i staję jak wryta, a Dorian boleśnie zatrzymuje się na moich plecach.

– Co się...

– Cicho! Na ziemię!

Ciągnę go za sobą i zastygamy. Jestem wdzięczna chłopakowi, że wykonuje polecenie i nie zadaje zbędnych pytań.

Po kilkunastu minutach podnoszę się i zaczynam wycofywać, aby obejść polankę dookoła. Potrafię poruszać się w lesie po ciemku niemalże bezszelestnie, w przeciwieństwie do mojego towarzysza. Znowu się zatrzymujemy i oczekujemy chwilę, ale nie słyszę żadnego niepokojącego dźwięku, szelestu. Zaczynam się zastanawiać, czy mi się nie wydawało, czy moja rozchwiana psychika nie próbuje mi przypadkiem spleść figla...

Ale mogę przysiąc, że go widziałam. Wysoka, szczupła, postawna postać w luźnej wiatrówce, stojąca dokładnie w miejscu, z którego weszliśmy na polankę.

Śledził nas?

Nie mam pojęcia, kim był, widziałam go, a właściwie zarys jego postaci, tylko przez ułamek sekundy, ale poczułam tak ogromny i zapomniany, tak boleśnie pochłaniający mnie strach, że zamarło mi serce.

Po cichu, powoli oddalaliśmy się w ciemności od polanki w kierunku, z którego przyszliśmy. Zatrzymaliśmy się, a ja intensywnie nasłuchiwałam, ale nie usłyszałam żadnego dźwięku wskazującego na to, że nie jesteśmy tutaj sami.

Kto to mógł być? Spacerowicz? Kłusownik? Myśliwy?

A może to był ON? Może moje serce nie bez powodu przeszło lodowate zimno, gdy wkroczyliśmy na polankę?

Drogę powrotną do szosy, a później do auta, przebyliśmy o wiele szybciej, bo gnał nas strach. Dorian też był przestraszony, chociaż nie odezwał się ani słowem.

Gdy wsiedliśmy do auta i ruszyliśmy, poczułam się lepiej i odetchnęłam z ulgą.

– Mój Boże, Laura. To było cholernie przerażające doświadczenie – odezwał się w końcu chłopak i roześmiał, a ja mu zawtórowałam, bo wreszcie zeszło ze mnie największe napięcie.

Zawibrował mój telefon. Wyciągnęłam go z kieszeni, przeczytałam wiadomość i ten rzadko pojawiający się uśmiech zszedł z mojej twarzy.

– Co jest? Kto do ciebie napisał?

– Alicja.

Zamknęłam na chwilę oczy, starając się jakoś przetrwać, zrozumieć i poukładać w głowie to, co mi napisała, chociaż tak naprawdę tego się spodziewałam, mimo że z całej siły odpychałam

od siebie tę myśl. Spojrzałam jeszcze raz na wyświetlacz i przeczytałam treść wiadomości na głos:

– Wszystkie dziewczyny, oprócz Doroty, były leczone w Instytucie Pinela. Kilka z nich prowadził twój ojciec.

Rozdział XLII

Gdy leżałam tak wiele dni i nocy, przykuta do metalowego łóżka, na śmierdzącym i przepoconym materacu, zastanawiałam się, czy matka będzie płakać na moim pogrzebie. Chciałabym, żeby tak było, bo to by oznaczało, że nad grobem swojej jedynej córki jednak ruszyło ją sumienie – okazałoby się, że je ma. Przypomniałaby sobie, jak to było, gdy ruszałam się pod jej sercem i jak się z tego powodu uśmiechała. Powróciłby do niej zapach mojego dziecięcego ciała i przypomniałaby sobie, jak uczyła mnie pleść wianki z polnych kwiatów. Same dobre wspomnienia.

I wtedy zapłakałaby z żalości za swoją córeczką.

Pierwszy raz.

Tak jak nigdy wcześniej nie płakała.

Tak jak nigdy nie płakała, gdy podcinałam sobie nadgarstki. Nie była wtedy przestraszona, zrozpaczona. Była po prostu zła, zirytowana i czasami zastanawiałam się, czy ona czeka, aż umrę? Czy może po prostu nie zdaje sobie sprawy z tego, że naprawdę

mogę odejść, nie dopuszcza do siebie tej myśli? Myśli, że się po prostu z nią bawię, drażnię, próbuję ją ukarać?

Tak jak nigdy nie płakała, gdy wracałam ze szpitala. Do dziś pamiętam jej znudzony wzrok, gdy wchodziłam do domu i zobaczyła mnie pierwszy raz od dnia, w którym poplamiałam krwią jej ulubioną sukienkę, gdy ona próbowała zatamować krwawienie. Do dziś słyszę w głowie wypowiedziane bezbarwnym głosem: Witaj z powrotem, Laura.

Tak jak nigdy nie płakała, gdy odnalazłam się po porwaniu. Była pierwszą osobą, która oskarżyła mnie o kłamstwo. I tak już pozostało. Nie zabolalo jej to, co zrobiono z moim ciałem. Ile przyjęło ran i ciosów, ile bólu doświadczyło. Według mojej matki, cokolwiek się ze mną działo, zawsze sama byłam temu winna. Powinnaś odejść i zostawić wszystkich w spokoju, Laura.

Nie. Moja matka nigdy nie płakałaby na moim pogrzebie.

Piękny, słoneczny dzień. Niebo jest błękitne i czyste, nieskalane ani jedną chmurką. Zewsząd słyhać piękne trele ptaków, układające się w niepowtarzalną symfonię, podczas gdy my w ciszy, przerywanej szlochem matki, stąpamy za karawanem. Po chwili zaczyna płakać synek Michała.

Gdy otaczamy kordonem dziurę w ziemi, w której spocznie mój brat, ksiądz zaczyna przemówienie, ale nie mam ochoty go słyhać. Bóg tak chciał. Wola boska. Dać umrzeć młodemu mężczyźnie, zostawiającemu zrozpaczoną żonę i małe dziecko. Może zostanie potępiony za popełnione grzechy, może nie, wszystko będzie mu odpłacone.

Jak można słyhać tych bzdur?

Wyłączam się i wpatruję w dziurę, do której ma zostać opuszczona trumna. Słyszę tylko szum drzew. Nagle dostrzegam,

że krawędź grobu lekko się zapada. Rozglądam się dookoła, ale nikt z obecnych nie spogląda w tamtą stronę. Stawiam krok do przodu i jestem niemalże pewna, że z dołu dochodzi hałas przypominający sapanie.

Nagle świat wokół milknie, w uszach brzmi jedynie mój przyspieszony oddech i szaleńcze dudnienie mojego serca, gdy stawiam kolejny krok w kierunku trumny. Teraz wyraźnie słyszę, że coś tam jest.

Nagle moje ciało tężeje i staję jak wryta, bo z grobu gwałtownie wydostaje się blada, zakrwawiona dłoń z połamanymi paznokciami, a zaraz po niej poharatane, ubrudzone świeżą ziemią, przedramię.

Skamieniałam, chciałabym się rozejrzeć, sprawdzić, czy inni żałobnicy też widzą to samo, co ja, ale nie mogę ruszyć się ani o milimetr.

Po chwili, jęcząc i charcząc, z dziury wygrzebuje się kobieca postać – jak z horroru, z długimi, skołtunionymi włosami, w podartej i zakrwawionej białej koszuli nocnej. Z hukiem kładzie się na trawie, a jej nogi zwisają z krawędzi.

Z nieludzkim wrzaskiem najpierw siada, potem przez chwilę zastyga na czworakach, a chwilę później podnosi się, trzymając za brzuch i, choć w dalszym ciągu nie widzę jej twarzy, już wiem, kim ona jest. Łzy ciekną mi po policzkach.

Kobieta powoli podchodzi do mnie. Odruchowo chciałabym się cofnąć, ale nie potrafię. Nie mogę.

Nawet nie wiem, kiedy jej ręce chwytają mnie za ramiona. Niemalże czuję metaliczny zapach krwi, którą – mam wrażenie – jest pokryta w całości. Odrzuca włosy, ukazując zapuchniętą, ubrudzoną krwią i ziemią twarz. Moją twarz.

– Uratuj mnie, uratuj mnie, błagam... – szepcze zachrypniętym głosem Laura z grobu.

– Przecież cię uratowałam – charczę przez ściśnięte gardło. – Wyszłam z grobu. Udało mi się uciec.

– Uratuj mnie, błagam! – Z oczu kobiety płyną łzy, a ja mam wrażenie, że zaraz zacznę wrzeszczeć.

Wtem rozlega się strzał, postać pęka niczym balon, a ja wzdrygam się gwałtownie i otwieram oczy.

– Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć, ale chyba śniło ci się coś złego.

Opuszczam uprzednio podwinięte nogi na tarasową posadzkę i przecieram oczy. Wyszłam na ganek, bo nie dawałam już rady przyjmować wszystkich kondolencji i wyrazów współczucia, a najbardziej nie mogłam znieść tego, że wszyscy oglądają mnie jak okaz zagrożonego gatunku w obwoźnym zoo. Tak, to ta Laura, córka doktora, dziwaczka i wariatka, która okłamała cały kraj i swoją rodzinę.

Tak, to ja.

– Chcesz się czegoś napić albo coś zjeść? W środku jest mnóstwo jedzenia. Ale ostrzegam cię, że wchodzisz tam na własną odpowiedzialność.

– Nie, dzięki, spasuję.

Dorian siada koło mnie na huśtawce i łapie moją dłoń, co mnie dziwi. Dobrze wie, że nie wolno mnie dotykać.

– Przykro mi – mówi cicho, spoglądając na mnie. – Naprawdę mi przykro.

Puszcza moją dłoń, co przyjmuję z lekkim smutkiem, ale postanawiam nie zwracać na to uwagi. Nie mogę, po prostu.

– Wiem. Ale już po wszystkim. Nie jesteśmy w stanie nic zrobić.

Rozglądam się dookoła i przypominam sobie, jak razem z braćmi biegaliśmy po podwórzu i ogrodzie, bawiąc się na tyle różnych sposobów – budując szałas i bazy na drzewach, strzelając z procy, którą sami z braciszkiem zrobiliśmy, bo nauczył nas Michał. Nagle przypominam sobie, jak uderzałam jego twarz, rozbryzgując na sobie i na nim jego krew...

Wstrząsam gwałtownie głową, starając się odpędzić wszystkie złe myśli. Nie chcę tego wspominać. Nie dzisiaj.

– Byłem na pogrzebie, ale nie chciałem podchodzić. Widziałem, że było dużo ludzi.

– W porządku.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

– Nie. Chcę, żebyś mnie stąd zabrał.

Wstałam z huśtawki i założyłam buty, po czym podeszłam do drzwi wejściowych i cicho je otworzyłam, nie chcąc, aby goście mnie zauważyli. Sięgnęłam po kurtkę i torbę wiszące na wieszaku i powoli chciałam się wycofać, ale moją uwagę przykuł pewien obraz.

Matka, ubrana w powłóczystą, koronkową, czarną sukienkę, z rozpuszczonymi, kręconymi włosami, mocno umalowanymi oczami i czerwonymi jak krew ustami, stoi na środku salonu pełnego żałobników.

W każdym z nich jest mniejszy lub większy smutek, wszyscy są przygarbieni, ich ruchy są trochę nerwowe, ociężałe. Ale nie ruchy mojej matki. Ona tak bardzo wybija się na tym tle: cała jej postać jest jakby lekka, zwiewna, jej ciało niemal unosi się nad podłogą. Jej piękne usta ułożone są w lekką podkówkę, ale w dużych oczach widać intensywnie migoczące ogniki. Delikatnie porusza rękoma, na których powiewają koronkowe rękawy, przestępuje

powoli z nogi na nogę i przekręca głowę to w prawo, to w lewo, jakby tańczyła.

Nagle spogląda na mnie, jej ciało tężeje, przestaje mrugać i świdruje mnie spojrzeniem.

I wtedy mnie to uderza.

Wtedy zaczynam rozumieć i łączyć wszystkie fragmenty układanki.

Moja mama pławi się w smutku i nieszczęściu jak salamandra w ogniu.

Moja mama potrzebuje być niekochana, nieszczęśliwa, samotna, bo – paradoksalnie – to nadaje jej życiu sens. I daje jej najwięcej satysfakcji.

To nie tak, że wdałam się tylko w ojca. Dobrze o tym wiesz, matko.

Nienawidzisz mnie za to, że jako jedyna jestem w stanie to zobaczyć.

Bez słowa wycofuję się i zamykam frontowe drzwi, odcinając się od świdrującego spojrzenia matki i wszystkiego, co się wokół niej unosi.

Rozdział XLIII

– Kocham ten kraj. Jednego dnia możesz być nad morzem, a drugiego w górach.

Teren robił się coraz bardziej górzysty, a obraz za oknem, wcześniej pełen głównie pól uprawnych, był coraz mocniej zalesiony. Na tym odcinku trzeba bardzo uważać, powtarzał ojciec, bo jest tu wyjątkowo dużo zwierzyny leśnej, która może wybiec na drogę.

Ośrodek, którego głównym współudziałowcem był mój tata, a który został założony przez mojego dziadka, jest położony w naprawdę pięknym miejscu. Zawsze żałowałam, że nie chodziliśmy z ojcem na polowania w te rejony, ale on, z jakiegoś znanego tylko sobie powodu, nigdy się na to nie zgadzał.

Wjeżdżamy powoli na dziedziniec. Na jego końcu znajduje się trzypiętrowy budynek z poradnią i recepcją. To jeszcze nie jest obszar zamknięty z drzwiami ze wzmocnionej blachy, zabezpieczonymi unikalnymi kodami.

Budynek, w którym znajdują się chorzy, jest kilkaset metrów dalej. Aby się do niego dostać, należy wyjść z poradni i przejść

przez ogromny ogród wypełniony idealnie przyciętymi krzewami i pachnącymi drzewami, na środku którego stoi imponująca fontanna. Przy niej zatrzymywałam się za każdym razem, gdy byłam kierowana do ośrodka.

Moim docelowym miejscem był ogromny, strzelisty, wielopiętrowy budynek, wznoszący się niemal do nieba, z oknami uzbrojonymi w grube kraty, niestety odbierające mu trochę majestatu. Mieszkałam zazwyczaj na najwyższych piętrach, skąd miałam piękny widok na góry. Istniała tu hierarchia – im byłeś bogatszy, tym zajmowałeś wyższe piętra z pięknymi widokami. Biedniejsi, korzystający z publicznej opieki medycznej, zamieszkiwali najniższe piętra z widokiem na ogród i budynek naprzeciwko. Nie widzieli panoramy gór.

Nie pamiętam, ile godzin spędziłam, włączając się po korytarzach czy też świetlicach albo leżąc na łóżku w luksusowym pokoju przypominającym pięciogwiazdkowy hotel, w którym jednak próżno było szukać szklanek i barku z alkoholem. Ale był tam ojciec. Widywaliśmy się codziennie, głównie w zaciszu jego gabinetu, bez wścibskich oczu personelu i nienawistnych spojrzeń matki. Mogliśmy w spokoju zaznać prywatności.

Karczę się w myślach za to, że te wszystkie budynki, a szczególnie to miejsce, przywołują we mnie tyle ciepłych uczuć. Przecież to było moje więzienie.

– Nieprawda – odzywa się niski głos w mojej głowie. – To ty jesteś swoim więzieniem.

Wkładam kurtkę i zarzucam na ramiona torbę, po czym razem z Dorianem udajemy się do budynku, a następnie kierujemy do recepcji. Niestety, nie poznaję żadnej z siedzących za pleksiglasem osób.

– Witam, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, nazywam się Laura Wagner.

Lekko uśmiechnięta kobieta spogląda na mnie wyczekująco, nie mając pojęcia, kim jestem.

– Moim ojcem był Edward Wagner.

– Ach, pan doktor! Oczywiście, że pamiętam. Tablica pamiątkowa jest zawieszona w hotelu głównym, codziennie rano zapalamy pod nią znicz.

– Wiem. Ale jestem tu z innego powodu.

Ta, pożał się Boże, tablica została zawieszona podczas mojego ostatniego pobytu tutaj, gdy po raz kolejny chciałam się zabić po śmierci ojca.

– W czym mogę pani pomóc?

– Chciałabym pomówić z doktorem Szulcem, jego żona powiedziała mi, że dziś ma dyżur.

Recepcjonistka rzuca okiem na monitor, klika przez chwilę, po czym znowu spogląda na mnie.

– Tak, to prawda, ale pan doktor jest zajęty. Aktualnie ma obchód, a później zaczyna sesje trwające aż do wieczora.

– Nie szkodzi, nie zajmę mu dużo czasu.

– Rozumiem, jednak...

– Proszę do niego zadzwonić i zapytać osobiście. Może to pani dla mnie zrobić? Proszę powiedzieć, że chce się z nim zobaczyć córka Edwarda.

Kobieta, niezadowolona z mojej stanowczości, podnosi telefon i wybiera numer. Po krótkiej rozmowie z przyjacielem mojego taty patrzy na mnie z uśmiechem.

– Pan Szulc zgodził się na spotkanie. Zapraszam panią do budynku głównego. Portier panią wpuści. Proszę wjechać na

dziewiąte piętro i udać się do poczekalni.

– Dziękuję.

Odwróciłam się do Doriana.

– Poczekasz tutaj? Lepiej będzie, jak załatwię to sama.

– Jasne.

Po chwili wychodzę i kieruję się w miejsce wskazane przez recepcjonistkę, mijając w połowie drogi piękną fontannę, ale tym razem się nie zatrzymuję. Tym razem nie jestem pacjentką i nie muszę odciągać w czasie momentu, aż zatrzasną się za mną metalowe drzwi, bo dziś będę mogła po prostu stąd wyjść. Jestem wolnym człowiekiem.

Śmieję się pod nosem, uzmysławiając sobie, jak bardzo nieprawdziwe jest to stwierdzenie.

Mimo że jestem tylko gościem, portier sprawdza dokładnie moją torebkę, każe zdjąć kurtkę i prosi o dowód osobisty. Wklepuje moje dane do systemu, a ja w tym czasie wypisuję swoje imię i nazwisko na plakietce z czerwonym napisem „Gość”, którą przyklejam sobie do piersi. Mężczyzna po chwili oddaje mi moje rzeczy i spogląda na mnie badawczo.

– Ach, to pani – mówi po chwili. – Zastanawiałem się przez moment, skąd panią znam. Widziałem panią w telewizji, to panią porwał ten zwyrol, prawda?

Spoglądam na niego zaskoczona.

– Nie... Chyba pan nie jest na bieżąco.

– Jestem, jestem – odpowiada i nagle bardzo się obrusza. – To kpina, że panią oskarżyli o kłamstwo. Wystarczyło na panią popatrzeć i człowiek wiedział, że panią porwano! Że to jakiś zbok się znęcał! Ale nie, cały ten prokurator i minister sprawiedliwości to jedna wielka hucpa, cholerna mafia, która jedyne co ma na celu

to nie dobro obywatela, ale żeby im się te jebane słupki i statystyki zgadzały. No bo kto to widział, nie znaleźć i nie wtrącić do więzienia takiego zwyrodnialca! Oczywiście, że musieli to zatuszować. Ach, szkoda gadać! – Macha ręką i siada z powrotem na swoim obrotowym krześle. – Cholernie pani współczuję. Podziwiam, że się pani z tego jakoś wygrzebała.

Staję jak wryta, z szeroko otwartymi oczami i rozchyłonymi ustami, nie wierząc w to, co usłyszałam. Nikt oprócz Doriana nie powiedział, że mi wierzy. A ten facet jest święcie przekonany do mojej wersji i na dodatek cała sytuacja wywołuje w nim emocje! To niesamowite. Nie do opisanania.

Przełykam ślinę i biorę głęboki oddech.

– Dziękuję panu – mówię cicho i wtedy wpadam na pomysł. – Długo pan tu pracuje?

– Kilka lat. Fajna praca, święty spokój. Nie to co na oddziałach.

Sięgam do torby, wyciągam z niej teczkę, a z jej środka zdjęcia dziewcząt.

– Może pan coś dla mnie zrobić? Może pan spojrzeć na te zdjęcia i powiedzieć, czy widział tu kiedykolwiek te dziewczyny? Może je pan zapamiętał?

Patrzy na mnie trochę zdziwiony, ale bierze pliczek. Powoli go przegląda, przekrzywiając głowę w prawo i w lewo, ale na żadnym nie zatrzymuje się dłużej.

– Wie pani co, nie jestem pewien. Te dwie wydają mi się znajome, ale nie dam sobie głowy uciąć – mówi, wskazując na zdjęcia Mariki i Hanny. – Ta pierwsza miała bardzo ładną matkę, tak mi się kojarzy, i były tu na pewno więcej niż raz. Ta druga... Nie wiem, nie jestem pewien. Ale reszty w ogóle sobie nie przypominam. – Oddaje mi zdjęcia. – A dlaczego pani pyta?

– To dziewczyny, z którymi się tu leczyłam – kłamię gładko, wiedząc, że mężczyzna nie jest w stanie tego zweryfikować. – Chciałam odnowić z nimi kontakt, ale bardzo trudno je znaleźć. No cóż, dziękuję panu za pomoc.

Tak naprawdę chcę wiedzieć, z kim miały styczność. Kto był ich lekarzem prowadzącym, psychoterapeutą, chirurgiem, internistą czy rehabilitantem. Coś musi je łączyć. A właściwie ktoś.

Bo jedynym wspólnym mianownikiem jest właśnie instytut i jestem już pewna, że to tutaj je poznawał. To tutaj je wybierał.

Oddalam się w kierunku wielkich, metalowych drzwi i czekam, aż usłyszę charakterystyczny dźwięk, wtedy pcham skrzydło i wchodzę do środka. Maszeruję długim korytarzem do wind i kilka chwil później jestem już na dziewiątym piętrze, pod gabinetem doktora Szulca.

Pukam, ale odpowiada mi cisza. Pewnie nie wrócił jeszcze z obchodu. Siadam w miękkim fotelu, obok stoi duży fikus, i wyglądam przez okno. Piękny widok przypominający mi o spokoju, jakiego nigdy nie zaznam.

Żadna terapia ani żadne leki nie były w stanie mi pomóc pozbyć się tego nieznanego innym instynktu, tego uwielbienia dla zapachu krwi. I żadne z nich nie potrafiły usunąć z mojej głowy głosu, który szeptał powoli, że powinnam to zrobić. Powinnam się zabić.

Mówi się, że palacz na zawsze zostaje palaczem i na pewno coś w tym jest. Tak samo jak niedoszły samobójca do końca życia będzie niedoszłym samobójcą. Pozostaje też na nim pewnego rodzaju widoczne piętno, ale to nie znaczy, że się go nie pozbędzie. Jestem pewna, że niektóre z dziewcząt, których zdjęcia ściskam w dłoni, pozbyły się tego piętna i zaczęły od nowa. Odnowiły

kontakty z rodziną, znalazły sobie chłopaków, może któraś z nich się zaręczyła...

Ale on im to zabrał. W momencie, w którym wygrały kolejną bitwę, on zabrał im wszystko. A ja zrobię, co w mojej mocy, żeby za to odpowiedział.

– Laura?

Podskoczyłam na fotelu i obróciłam się w kierunku, z którego dobiegał głos.

– Tak, to ja. Dzień dobry, panie doktorze!

Wstałam i podeszłam do niego, zauważając, że zmienił się znacznie, odkąd go ostatni raz widziałam. Jego włosy posiwiały, pojawił się imponujący, piwny brzuch, a sylwetka bardzo się przygarbiła.

Niespodziewanie przygarnął mnie do piersi ojcowskim ruchem, aż poczułam jego duszący antyperspirant. Nagle się odsunął i, patrząc mi w oczy, odezwał się:

– Mała Laura! Wykapany z ciebie ojciec! Nie spodziewałem się, że cię jeszcze zobaczę. A już na pewno nie tutaj!

– A jednak. Mnie też miło pana widzieć.

– Chodź, kochana. Co prawda mam tylko kilka minut, bo muszę lecieć na sesję, ale możemy chwilę porozmawiać. Chcesz kawę, herbatę? Nie? To opowiadaj, co u ciebie, jak ci się żyje?

Weszliśmy do gabinetu, lekarz usiadł za biurkiem, a ja naprzeciwko. Jakbym była pacjentką.

– Z dnia na dzień, panie doktorze. Przepraszam, że panu przeszkadzam.

– Przestań, świetnie cię zobaczyć. Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa.

Zastanawiam się przez chwilę, co dokładnie miał na myśli, ale postanawiam się w to nie wgłębiać.

– Nie chcę panu zabierać czasu, więc przejdę do sedna. Przyszedłam prosić o pomoc.

– Jasne, Laura, oczywiście.

Uśmiechnęłam się delikatnie, bo dobrze wiem, że wcale to nie było takie oczywiste. Położyłam przed nim na biurku zdjęcia dziewcząt. Spojrzał na mnie trochę zdziwiony, ale wziął je do ręki i zaczął przeglądać, uprzednio założywszy na nos okulary.

– Chciałabym się dowiedzieć o nich czegoś więcej. Były leczone tu, w instytucie, i mam nadzieję, że pomoże mi pan doktor zdobyć trochę informacji na ich temat.

– Dlaczego?

– Byłam z nimi na oddziale, przyjaźniłyśmy się podczas pobytu w szpitalu. Chciałabym odnowić kontakty.

Pierwsze kłamstwo.

– Laura – powiedział z lekkim uśmiechem. – Może i jestem stary, ale nie mam sklerozy. Nie wszystkie z nich dobrze pamiętam, ale te dwie na pewno nie były z tobą na oddziale. Prowadziłem je wszystkie, a te pojawiły się tu po tym, jak ostatni raz wypisano cię z instytutu. Możesz powiedzieć, o co naprawdę ci chodzi?

Westchnęłam głęboko.

– Dobrze. Przepraszam, panie doktorze. Nie wiedziałam, jak o tym z panem porozmawiać... Prawda jest taka, że wiem, że wszystkie te dziewczyny chciały się zabić i to zrobiły. Wiem, że leczyły się tutaj i nie ukrywam, że daje mi to naprawdę duże poczucie dyskomfortu, cały czas o nich myślę. Chciałabym je lepiej poznać, zrozumieć motywy, dlaczego to zrobiły, czemu im się nie

udało przeżyć, a udaje się mnie. Ciężko mi to wytłumaczyć, ale jest we mnie ogromna potrzeba, żeby się tego dowiedzieć. Chyba pan doktor rozumie.

Drugie kłamstwo.

Lekarz przez chwilę mi się przygląda, lekko marszcząc brwi. Zdejmuje z nosa okulary, składa na kupkę zdjęcia i przesuwa je po blacie w moją stronę.

– Laura, przecież zdajesz sobie sprawę z tego, że to dane poufne i nie mogę ci ich udostępnić...

– Wiem, panie doktorze, ale miałam nadzieję, że ze względu na naszą znajomość... Przecież pan mi ufa, prawda?

– Laura!

Poruszył się niespokojnie na fotelu.

– Oczywiście, że ci pomogę. Ale nie w ten sposób. Jeśli uważasz, że potrzebujesz pomocy i masz w głowie uczucia i emocje, które muszą zostać przepracowane, to nie widzę przeciwwskazań, by przyjąć cię na oddział. Załatwimy ci w miarę szybki termin i będziemy mogli w spokoju, powoli i metodycznie, przejść wspólnie przez wszystko, co cię gnębi. Co ty na to?

– Ale...

– Kochanie, to jedyny rodzaj pomocy, jaki mogę ci w tej sytuacji zaoferować.

Siedzę sztywno, napięte mięśnie zaczynają boleć, chce mi się płakać na samą myśl, że zostałam tu kolejny raz zamknięta. Nie. Ten etap mam już za sobą i nigdy, przenigdy nie dam się zamknąć. Uwięzić. Nikomu.

Gwałtownie wstaję z fotela i sięgam po zdjęcia.

– Przepraszam, że zawracałam panu głowę, naprawdę nie chciałam.

– Nic się nie stało, Laura. Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

– Tak, wiem. – Jestem już przy drzwiach. – Do widzenia, panie doktorze.

– Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać!

Przemierzam korytarz szybkim krokiem i kilkakrotnie naciskam przycisk przywołania windy, jakby to miało sprawić, że przyjedzie szybciej.

Po chwili mknę w dół w metalowej skrzynce, zaciskając drżące dłonie w pięści, zastanawiając się, czego ja, do cholery, oczekiwałam. Przecież było wiadomo, że lekarz nie będzie udostępniał mi kartotek swoich pacjentów. Byłam naiwna, sądząc, że pomoże mi tylko dlatego, że powołam się na jego zmarłego przyjaciela. Zaproponował mi kolejne patrzenie na życie zza krat. Cholera jasna!

Nie powinnam była tu przychodzić, ojciec. Nie powinnam była robić tak wielu rzeczy, nie powinnam była wracać wtedy przez park ze słuchawkami w uszach, nie powinnam była wtedy wbiegać na schody, nie powinnam była wtedy oddawać strzału...

Nie warto było tu przychodzić.

Mijam biurko portiera i rzucam mu krótkie spojrzenie, po czym spoglądam na niego ponownie. Mężczyzna uśmiecha się, macha mi na pożegnanie i podnosi w górę kciuk. Odmachuję mu i wychodzę z budynku.

Może jednak choć trochę było warto.

Rozdział XLIV

Grat Doriana powoli wtacza się do biedniejszej dzielnicy naszego miasteczka, w której nigdy nie byłam i która jest trochę przerażająca. Jakby była kompletnym przeciwieństwem nowobogackich osiedli, które sama zamieszkiwałam, na których się bawiłam i gdzie chodziłam do przedszkola i szkoły.

Większość budynków, które widzę, to rudery. Część ma okna zabite deskami, więc albo są niezamieszkanne, albo koczują tam bezdomni. Zauważyłam już kilka starych, pozbawionych kół aut na podwórkach i ulicy i odniosłam wrażenie, że jesteśmy na jakimś zadupiu z amerykańskiego filmu. A może po prostu nigdy nie widziałam takiej biedy? Przerażające.

– Mam nadzieję, że nikt nas tu nie skroi. Za wiele nie mam, ale jednak telefonu i dokumentów potrzebuję – powiedział nerwowo Dorian. – Tu przyjeżdża policja, czy to raczej dzielnica typu nogo?

– Daj spokój, nie przesadzaj. Chyba jesteśmy po prostu zdziwieni, bo zbyt kontrastuje z tymi willami i pałacami, w których mieszkają rozpuszczone bachory, takie jak ja.

– Nie wiem, może. Ale czuję się nieswojo.

– Zobacz, tu po prawej stronie jest ładny ogródek, nawet mają plac zabaw dla dzieci. Mieszkają tu normalni ludzie. Tylko po prostu cholernie biedni.

– Nie rozumiem takich osób. Wystarczy przeprowadzić się do większego miasta, bez problemu znaleźliby robotę. Nie musieliby tu gnić.

– Nie wszyscy lubią duże miasta. Spora część mieszka tu z dziada pradziada, część nie ma odwagi się stąd ruszać, bo po prostu nie znają innego świata.

– Taaak... A część chyba bardzo lubi intymność.

Minęliśmy główną uliczkę i skręciliśmy w polną drogę, według wskazówek pani z monopolowego, która miała to do siebie, że znała adres każdego mieszkańca. Przejechaliśmy przeszło kilometr i zatrzymaliśmy się przed starym, dwupiętrowym domem, za którym rozciągał się las.

Oboje wysiedliśmy z auta i rozejrzeliśmy się. Otoczyła nas cisza przerywana jedynie szumem drzew, śpiewem ptaków i bzyczeniem owadów.

– Taką ciszą i spokojem bym nie pogardził. Oczywiście od czasu do czasu. Broń Boże na zawsze.

Przed domem stała drewniana ławka, a obok duża ogrodowa huśtawka na grubych łańcuchach. Po lewej stronie, pod drzewami postawiono stare, ale zadbane, małe autko. Okna domu były zasłonięte firankami i zauważyłam ruch za jedną z nich. Odwróciłam się do Dorianana.

– Posiedź w samochodzie, pójdz na spacer, rób to, na co masz ochotę. Ja idę sprawdzić, czy ktoś jest w środku.

– Chcesz iść sama?

– Tak. On jest... dość specyficzny. Ale pamięta mnie, więc nie powinno być większych problemów. Myślę, że przy tobie może się krępować.

– No dobra, jak coś to krzycz. Będę się tu kręcił.

– Na razie.

Weszłam na ganek po skrzypiących schodkach, z których jeden był ułamany i tylko złapanie poręczy uchroniło mnie przed upadkiem. Wbiła mi się pod skórę drzazga i przez chwilę próbowałam ją wyjąć, ale się poddałam. Zapukałam do drzwi i zaczęłam nasłuchiwać.

Cisza.

Na pewno ktoś jest w środku. Po prostu nie chce mi otworzyć.

Pukam drugi raz i trzeci, po czym krzyczę przez zamknięte drzwi:

– Hej, Igor, to ja! Dziewczyna z psychiatryka, zaczepiłam cię ostatnio w sklepie!

Chyba nie było to najlepsze w życiu zaanonsowanie się, ale miałam nadzieję, że chłopak mnie zapamiętał i to go ośmieli, żeby mi otworzyć.

– Igor, jesteś tam?

Zamilkłam i znów odpowiedziała mi cisza. Odwróciłam się i spojrzałam na Dorianą, który z rękami w kieszeniach spodni stał na podjeździe i z ironicznym uśmiechem wpatrywał się we mnie. Po chwili podniósł kciuk w górę. Przewróciłam oczami i postanowiłam spróbować jeszcze raz:

– Igor, chciałabym tylko chwilkę porozmawiać, obiecuję, że to nie potrwa długo! Mam kilka pytań o dziewczyny z instytutu, które być może znałeś! Poświęcisz mi chwilkę?

Zastygłam, nasłuchując, i już straciłam nadzieję, kiedy do moich uszu dobiegły szurające kroki, chrobot klucza w zamku i chyba zasuwki, po czym drzwi uchyliły się i zobaczyłam fragment znajomej twarzy, przyglądającej mi się badawczo.

Uśmiechnęłam się.

– Cześć! Przepraszam za najście. Moglibyśmy chwilę porozmawiać? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Mężczyzna przygląda mi się z wahaniem, po czym spogląda za mnie na spacerującego w oddali Doriana.

– Spokojnie, to mój kolega. Nie będzie wchodził do środka, poczeka na mnie na zewnątrz. To mieszczuch, spacer dobrze mu zrobi.

Nigdy nie byłam mistrzynią gadania o wszystkim i o niczym i widzę, że w dalszym ciągu nie jestem, bo Igor rzuca mi dziwne spojrzenie. Po chwili odsunął się, otworzył drzwi na oścież i zaprosił mnie gestem do środka. Weszłam do ciemnego korytarzyka i poczułam się nieswojo, gdy zamknął za mną drzwi, mimo że nie przekręcił klucza w zamku. To, co mnie uderzyło, to zapach w tym domu. Pachniał starymi książkami, przypalonym olejem, pleśnią i mdłymi kadzidełkami. Chyba żadne z okien nie było otwarte, bo nie było czuć powiewu powietrza. Na chwilę zrobiło mi się niedobrze.

– Chcesz usiąść?

Kiwnęłam głową i udałam się za nim do pokoju, zdaje się, że do salonu. Potarłam palec, w który wbiła się drzazga, bo zaczął mnie swędzieć i rozejrzałam się dookoła. Dom musiał być umeblowany przez rodziców albo nawet dziadków Igora przed laty i od tego momentu, przypuszczam, nic się nie zmieniło, jakby zatrzymał się tu czas. Na jednej ze ścian stała przeszklona meblościanka, na jej

półkach zaś poustawiano kryształ i dwa zestawy filiżanek wraz z dzbaneczkami. Na środkowej znajdował się stary telewizor z kineskopem. Zastanawiałam się przez chwilę, czy jeszcze działa.

W centrum pokoju stała ława przykryta zrobionym na szydełku obrusem, a na niej ramka ze zdjęciem. Wokół znajdowały się dwa wytarte fotele i wysiedziana, gdzieniegdzie poprzecierana kanapa, która zapewne po zakupie miała zupełnie inny kolor. Wszystkie okna były szczelnie zasłonięte gęstymi firanami.

Usiadłam na fotelu, a Igor naprzeciwko mnie, na kanapie. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, nie mrugając, co trochę mnie krępowało i spuściłam wzrok. Poderwał się i z przepaszającą miną zapytał:

– Może się czegoś napijesz? Przepraszam, nie miewam gości. Nikt mnie nie odwiedza.

– Spokojnie, nie przejmuj się... Nie chcę sprawiać ci kłopotu.

– To nie kłopot, naprawdę. Proszę, powiedz, czego chciałabyś się napić.

Stał przede mną strapiony, wyraźnie zdezorientowany. Nie chciałam, żeby było mu przykro, więc poprosiłam o szklanek wody. Mężczyzna wyszedł z pokoju. Rozejrzałam się jeszcze raz dookoła i doszłam do wniosku, że mimo tego, że wystrój jest bardzo staromodny, jest tu bardzo czysto. Nie rozumiałam, skąd brał się ten paskudny zapach.

Pochyliłam się i wzięłam do ręki oprawione w ramkę zdjęcie. Była na nim młoda, ładna kobieta, w jasnych, kręconych włosach do ramion. Siedziała na kanapie, chyba tej samej, która stoi do teraz w pokoju, trzymając w rękach małe dziecko. Kobieta uśmiechała się, ale było w niej coś, co przyciągnęło mój wzrok i poruszyło jedną ze strun napiętych gdzieś w głębi mojego serca.

Z jej oczu bił ogromny smutek, nawet uśmiech tego nie zamaskował.

Igor wszedł do pokoju, spojrzął na mnie i postawił przede mną szklanekę z wodą.

– Dzięki. – Odłożyłam ramkę na miejsce. – Kto jest na tym zdjęciu?

– Ja i moja mama.

– Bardzo ładna. Mieszka tu razem z tobą?

– Nie. Umarła dawno temu.

Cholera.

– Przykro mi.

– Nawet nie pozwolili mi się z nią pożegnać. Nie byłem na pogrzebie.

– Ja straciłam ojca, gdy byłem nastolatką. Miał na imię Edward, może go pamiętasz... Też nie byłem na jego pogrzebie, przebywałam wtedy w szpitalu. – Delikatnie gładzę blizny na lewym nadgarstku. – A dziś rano pochowałam brata, Michała.

– To smutne. Nie mam nawet rodzeństwa. Jestem sam.

To tak jak ja.

– A jak miała na imię twoja mama?

– Elwira.

– Bardzo ładne imię. Wyjątkowe.

Chłopak zamilkł. Oboje nie odzywamy się przez chwilę i dochodzę do wniosku, że ta rozmowa nie poszła w stronę, w którą powinna była. Wyciągam z torby teczkę.

– Może przejdę już do rzeczy, nie chcę zabierać ci czasu. Zbieram informacje na temat dziewczyn, które leczyły się w instytucie, tak jak ja. – Rozłożyłam po kolei zdjęcia na stole. – Pomyślałam, że może mógłbyś mi pomóc? Pracujesz tam od lat, na pewno

pamiętasz którąś z nich, kto je odwiedzał, kto się nimi zajmował... Możesz mi pomóc?

Chłopak zdawał się mnie nie słuchać. Przyglądał się intensywnie zdjęciom, prześlizgując palcami po twarzach zamordowanych dziewczyn, marszcząc brwi. Po chwili zacisnął delikatnie dłoń i zaczął na zmianę prostować i zginać palec wskazujący, wydając przy tym nieprzyjemny chrzęst.

Wzdrygnęłam się lekko i poczułam coś w gardle; doświadczyłam jakiegoś dziwnego, niezrozumiałego, ogarniającego mnie powoli niepokoju. Rzuciłam okiem w kierunku okna, starając się dostrzec Doriana przez gęsty materiał firanek, ale oczywiście mi się to nie udało.

– Wszystko w porządku? – zapytał nagle Igor.

– Tak, tak – odparłam szybko, łapiąc za kołnierz bluzki i delikatnie ciągnąc go w dół. – Zrobiło mi się duszno i zakręciło w głowie, ale już w porządku.

– Chcesz wyjść na zewnątrz?

– Nie, nie, jest okej. Napiję się wody i mi przejdzie. I jak, poznajesz te dziewczyny?

Igor odchylił się i oparł o kanapę. Spojrzał na mnie trochę zmieszany.

– Tak, wydaje mi się, że tak. Ale nie wszystkie, tych dwóch w ogóle nie kojarzę. Pozostałe myślę, że widywałem, ale to było już jakiś czas temu.

– Możesz mi opowiedzieć o nich coś więcej? Opisać, co pamiętasz?

– Nie jestem pewien... To, co pamiętam, to że wszystkie miały obandażowane nadgarstki. W szpitalu prawie każda kobieta ma

poranione ręce, więc zapamiętuję raczej te, które bandaży nie mają. One musiały mieć.

– Tak, dobrze! Coś więcej? Pamiętasz, w jakich były grupach? Na których mieszkały piętrach?

– Nie... Nie wiem... chyba. Boże, nie pamiętam – zdenerwował się, ale nie na mnie, tylko na siebie.

– Spokojnie, bez żadnej presji, Igor. Każda informacja jest istotna. Może zostawiłabym ci te zdjęcia, a ty w wolnym czasie na nie popatrzysz i może sobie coś przypomnisz? Co ty na to?

– Tak. Może tak być.

– Świetnie! Dziękuję ci, nie masz pojęcia, jak bardzo jestem wdzięczna. – Zaczęłam zbierać fotografie do kupy, ale jedną z nich poplamiałam krwią ze skaleczonego palca. – Cholera! – Włożyłam palec do ust, a drugą dłonią starałam się zetrzeć krew, ale na niewiele się zdały moje starania. – Przepraszam cię, weszła mi drzazga... Mam nadzieję, że widok krwi ci nie przeszkadza...

– Mogę cię opatrzeć.

– Słucham?

– Mogę cię opatrzeć.

Dopiero po chwili zrozumiałam, co ma na myśli.

– Nie, nie trzeba, już wystarczająco ci zawróciłam głowę dzisiaj, poradzę sobie...

– Już nie jestem pomywaczem. Zostałem pielęgniarzem.

– Ach, rozumiem. Gratulacje!

– Mogę wyciągnąć ci drzazgę. Chodźmy do kuchni.

Mężczyzna podniósł się i wyszedł z pokoju, po chwili podążyłam za nim.

Otworzył jedną z szafek i zaczął z niej po kolei wyciągać waciki, płyn do dezynfekcji, plaster i jakieś inne rzeczy, których nie

potrafiłam nazwać. Był bardzo dobrze zaopatrzony, całą szafkę wypełniały przybory apteczne i medyczne.

Po przygotowaniu stanowiska gestem poprosił mnie o podanie dłoni i przystąpił do pracy. W skupieniu patrzyłam na to, jak podważa tę paskudną drzazgę igłą, aż w którymś momencie podskoczyłam, ale nie z bólu. Znad naszych głów dobiegł głośny, całkowicie nieoczekiwany dźwięk starego zegara z kukułką, tak drażniący i intensywny, że serce podeszło mi do gardła.

– Mój Boże! – wykrzyknęłam, gdy kukułka z potężnym chrzęstem schowała się z powrotem do swojego domku. – Chryste Panie, jak to możliwe, że nawet nie drgnąłeś?

– Wybiła osiemnasta – odparł, a ja wywnioskowałam, że po prostu jest do tego przyzwyczajony.

Oddychałam ciężko, bardzo przestraszona tym dziwnym, niepokojącym i niespodziewanym dźwiękiem, który sprawił, że zakłuło mnie serce, napięły się moje mięśnie i zaswędziała podstawa czaszki. Co się ze mną dzieje, do cholery? Czy zaczynam popadać w paranoję, czy w końcu naprawdę oszalałam?

A jednak w żaden racjonalny sposób nie mogłam pozbyć się tego strachu i niepokoju, który znienacka mnie ogarnął.

Mężczyzna szybko uporał się z drzazgą, odkaził palec i założył na niego plaster. Był bardzo delikatny.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się do niego. – W ogóle nie bolało. Masz wprawę.

Nie odpowiedział. Posprzątał, stanął naprzeciwko mnie, wbijając wzrok w podłogę. Nie zastanawiając się długo, pożegnałam się i wyszłam na ganek.

– Igor – rzuciłam jeszcze na odchodne. – Dziękuję. Za palec, ale przede wszystkim za informacje.

– Jeszcze niczego nie zrobiłem.

– To nieprawda. Postanowiłeś mi pomóc. Bardzo to doceniam.

Mężczyzna podniósł wzrok i przypatrywał mi się przez chwilę, po czym zamknął drzwi. Po chwili usłyszałam chrzęst klucza w zamku i zgrzyt przesuwającej się zasuwki.

Rozdział XLV

Siedzimy w aucie zaparkowanym przy wjeździe na posesję mojego domu rodzinnego, paląc w milczeniu papierosy. Laura sama przeciwko światu. Kolejny raz się tak czuję. Jak mam przestać? Porzuciłam swoje dawne życie, starałam się być anonimowa, myślałam, że gwałtownym ruchem oderwałam od mojej skóry przypiętą mi łatkę, tak, że poląła się krew.

Ale to nieprawda. Znowu jestem ja przeciwko światu. Kiedyś był ze mną ojciec, podtrzymywał mnie, gdy upadałam, chronił mnie, doglądał i powtarzał, że jestem wspaniała. Wyjątkowa, inna, do niczego ani nikogo niepodobna.

Kręcę się w kółko.

Uzależniam swoje życie od innych ludzi i patrzę na siebie przez ich pryzmat. Zawsze potrzebowałam, aby ktoś utwierdzał mnie w tym, że jestem wystarczająco dobra, że moja inność nie jest zła. Nikt mnie nigdy nie nauczył, ani ja sama nie dojrzałam do tego, żeby to odrzucić, żebym to ja mówiła o samej sobie i była przekonana, że jestem wspaniała. Zawsze potrzebowałam akceptacji innych.

Głupiutka Laura.

– Musimy ustalić, co robimy dalej. Szkoda, że nie udało nam się nic wyciągnąć od tego lekarza i tego dziwnego chłopaka, ale z drugiej strony uważam, że nie powinniśmy się załamywać. Jesteśmy o wiele mądrzejsi, niż byliśmy przed naszym przyjazdem tutaj, i wiele zawdzięczamy twojej koleżance z policji. Zrobiliśmy krok naprzód.

– Niezbyt duży ten krok...

– Nie mów tak, Laura. To o wiele lepsze niż stanie w miejscu albo, nie daj Boże, cofanie się. Nie masz pojęcia, ile razy byłem w sytuacji bez wyjścia. Kiedy byłem przekonany, że jestem na tropie, że idę we właściwym kierunku, to nagle... wszystko roztrzaskiwało się w drobny mak. Wracałem do punktu zero. Albo zostawałem w miejscu, w którym się zatrzymałem, bo wszystkie nitki wyslizgnęły mi się z rąk, mimo że mocno je trzymałem. Nie masz pojęcia, jak bardzo to frustrujące, jak bardzo boli, jak bardzo nie daje mi spać, jak bardzo...

Ciszę przerywa urywany oddech chłopaka. Schował twarz w dłoniach, a ja odwracam wzrok, żeby go nie krępować, co tak naprawdę tylko mi daje poczucie komfortu. Dorian dobrze wie, że się odsłonił i moje odwracanie głowy tu nie pomoże.

Odruch.

Tak często odwracamy głowę.

Akurat ja nie powinnam tego robić.

Biorę do ręki torbę, klepię go po ramieniu i wysiadam z auta. Opieram się o drzwi i zaglądam do środka przez otwartą szybę.

– Zawsze chciałam cię o to zapytać, ale nie było okazji. Dlaczego to robisz?

Dorian powoli zabrał dłonie z twarzy. Jego oczy były zaczerwienione i wilgotne, jakby przed chwilą intensywnie je pocierał. Spojrzał na mnie i przez krótki czas nie mrugał, po czym gwałtownie odwrócił wzrok i zaczął wpatrywać się przed siebie.

– Nie mam innego wyboru.

Milczę przez moment, czekając, aż zdradzi coś więcej, ale po chwili dociera do mnie, że Dorian nie ma już nic do powiedzenia. Opuszczam głowę.

– Będę się odzywać. Zobaczymy, jak mi pójdzie. Mam dziwne przeczucie, że uda się coś znaleźć.

– Czemu tak sądzisz?

– Znałam bardzo dobrze swojego ojca. – Uśmiecham się.

Rozdział XLVI

Manifest 2/3

Gdy miałem dziesięć lat, opiekunka odebrała mnie późnym wieczorem ze szkolnego przedstawienia, na które nie mogła przybyć moja mama. Wracaliśmy wzdłuż zarośli miejskiego parku, w którym było kompletnie ciemno i trochę mnie przerażał. Nie lubiłem tamtędy chodzić po zmroku, ale z opiekunką było mi trochę raźniej. Podążaliśmy powoli w ciszy chodnikiem, a koło nas przejeżdżało sporo aut. Pomimo hałasu usłyszałem przeciągły jęk, najpewniej wydany przez kobietę. Zatrzymałem się na chwilę i nasłuchiwałem, zastanawiając się, czy przypadkiem mi się nie wydawało. Ale nie, cichy jęk powtórzył się, tym razem towarzyszył mu pisk. Obok mnie z dużą szybkością przejechał samochód, a zaraz za nim zawyła syrena policyjnego auta.

– O co chodzi? – Opiekunka zatrzymała się i popatrzyła na mnie zmęczonym wzrokiem. Była wyczerpana.

– Nie słyszałaś? – zapytałem i zbliżyłem się do płotu oddzielającego park od ulicy. – Tam ktoś płacze... Tak mi się

wydaje.

Kobieta stała przez chwilę w bezruchu. Znowu doszedł mnie przykry odgłos; ona też go usłyszała. Zmarszczyła czoło, po czym powiedziała:

– To nie nasza sprawa. Chodź, nie mam czasu.

– Powinniśmy tam pójść i to sprawdzić, może komuś dzieje się krzywda?

– Tym bardziej należy stąd odejść, jeszcze tego mi brakuje, żeby ktoś ci po ciemku nabił guza. Twoja matka od razu by mnie zwolniła.

– Ale...

– Żadnego ale, marsz do domu. Nie nadwyreżaj mojej cierpliwości, młody.

Przez chwilę stałem rozdarty, zastanawiając się, co zrobić i jak przekonać opiekunkę, żebyśmy poszli to sprawdzić. Ona jednak tupnęła, odwróciła się i zaczęła iść przed siebie, więc i ja po chwili pomaszerowałem za nią, a za sobą usłyszałem ostatni, cichy jęk.

Później setki, tysiące, miliony razy zastanawiałem się, co by było, gdybym jednak się uparł. Gdybym po prostu od niej uciekł i sam sprawdził, czy komuś nie dzieje się krzywda. Co powinienem był zrobić inaczej, lepiej, jak powinienem był zareagować?

Kilka dni później przeczytałem w gazecie, że dokładnie tego samego zimnego, jesiennego wieczora w parku została zgwałcona i uduszona młoda kobieta. Nawet jej nie znałem, ale dowiedziałem się, że miała na imię Iza i miała dwadzieścia dwa lata. Wstrząsnęło mną to tak bardzo, że nie mogłem normalnie jeść ani spać przez wiele tygodni.

Zarówno dzisiaj, jak i lata temu, doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że Iza umarła przeze mnie. Miałem szansę ją uratować, gdybym tylko postąpił inaczej. Gdyby tylko bardziej mi się chciało, gdybym był bardziej uparty, gdybym był mniej obojętny. Gdybym tylko wtedy tam poszedł, napastnik by się przestraszył i uciekł. Gdybym tam poszedł, napastnik przestraszyłby się mojego krzyku, którym zaalarmowałbym przechodniów. Gdybym tylko...

Iza umarła przez moje zaniechanie i tego nigdy sobie nie wybaczę. Czasami mi się śni, choć nigdy jej nie spotkałem. Jedynie widziałem jej zdjęcie w gazecie, takie do dowodu czy legitymacji studenckiej. Ładna, pyzata blondynka z dołeczkami w policzkach. W moich snach siedzimy razem na tarasie albo przy stole w kuchni i rozmawiamy, choć nigdy po przebudzeniu nie pamiętam na jaki temat. Dziewczyna uśmiecha się, żywo gestykuluje i bardzo często zanosi się głośnym śmiechem.

I chociaż wiem, że nigdy nie zwrócę jej życia, to od tamtego momentu, gdy przeczytałem artykuł w gazecie, staram się zadośćuczynić. I wiem, że będę to robił do końca życia, bo inaczej nie będę mógł spojrzeć w lustro.

Rozdział XLVII

Idę zwawo przez rozświetloną latarniami posesję i po kilku chwilach wchodzę do domu, mając ogromną nadzieję, że matka nie siedzi w salonie ani w kuchni, bo to oznaczałoby konfrontację, na którą nie mam najmniejszej ochoty. Na szczęście nie ma jej na parterze, jest w swojej sypialni, z której dobiega głośny lament muzyki klasycznej, puszczonej z jej ulubionego gramofonu. Włącza to zawsze, kiedy jest smutna. Żeby wszyscy wiedzieli, żeby nikomu nie umknęło, że cierpi.

Idę do kuchni, nalewam do szklanki wodę prosto z kranu i wypijam duszkiem, po czym udaję się do spiżarni, gdzie znajduje się szafka z kluczami. Otwieram ją i biorę do ręki klucz do gabinetu ojca, po czym powoli idę korytarzem w jego kierunku i staję przed zamkniętymi drzwiami.

Przez chwilę się waham.

Nie wchodziłam do środka od momentu jego śmierci i ogarnia mnie dziwne uczucie, że powinnam w jakiś sposób się do tego przygotować.

Gdy ojciec żył, często siedziałam w jego gabinecie, ale tylko w jego obecności. Było surowo zabronione, aby wchodzić tam, gdy nie ma go w środku, nieważne, czy był wtedy w domu, czy poza nim.

Właśnie tam często czytałam książki, rysowałam, odrabiałam lekcje, podczas gdy ojciec siedział zatopiony w swoich papierach, w które często potrafił wpatrywać się godzinami. Godzinami też rysował mnóstwo tabel, wykresów, tworzył nieskończone listy i diagramy. Jak detektyw starający się rozwikłać skomplikowaną zagadkę. Czasami mu się udawało. A innym razem we wściekłości darł papierzyska i z impetem wrzucał do śmietnika, zły, że nie jest on głębszy.

Często tam rozmawialiśmy, a ojciec prowadził ze mną swoje minisesje, które tylko z pozoru wyglądały jak rozmowy ojca z córką, bo z perspektywy czasu mogę z pewnością stwierdzić, że były to rozmowy psychiatry z pacjentem. Ojciec nigdy nie zadawał błahych, nieznaczących pytań. On zawsze pytał i uzyskiwał odpowiedzi, które były odłamkiem, puzzlem w całości obrazu, jakim była jego córka.

Delikatnie, z namaszczeniem wkładam klucz do zamka i powoli go przekręcam. Serce przyspiesza mi, gdy słyszę chrzęst przesuwających się zapadek. Odmykam drzwi. Fragment parkietu rozświetla lampa z korytarza, ale nie widać za wiele, bo za oknem jest już ciemno. Sięgam w prawo do włącznika i zapalam światło.

Ostry blask sprawia, że zamykam oczy, po czym bardzo powoli je otwieram. Zastygam.

Nie tego się spodziewałam.

Gabinet ojca pełen był kiedyś półek, szafek i regałów zawalonych książkami, papierami, teczkami i segregatorami. Edward Wagner

był człowiekiem bardzo uporządkowanym w każdym aspekcie swojego życia. Oprócz tego jednego. Jego gabinet był pełen chaosu i chyba jedynym miejscem w naszym domu, gdzie ojciec po prostu mógł choć na chwilę odpuścić.

Dziś to pomieszczenie nie przypomina w żadnym stopniu tego, które pamiętam. Nie zostało w nim nic oprócz mebli i unoszącego się w powietrzu cytrusowego zapachu płynu do pielęgnacji drewna.

Zniknęły książki, papiery, segregatory, podkładka na biurko, stojąca na nim lampka, kosz na śmieci i poduszki uprzednio rozrzucone na leżance. Nie wiem, czego się spodziewałam, nigdy nie pytałam mamy, co zrobiła z gabinetem, ale to, co zobaczyłam, wstrząsnęło mną mocno. Ze zdwojoną siłą uderzyła we mnie świadomość, że ojca nie ma.

Że nie czuć już nawet jego ducha w miejscu, w którym bywał najczęściej.

Przetarłam mocno wilgotne oczy, poczułam nadchodzący, wpełzający do mojej głowy głośny wrzask, który za chwilę będę zmuszona z siebie wydać, bo albo zrobię to, albo coś gorszego.

– Przestań, Laura – warknęłam przez zaciśnięte zęby, uderzając się mocno w policzki. – Ochłoń, do cholery!

Wzięłam kilka głębokich wdechów i podeszłam do ojcowskiego biurka. Przejechałam po nim delikatnie palcami, obesłam dookoła, po czym z impetem usiadłam na obrotowym krześle i zamyśliłam się.

Nigdy nie będę w stanie ocenić, czy stało się dobrze, czy źle. Ciebie nie ma i już nigdy nie wrócisz. Czasami myślałam, że to źle. Czasami, że jednak dobrze. A dziś sama nie wiem. Wiem

tylko tyle, że jedyną osobą, do której mogłabym zwrócić się po radę, byłeś ty.

Ale ciebie nie ma.

A ja jestem sama. Na zawsze.

Rozdział XLVIII

Wzdrygnęłam się, gdy ktoś szarpnął za klamkę i otworzył drzwi.

– Ach, to ty. Myślałam, że zapomniałam zamknąć za sobą, gdy sprzątałam tu dziś po południu. Przepraszam, że przeszkodziłam, już cię zostawiam.

– Leokadia, zostań, proszę. Chciałabym cię o coś zapytać.

Kobieta spogląda na mnie z ciekawością, przez chwilę waha się, ale w końcu wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Kiwam głową w kierunku kanapy, na której niedługo potem siada i przypatruje mi się wyczekująco.

– Czy uwierzyłaś mi, kiedy powiedziałam wszystkim, że mnie porwano?

Tak jak podejrzewałam, Leokadia nie była zaskoczona moim pytaniem. Milczała przez chwilę, po czym odpowiedziała:

– Nie spodoba ci się odpowiedź.

– Nie szkodzi. Liczę na twoją szczerłość.

– Gdyby to się wydarzyło, kiedy żył twój ojciec, uwierzyłabym ci. Jestem pewna, że nigdy byś mu tego nie zrobiła. Jednak uważam,

że kłamałaś, bo jesteś zdolna do tego, żeby zrobić coś podobnego swojej matce.

Uśmiechnęłam się lekko, bez tryumfu, bo chociaż spodziewałam się podobnej odpowiedzi, to jednak faktyczne usłyszenie jej zabolalo. Wygodne krzesło skrzypi rytmicznie, gdy lekko obracam się na zmianę w prawo i lewo.

– Chciałaś ukarać swoją matkę, tego jestem pewna. Co bardziej może zniszczyć matkę niż jej własne dziecko, samo rozdzierające się na strzępy?

Prychnęłam cicho i potrząsnęłam głową.

– Co bardziej może zniszczyć dziecko rozrywające się na strzępy niż obojętność własnej matki?

Leokadia poderwała głowę i spojrzała wprost na mnie. Miałam wrażenie, że stara się uchwycić tysiące myśli, które przed chwilą wyrwały się spod warstwy popiołu i kłusują w kółko w jej umyśle. Po kilku sekundach w oczach gosposi pojawiają się łzy, które szybko ściera dłońią.

– Przykro mi, Laura – mówi cicho, a ja wiem, że nie ma na myśli tylko tego, że mi nie wierzy.

– Dziękuję.

– Pójdę już. – Kobieta zaczyna się podnosić, ale powstrzymuję ją gestem dłoni.

– Nie, proszę, zostań jeszcze chwilę. Chcę cię zapytać o coś jeszcze.

Obie wzdrygamy się, kiedy ciszę za oknem przerywa głośny grzmot. To będzie bardzo burzliwa noc.

– Możesz mi opowiedzieć o tym dniu, kiedy zaginęłam? I co działo się później?

– Laura, to był paskudny czas.

– Proszę. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam.

Leokadia wzdycha głęboko, po czym rozsiada się na kanapie.

– Na początku nie zwróciliśmy uwagi, że cię tak długo nie ma. Pani Karina się wściekała, ale to dlatego, że czekała na mąkę i irytowało ją, że nie może upiec ciasta. Zarówno ja, jak i Michał ją uspokajaliśmy, bo przecież w takich sytuacjach chyba nikt od razu nie dopuszcza do siebie myśli, że stało się coś złego. Zresztą, byłam pewna, że się z kimś zagadałaś albo poszłaś na spacer, bo po prostu nie chciało ci się wracać do domu. Dopiero około dziesiątej zaczęłam się martwić i wysłałam Michała do miasteczka, żeby cię poszukał i przyprowadził do domu. Nic z tego. Widzieli cię kilka godzin wcześniej, owszem, wyszłaś ze sklepu z zakupami i od tamtej pory nikt cię nie spotkał. Twój brat na dobre się zaniepokoił, poszedł zgłosić zaginięcie na posterunek, ale, jak możesz się domyślić, kazali mu czekać. Nie bez znaczenia były też twoje wcześniejsze... wybryki.

– Oczywiście.

– Niestety, Laura, tak to już jest, że jeśli ktoś wcześniej przysparzał kłopotów, to trudno uwierzyć, że tym razem faktycznie coś mu się stało. To jak przy tej opowieści o wilkach i chłopcu, który wypasał owce. Kilka razy dla zabawy wszczynał alarm, że stado zaatakowały wilki, a jak w końcu stało się to naprawdę, nikt już mu nie uwierzył i nie przybył z pomocą. Znasz tę historię, prawda?

Pokiwałam głową.

– Właśnie. Ty byłaś tym chłopcem.

– Co stało się potem?

– Po dwóch dniach ruszyła cała machina. Apele w telewizji, mediach społecznościowych, szukanie świadków, poszukiwania

z psami, przeczesywanie jeziora... Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, jakbyś po prostu zapadła się pod ziemię.

– Jak myślisz, jak to możliwe?

– Nie wiem, kochanie. Widziano cię ostatni raz, gdy wyszłaś ze sklepu i kierowałaś się w stronę parku. Tam uchwyciła cię ostatnia kamera. I to wszystko. Nie zauważono nikogo podejrzanego, sprawdzono zapisy ze wszystkich dostępnych kamer, szukając choćby aut z obcą rejestracją, zresztą sprawdzono też auta miejscowych. Wypytywano ludzi, weryfikowano każdy trop. Przejrzano zapisy kamer z dworca, bo była możliwość, że po prostu uciekłaś. Nic, Laura. Jak kamień w wodę. Myślę, że aby tak zapaść się pod ziemię, trzeba albo wprawnego porywacza, albo desperackiej chęci zniknięcia. A ty zawsze byłaś na swój sposób zdesperowana, Laura.

– Nie zauważono nikogo podejrzanego – masz na myśli obcego?

– Hm... Tak, chyba tak.

– Bo nikomu nigdy nie przeszło przez myśl, że to mógł być ktoś stąd, nieprawdaż?

– Nie wiem, Laura. Na pewno mnie nie przeszło. A co do policji – nie wiem, nie dzielili się z nami wszystkimi szczegółami śledztwa.

– Bo wiesz, Leokadio, to mógł być ktoś stąd. Wcale nie obcy. Ktoś, kogo widywałam w sklepie czy w kościele. Ktoś, z kim chodziłam do szkoły. Kto wiedział, że nie padnie na niego podejrzenie, bo są tu sami swoi.

– Przestań, kochanie, to spokojne miasteczko. Poza tym pamiętaj, że to o ciebie chodzi, Laura. Nie ma się co oszukiwać, wszyscy cię znali, czy choćby kojarzyli z wiadomych względów. Nie

sądzę, że ktoś stąd pokusiłby się o porwanie akurat ciebie. Jeśli chciałby to zrobić, porwałby pewnie kogoś bardziej anonimowego.

– Rozumiem. Nie mam już więcej pytań.

Leokadia przez chwilę patrzyła na mnie smutnym wzrokiem i chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Nie potrzebowałam jej dopytywać, więc tylko delikatnie się uśmiechnęłam. Kobieta wstała, wygładziła fartuch, choć nie było na nim ani jednej fałdki, i podeszła do drzwi.

– A właściwie, mam jeszcze jedno pytanie. Co stało się ze wszystkimi rzeczami ojca?

Odwróciła się i spojrzała na mnie zaskoczona.

– Co masz na myśli?

– Gdzie są wszystkie książki i papiery ojca? Wszystko, co było w gabinecie? Wyrzuciliście je?

– Nie, absolutnie. Pani Karina chciała, ale powiedziałam jej, że to nie w porządku w stosunku do dzieci. Bo może będą kiedyś chciały przejrzeć rzeczy ojca, lepiej go poznać, poczuć jego bliskość... Nie wiem, może to głupie, co mówię, ale tak właśnie postąpiłam, gdy zmarł mój mąż. I widzę, że dobrze zrobiłam. Wszystko zostało zapakowane w pudła i wyniesione do piwnicy. Oprócz komputera, który zarekwirował instytut w obawie, że twój ojciec trzyma w nim dane pacjentów.

– Dziękuję, Leokadio. Drzwi są otwarte, czy mam iść po klucz?

– Laura, pudła są w piwnicy, ale nie tutaj. Są w piwnicy pod starym domem. Tak zarządziła pani Karina.

Spojrzałam na nią lekko zaskoczona. Matka musiała chować do ojca naprawdę głęboką urazę, skoro nie chciała nawet, by jego rzeczy znajdowały się w naszym domu.

Piwnica pod starym domem to pozostałość po rozebranym już, przedwojennym budynku, który niegdyś stał na naszej posesji, ale zburzono go ze względów bezpieczeństwa. Pozostawiono jednak piwnicę, zachowaną w dobrym stanie, do której wchodziło się od zewnątrz, niedaleko naszej szopy. Wyglądało to interesująco, bo stary dom znajdował się na wzniesieniu. Trzeba było zejść kilkanaście schodków, żeby znaleźć się na podwórzu i właśnie stamtąd wchodziło się bezpośrednio do piwnicy. Gdy zabrakło już samego domu, pagórek przysypano ziemią, a z upływem czasu obrósł on trawą i krzewami.

Czasami z bratem chodziliśmy się tam bawić, ale zazwyczaj wymiękał, bo bardzo go ta piwnica przerażała. Jako że była oddalona od domu, znajdowały się w niej rzadko używane albo niepotrzebne rzeczy, takie jak zaprawy gipsowe, farby w puszkach, stare graty odziedziczone po naszych dziadkach, których ojcu było szkoda wyrzucić. Pamiętam, jak Michał powtarzał, że odrestauruje te ławy, szezlongi i kołowrotki, po czym sprzeda za kupę kasy kolekcjonerom. Nigdy nie zrealizował swojego pomysłu.

– Klucz jest w szufladzie przy drzwiach wyjściowych. Weź ze sobą latarkę. Światło tam szwankuje ostatnimi czasy.

Kobieta kolejny raz skierowała się do korytarza, ale ja ponownie ją zawołałam. Odwróciła się, a w jej oczach widziałam, że ma już dość pytań na dziś. I że z jakiegoś powodu jest jej smutno.

– Czy mama płakała? Choć raz?

Kobieta wbiła wzrok w podłogę i odparła cicho:

– Nie. Ani razu.

Rozdział XLIX

Opatulona ciepłym swetrem zarzuciłam na ramię torbę, do której wcisnęłam dwie latarki, a w ręce trzymałam butelkę z wodą i ledową lampę, gdyby faktycznie w starej piwnicy nie było prądu. Wyszłam z domu, zamykając za sobą cicho drzwi. Burzę było czuć w ciężkim, parnym powietrzu. Po chwili na mojej skórze pojawiły się kropelki potu. Zbiegłam z ganku i udałam się w kierunku garażu, żeby za nim skręcić i dojść do drzwi piwnicy. Żwir zachrzęścił pod moimi stopami i zatrzymałam się. Spojrzałam w kierunku zagajnika i dróżki, która prowadziła w głąb lasu, aż do starej szopy. Głośno westchnęłam.

Tamtej nocy tego nie rozumiałam, ale dziś wiem – wcale nie chciałeś mnie wyleczyć, ojcze.

Tak bardzo żałuję, że nie mogę cofnąć się w czasie i zadać ci tak wielu pytań, na które muszę poznać odpowiedzi, aby zacząć wszystko od nowa. Dziś to już niemożliwe. Muszą zostać na dnie mojej czaszki, wierząc się i drażniąc, nie pozwalając mi spać.

Docieram powoli do drzwi piwnicy, na których wisi łańcuch i zardzewiała kłódka. Wyciągam klucz i mocuję się przez moment

z zamkiem. Po dłuższej chwili kłódka ustępuje, pociągam za klamkę, nozdrza drażni lekki zapach zgnilizny. Haczyk przymocowany do drzwi zakładam na kawałek wystającego z muru drutu, aby te nie zamknęły się szarpane przez wiatr, po czym wchodzę do niskiego korytarza i szukam dłonią włącznika światła. Po chwili pod palcami czuję gumowe wybrzuszenie. Naciskam je kilkakrotnie, aż w końcu z bzyzieniem zapalają się lampy pod sufitem. Na razie latarka nie jest mi potrzebna. Jest prąd.

Kroczę korytarzem, zaglądając po kolei do wszystkich pomieszczeń z niskim sklepieniem. Czuję mocny zapach ziemi, bo natura już na dobre rozgościła się na szkielecie starego domu, a jej korzenie przeniknęły do piwnicy między wiekowymi, wypalanymi cegłami.

Odnajduję kartony ojca na samym końcu korytarza, w ostatnim pomieszczeniu. Część z nich zamokła od dołu i jestem pewna, że większość papieru zaczęła już gnić. Nie ma szans, żeby przetrwały w takich warunkach. Przeklinam w myślach moją wyzutą z uczuć matkę.

Przez chwilę zastanawiam się jak do tego podejść. Na początku muszę oddzielić kartony z książkami od tych z papierami, bo te pierwsze mnie nie interesują. Oczywiście liczę się z tym, że ojciec mógł wrzucać jakieś swoje notatki do książek, ale nie mam czasu na to, aby je wszystkie przeglądać. Najbardziej prawdopodobne, że dowiem się czegoś o dziewczynach, przeszukując jego teczkę.

Mój tata był wspaniałym człowiekiem. Był też świetnym psychiatrą, jego prace i badania prezentowano na międzynarodowych zjazdach. Pochodził z rodziny, w której jego

ojciec, dziadek i pradziadek parali się psychiatrią. Chodzący ideał.

Miał jedną wadę. Lubił przynosić swoją pracę do domu.

Oczywiście wnoszenie z instytutu oryginalnych dokumentów pacjentów było zakazane, ktoś mógł się zorientować. Dlatego ojciec robił ksero i trzymał dokumentację swoich pacjentek w gabinecie, w którym często zamykał się po przyjściu ze szpitala, aby móc pracować dalej i spędzić ze mną trochę czasu.

Z jednej strony jestem zła na matkę, że tak bezrefleksyjnie wyrzuciła z gabinetu ojca wszystko, co do niego należało, ale z drugiej strony dobrze, że była na tyle wielką ignorantką i nie postanowiła ich przejrzeć oraz posegregować. Albo komuś tego zlecić.

Poodsuwałam pudła pod ściany, aby zrobić na środku jak najwięcej miejsca. Niemalże spod każdego z nich wybiegały włochate pająki. Deptałam je swoim adidasem, bo mimo że od zawsze przyzwyczajona byłam do robactwa, to mnogość tych stworzeń obrzydziła nawet mnie. Dreszcz przeszedł mi po karku. Poczekalam chwilę, aż wyleżą z każdego kąta te gdzieś się spieszące. Gdy już je zgładziłam, poszłam do pomieszczenia obok i przytaszczyłam stamtąd najpierw stary, kuchenny stół, a następnie rozklekotane krzesło.

Rozłożyłam na blacie zdjęcia dziewcząt i przyjrzałam im się, każdemu po kolei, przez dłuższą chwilę. Dam radę. Jestem w stanie to zrobić.

Opróżniałam kartony jeden po drugim w towarzystwie odgłosów zbliżającej się burzy. Niektóre kartki są nie do odczytania, często zapleśniałe, inne są w trochę lepszym stanie, głównie te spakowane do plastikowych teczek. Nie opuszczam żadnej strony.

Przebijam się przez stosy, kartka po kartce. Już na samym początku trafiłam na jedną z dziewcząt.

Karolina. Leczona w instytucie trzykrotnie, raz na obserwacji. Najdłuższy pobyt w szpitalu – osiem miesięcy. Trzy próby samobójcze spowodowane kryzysem tożsamości seksualnej. Nieakceptowana i prześladowana przez rówieśników. Ostatni raz wypisana ze szpitala z dobrymi rokowaniami i zaleconą kontynuacją leczenia, umówiona na wizytę kontrolną w kolejnym miesiącu. Nie dotarła na nią.

Czytam historie chorób wszystkich pacjentek, nie tylko tych, które wytypował Dorian. Może właśnie tej nocy okaże się, że było ich więcej?

Pacjentek jest mnóstwo. Ładne, inteligentne dziewczyny z bogatych rodzin, które z pozoru mają wszystko, a tak naprawdę nikt nie rozumie, że nie mają nic.

Każda dokumentacja składa się z jednej strony ze skróconą historią choroby, kolejne wypełnione są notatkami ojca, kopiami wyników badań i zaleceń, ale nie czytam ich, bo nie mam tyle czasu. Jeśli zacznę się w nie zagłębiać, nigdy nie wyłapię tego czegoś, tego jednego elementu, który da mi odpowiedź na pytanie, kto nas porywał.

Odkładam zapiski na bok, bo jeżeli czarny scenariusz się spełni i tej nocy nie znajdę nic, to będziemy musieli przejrzeć wszystko razem z Dorianem, zapewne kilka lub kilkanaście razy. Odnoszę nieodparte wrażenie, graniczące z pewnością, że nie mamy tyle czasu.

Około drugiej w nocy mam przed sobą dokumentację dwudziestu pięciu pacjentek i jestem mniej więcej w połowie. Słyszę dźwięk SMS-a i wyciągam telefon z kieszeni.

Dorian: Jak tam, żyjesz?

Ja: Ledwo. Jeszcze sporo przede mną.

Dorian: Mówiłem, że mogę ci pomóc. I tak nie śpię.

Ja: Nie, muszę to zrobić sama. Ty możesz czegoś nie zauważyć. Ale spokojnie, jeśli nic nie uda mi się znaleźć, to mamy wspólnie około pół tony makulatury do przejrzania.

Dorian: Z miłą chęcią. Skoro nie jestem dziś potrzebny, to idę na randkę z Jackiem Daniel'sem. Dawaj znać, jak coś znajdziesz.

Nie odpisuję na ostatnią wiadomość i wkładam telefon do kieszeni. Przecież już mówiłam, że dam mu znać. Na razie nie było powodu do zmiany zdania.

Biorę głęboki wdech i wtedy to słyszę.

Delikatne, skradające się kroki.

Jestem pewna, że nie jest to żadne zwierzę.

Ktoś porusza się w środku nocy po podwórzu. Ciekawe, czy zauważył dochodzące z piwnicy światło. Nie ruszam się i czekam, aż kroki się oddalą. Kto to może być, do cholery? Matkę dopadła bezsenność? Czy ten cholerny Dorian szczeniacko się ze mną drażni i przylazł tutaj, żeby jednak mi pomóc?

Delikatnie wychylam się z pomieszczenia i spoglądam w kierunku otwartych drzwi, ale nic nie widać, jak gdyby ktoś na framudze powiesił czarne prześcieradło.

Zrobiłam błąd, powinnam była zamknąć drzwi na haczyk od środka, wtedy ten ktoś musiałby się namęczyć, żeby je otworzyć. Czekam w bezruchu kilka minut, nasłuchując, czy intruz jest w pobliżu, ale nic nie słyszę. Zapewne się oddalił. Albo po prostu mi się wydawało, że coś słyszałam.

A może zastygł, tak jak ja... I czeka. Tylko na co?

Dobra, koniec tego. Dopada mnie paranoja. Moja wyobraźnia rozhuściła się za bardzo, odkąd wypełzłam z grobu, a pomruki burzy brzmiące jak odgłosy z brzucha wielkiej bestii, wcale nie pomagają.

Otrząsnęłam się delikatnie, odpędzając głupie myśli, które obsiadły mnie jak włochate ćmy, i zabrałam się za przeglądanie kolejnej sterty papieru. Jednak to paskudne uczucie niepokoju zostało gdzieś z tyłu mojej głowy, więc postanowiłam się go pozbyć.

Wyszłam z pomieszczenia i powoli udałam się w kierunku drzwi, żeby zrobić to, co powinnam była zrobić na początku, czyli zamknąć drzwi od środka.

I wtedy słyszę grzmot i paskudny syk, w jednej sekundzie gaśnie światło. Świetnie. Przez chwilę zastanawiam się, czy wracać po latarkę do pomieszczenia na końcu korytarza, czy najpierw zamknąć te cholerne drzwi. Nagle krew mrozi się w moich żyłach i zastygam.

Słyszę cię.

Oddychasz trochę szybciej niż przeciętny człowiek. Z podniecenia czy ze strachu?

Nie ruszam się. Nie wydaję z siebie najmniejszego odgłosu i czekam na twój ruch.

Wtem niebo rozdziera ogromna błyskawica i przez chwilę na zewnątrz jest tak jasno jak w środku dnia. Rzucam się do tyłu. Po omacku, ciągnąc dłońią po ścianie, wpadam do ostatniego pomieszczenia. Pamiętam, że plecak zostawiłam gdzieś po lewej stronie, więc na oślep dopadam do niego, drżącymi palcami rozsuwam zamek i wyciągam ciężką latarkę, której wcale nie

mam zamiaru włączać. Obracam się w kierunku wyjścia i chwytam za jej węższy koniec, podnoszę rękę do góry i mocno zapieram się o podłogę. Dyszę, ale nie jestem w stanie przestać, więc po prostu stoję.

I czekam.

Nie, nie przywidziało mi się. Jestem tego pewna. I wcześniej też miałam rację, bo to naprawdę były twoje kroki. Czemu zaczęłaś wątpić w swoje zmysły, w swoje instynkty, Laura? Czy to dlatego, że pozwoliłaś mu się uwięzić, zasiała się w twojej głowie wątpliwość, której nie jesteś w stanie się pozbyć?

Nie wiem czemu, ale jestem przekonana, że to ty. To ty znowu po mnie przyszedłeś. Czy znowu chcesz mnie zabrać i dokończyć, co zaczęłaś? Czy denerwujesz się, że szukam, węszę, że jestem coraz bliżej?

Byłeś tam, jestem tego pewna. Stałeś w progu, a błyskawica rozświetliła twoją sylwetkę na tle szalonej ulewy.

Mijają minuty, a może i godziny, i nic się nie dzieje. Nic nie słyszę. Deszcz ustał, a burza przestała warczeć. Zaczęły mi drętwieć ręce i nogi. Po cichu, powoli podchodzę do wyjścia z pomieszczenia i wyglądam na korytarz.

Zaczyna świtać, zrobiło się widniej.

Słyszę śpiew ptaków.

Ani w korytarzu, ani w progu piwnicy nikogo nie ma. Powoli, przygotowana do ataku, zaglądam do każdego z pomieszczeń, ale nikogo nie zauważam. Podchodzę do wyjścia z piwnicy i patrzę na zewnątrz. Kilkanaście metrów ode mnie przebiega spłoszony lis, posyłając mi smutne spojrzenie.

Szukam śladów butów, ale nic nie widzę. Deszcz zatarł wszystkie ślady.

Nie. Nie wydawało ci się, Laura.

Wdycham głęboko czysty, rześki zapach nadchodzącego poranka i wracam do piwnicy, tym razem zamykając za sobą drzwi na haczyk. Idę do pomieszczenia i zabieram się za przeglądanie kolejnej sterty, ale bezsenna noc i ogromny stres, który przeżyłam, dają mi się we znaki i jedyne na co mam ochotę to pójść spać.

Kładę na stoliku kolejny karton do przejrzania, ale najwyraźniej zbyt blisko krawędzi, bo spada na podłogę i wysypują się z niego kartki.

Z głośnym, siarczystym przekleństwem klękam i zaczynam je zbierać, starając się ich nie mieszać, żeby oszczędzić sobie pracy. Bezmyślnie rzucam okiem na wrzucane do kartonu kartki, aż w którymś momencie zastygam, przestaję oddychać i mogłabym przysiąc, że zatrzymało się moje serce.

Boże.

Mój Boże!

W sekundzie wszystkie moje mięśnie wracają do normalności, zaczynam kopać w pudle, wyciągając z niego pojedyncze kartki, żeby dotrzeć do tej, na którą spojrzałam bezmyślnie i dopiero po chwili dotarło do mnie, co tak naprawdę zobaczyłam.

W końcu znajduję to, czego szukałam. Przebiegam wzrokiem po zapełnionej gęstym drukiem stronie, linijka po linijce, po czym niemalże fizycznie czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

Miałam odpowiedź na wyciągnięcie ręki.

Jak, do cholery, mogłam się nie zorientować? Przecież rozwiązanie niemalże wpychało się w moje dłonie!

– Po prostu nie chciałaś tego wiedzieć. – Słyszę cichy, męski głos. Rozglądam się nerwowo, mimo że wiem, że ten głos jest tylko

we wnętrzu mojej głowy. – Było ci łatwiej, kiedy nie wiedziałaś.

Upuszczam kartkę, ukrywam twarz w dłoniach i słyszę delikatne skrzypienie dawno nieoliwionych zawiasów.

– Wejdz do środka. I zamknij za sobą drzwi.

Rozdział L

Po cichu zamykam za sobą drzwi od szopy i przesuвам zasuwę, aby mieć pewność, że nikt nie dostanie się do środka. Powoli obracam się i spoglądam na ojca, trzymającego w dłoni długi zakrwawiony nóż. W drugiej ręce ściska pysk konającej owieczki, której przed chwilą podciął gardło.

Wpatruję się najpierw w niego, a później w gasnące oczy zwierzątka, które kilka dni wcześniej goniłam po zagrodzie. Gdy zastygają, a owieczka przestaje się ruszać, przesuвам wzrokiem dalej po wnętrzu szopy.

Kilka metrów od ojca leży kolejne zakrwawione ciało owcy, tym razem większej. W rogu pomieszczenia, zwinięty w kłębek, z dziwnie powykrzywianymi nogami, leży pies, którego wcześniej nie widziałam.

Wszędzie jest pełno krwi.

Znów spoglądam na ojca. On też cały jest we krwi. Uśmiecha się, a biel zębów nadaje jego postaci szalony wyraz.

– Zawsze powtarzałeś, że ratujemy te zwierzęta z rzeźni, żeby dać im lepsze życie. I że tęsknisz za gospodarstwem, które mieli

twoi dziadkowie, gdy byłeś dzieckiem.

– To prawda. Bardzo tęsknię. Wtedy było prościej.

– Okłamałeś mnie, tato?

– Laura – zirytował się ojciec. – Chyba nie jesteś taka naiwna? Proszę, powiedz mi, że nie jesteś! Jak myślisz, dlaczego tak dobrze wiedziałem, co ci dolega? Od pierwszego momentu, od pierwszej chwili, gdy jako dziewczynka zabiłaś tego tłustego szczura, a później bawiłaś się jego oderwaną od korpusu głową, wiedziałem, czym jesteś. Kim jesteś!

Spoglądałam na ojca skąpanego we krwi, patrzę w jego oczy pełne satysfakcji, spełnienia i szaleństwa, którego nigdy, przenigdy wcześniej nie widziałam.

– Ty też zabijasz, Laura.

– Na polowaniach. Nie zabijam zwierząt, które ratuję od rzeźni.

Ojciec z impetem rzuca na podłogę trzymany w dłoni nóż.

– Moja droga, mnie nikt nie nauczył, jak mam sobie radzić z tym, co we mnie jest. Z tym, kim jestem. Masz ogromne szczęście, że wiedziałem, jak ci pomóc, zanim zniszczyłabyś sobie życie. Pamiętasz, co się stało z Michałem? Pamiętasz, co chciałaś zrobić? Gdybym cię nie powstrzymał, zabiłabyś go. A tak, zaczęłaś chodzić na polowania i zabijać zwierzęta. Co czujesz, kiedy to się dzieje? Co czujesz, kiedy rozbryzguje się krew, Laura? Oboje dobrze to wiemy. Nie da się tego opisać słowami. To coś...

– Pięknego – wpadam mu w słowo. – Odprężającego. Zabierającego złe emocje.

Ojciec uśmiecha się, a ja chowam twarz w dłoniach.

– Nie zabiłabym Michała, tato – mówię przez łzy.

– Zabiłabyś. Wtedy. Dzisiaj już nie. Dzisiaj radzimy sobie w inny sposób.

I w tym momencie zrozumiałam, że ojciec wcale nie chce mnie wyleczyć, że jestem jego obiektem badawczym, a nie pacjentem. Że on analizuje mnie, chcąc pojąć, zrozumieć i udokumentować, co jest w nas obojgu tak wyjątkowego, tak innego. Chcąc określić ten nowy gatunek, jakim jesteśmy, który odbył drogę ewolucji na sam szczyt i teraz, z jakiegoś powodu, powraca do korzeni, do życia według instynktów, których nie tłumi i nad którymi nie chce panować. Jak przedwieczni.

Ojciec podszedł do mnie i delikatnie mnie przytulił, nie przejmując się, że brudzi mnie krwią. I ja też się tym nie przejmowałam, bo dla mnie ojciec nie śmierdział, ani ja nie śmierdziałam jemu. Mówił prawdę. Matka nigdy by nas nie zrozumiała.

A on wcale nie chciał, żebym była normalna, żebym była taka jak inni.

– Jesteś inna, Laura, ale to nic złego.

– Ale ja nie chcę być inna! Jeśli już zawsze będę taka, jaka się urodziłam, to na zawsze będę samotna. – Rozplakałam się. – Miałaś rację, tato! Zabiłabym go! Gdybyś nie zabrał mi kamienia, zabiłabym go i on też o tym wie, widział to, gdy trzymałam ten kamień w dłoni!

– Po prostu nie chciałaś tego wiedzieć – mówi cicho ojciec, gładząc moje włosy i moje plecy. – Było ci łatwiej, kiedy nie wiedziałaś. Jesteś inna, Laura. Jesteś wyjątkowa. Jesteś moim skarbem, wiesz o tym?

Nie odpowiedziałam, tylko wtuliłam się mocniej w twardą pierś.

To, co mówił ojciec, było prawdą, widzę to z perspektywy czasu. Poszłam w złą stronę. Chciałam przez chwilę poczuć się normalna, a przecież nigdy taka nie byłam. Postanowiłam się

zaprzyjaźnić z Dorianem, otworzyć przed Alicją, uśmiechać do ludzi i liczyć na to, że uśmiechną się do mnie, że nie będę tak bardzo samotna. Po tym wszystkim, co się stało, znalazłam w sobie siłę, aby spróbować zacząć nowy rozdział. Polubić. Pokochać. Wybaczyć i prosić o wybaczenie. Znaleźć mordercę. I właśnie dlatego popełniłam błąd. Uśpiłam swoją czujność. Zaślepił mnie drobny gest dobroci, lekki uśmiech na twarzy na mój widok, uniesiony w górę kciuk, bo po tym wszystkim, co się stało, chciałam, żeby ktoś mnie zrozumiał. Spojrzał na mnie, a nie przeze mnie, zobaczył mnie i pokochał taką, jaka jestem.

Bo przecież ja nie mam nikogo. Tylko ty mnie rozumiałeś, ojczy, a gdy ciebie zabrakło, nie został już nikt.

Rozdział LI

Nie muszę brać do ręki kartki, żeby wiedzieć, co jest na niej napisane.

Spojrzałam na tekst tylko raz, ale wszystko wiem. Już wszystko rozumiem.

Elwira, lat trzydzieści cztery. Hospitalizowana kilkakrotnie z powodu przewlekłej depresji i wielokrotnych prób samobójczych, lekarz prowadzący: Edward Wagner.

Oddychaj spokojnie, Laura.

Blizny na nadgarstkach i blizna na brzuchu palą żywym ogniem.

Pacjentka źle reaguje na leki, musi być często unieruchamiana. Epizody psychotyczne. Atakuje zarówno personel, jak i pacjentów. Podejrzenie choroby afektywnej dwubiegunowej. Próby samobójcze nie wydają się być powodowane chęcią zwrócenia na

siebie uwagi, ratowanie pacjentki można porównać do uporczywej terapii podtrzymującej życie pacjenta terminalnego.

Zaciskam powieki, po czym zaczynam wędrować dłonią po swoim ciele jak po mapie.

Moje podcięte nadgarstki.

Śmierdząca woda w moich płucach.

Trucizna w moim żołądku.

Rana w moim podbrzuszu.

Powoli wracam palcami do góry, do mojej szyi, po czym delikatnie ściskam ją dłonią.

Nie zdążyłeś nas powiesić, Igorze.

Umierałyśmy za szybko.

A twoja matka umierała za wolno.

Data śmierci: 29 maja.

I wtedy wszystko mi się przypomina. Twój modulowany, przyjemny głos, którego nigdy nie przypisałabym mordercy. To jak sprawnie zająłeś się moją dłonią nie dlatego, że musiałeś, ale dlatego, że chciałeś. Bo ty zawsze byłeś czuły, Igorze. Gdy nas zabijałeś i przywracałeś do życia.

Na dnie mojej głowy otwierają się drzwi, z których – jak szalona rzeka – zalewają mnie wspomnienia z grobowca, w którym umierałam i ożywałam, zalewają mnie tak, że nie mogę oddychać, ściska się moje gardło i żołądek. Zaczynam płakać, bo w końcu mi się przypomniało.

Zegar z kukułką, z pozoru niemający nic wspólnego z moją matnią. To nie to drażniące kukanie kukułki tak mną wstrząsnęło

podczas wizyty u Igora, tylko ten chrobot, zniekształcony chrobot mechanizmu, połączony z wybijaniem zegara, który słyszałam przykuta do łóżka pod podłogą jego kuchni. Trochę zajęło mi rozpoznanie go, odnalezienie tego stępionego dźwięku gdzieś z dna mojej czaszki, i pojęcie, że to, co słyszałam, umierając na cuchnącym materacu, i to, co słyszałam nad swoją głową w kuchni Igora, to ten sam dźwięk zniekształcony przez podłogę mojego wytłumionego więzienia.

I ten charakterystyczny chrzęst, który tak często słyszałam... Palce twoich dłoni, które zacisnąłeś dziś w pięść... I choć wiedziałam, że ten dźwięk jest mi znajomy, to nie mogłam go przyporządkować do wspomnień w mojej głowie, bo nigdy nie wiedziałam, skąd ten chrzęst pochodził, przez to, że miałam do twarzy przyklejoną maskę.

Dłońmi zakrywam usta, starając się zatrzymać wrywający się z nich szloch.

Spokojnie, Laura. Jeszcze będziesz płakać. Jeszcze będziesz miała szansę płakać nad sobą, nad Elwirą i nad wszystkimi tymi dziewczynami, w których twarze się wpatrujesz i które śnią ci się po nocach, i nad tymi, których ciał nikt jeszcze nie odnalazł.

Wycieram oczy i sięgam po telefon, wybierając numer Doriana.

– Abonent czasowo niedostępny. Zostaw wiadomość po sygnale.

Niech to szlag, Dorian! Zawsze masz naładowany telefon i zawsze odbierasz, czemu akurat dzisiaj jest odwrotnie? Czemu akurat dzisiaj kupiłeś sobie tę cholerną butelkę whiskey? Jasna cholera!

Słyszę sygnał, więc staram się streścić:

– Naprawdę uważasz, że to był najlepszy moment na zachlanie? Wiem, kto zabił te wszystkie dziewczyny... To Igor, ten chłopak ze

szpitala. Oczywiście, że to on, miał cholernie łatwy dostęp do niedoszłych samobójczyń! Jego matka próbowała się zabić na te wszystkie sposoby, na które zabijał te dziewczyny i chciał zabić mnie... Ja pierdolę, włącz ten cholerny telefon, zaraz wyślę ci zdjęcie historii jej choroby, a potem jadę na posterunek. Oddzwoń do mnie!

Robię zdjęcie akt i wysyłam je do Dorian, po czym z wściekłością pakuję telefon do kieszeni, chwytam plecak i wypadam z piwnicy, wcześniej szarpiąc się dłuższą chwilę z tym cholernym haczykiem.

Wybiegam z piwnicy i pędzę w kierunku bramy, ale zatrzymuję się i próbuję uspokoić. Myśl, Laura. Nie daj się ponieść emocjom!

Zawracam i wpadam do domu, nie zważając na to, czy hałasami obudzę matkę o tak wczesnej godzinie. Sięgam do szufladki sekretarzyka i wyciągam kluczyki do auta. Chwilę później jestem już w garażu, wrzucam plecak na siedzenie pasażera obok młotka, który pochwyciłam z blatu, wskakuję do auta i z impetem wyjeżdżam, nie zwracając sobie głowy zapinaniem pasów.

Rozdział LII

Po raz szósty staram się dodzwonić do Doriana i właściwie nie wiem, po co to robię, bo przecież oddzwoniłby do mnie od razu po przeczytaniu i odsłuchaniu moich wiadomości. Rozproszona grzebaniem w telefonie nie zauważam, że zjeżdżam na przeciwległy pas i dopiero drażniący dźwięk klaksonu sprawia, że orientuję się w sytuacji, zwalniam i zapinam pas.

Weź się w garść, Laura, nikomu nie przydasz się martwa!

Zwalniam jeszcze bardziej, kiedy wjeżdżam do centrum miasteczka i podjeżdżam pod znajomy posterunek. Wbiegam po schodkach i chwytam za klamkę, aby pociągnąć ciężkie drzwi, ale zastygam. Co mam im powiedzieć?

W mojej głowie odbywa się szalona gonitwa myśli, wymieszana z obrazami z grobu, bólem i strachem przed śmiercią, którego zaznałam tyle razy, gdy próbował mnie zabić. Trzęsą mi się ręce, szczękam zębami i próbuję się nie rozpłakać. Staram się przekonać samą siebie, że nie mogę sobie na to pozwolić, bo jestem pewna, że on kogoś więzi i że każda moja zwłoka może

przyczynić się do czyjejs śmierci, ale nie potrafię sobie z tym poradzić.

Trudno. Nie ma na co czekać.

Zbieram w sobie wszystkie siły i wpadam do korytarza, po czym podbiegam do okienka, za którym powinien siedzieć policjant na dyżurze, ale nikogo nie dostrzegam. Wspinam się na palce, przechylam przez ladę i zaglądam do środka. Widzę go – na starym fotelu śpi mężczyzna, którego widziałam tu kilka dni temu. Drzemie, pochrapując cicho. Pewnie nie jest przyzwyczajony do petentów o czwartej nad ranem.

– Hej, panie! Obudź się pan! – krzyknęłam. Bez skutku. – Halo, musi pan przyjąć zgłoszenie! – wrzasnęłam, uderzając mocno o marmurowy blat.

Mężczyzna poruszył się, otworzył zaspane oczy i spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Niech pani przyjdzie później – wymamrotał i podciągnął koc pod brodę.

– Żadne później, proszę tu podejść, musi pan przyjąć zgłoszenie, to sprawa życia i śmierci!

– Co tu się dzieje?

Drgnęłam i odwróciłam się do źródła głosu. Kilka kroków za mną stał kolejny funkcjonariusz i przyglądał mi się z niesmakiem.

– O co chodzi?

– Chcę zgłosić poważną sprawę, to kwestia życia i śmierci, a ten pan nie chce przyjąć zgłoszenia!

– Proszę pani, proszę nie podnosić głosu. Waldek – zwrócił się do mężczyzny, do którego w końcu dotarło, że będzie musiał przyjąć

zgłoszenie, bo zaczął się zwlekać z fotela. – Zajmij się panią. Proszę nam powiedzieć, o co chodzi.

Wzięłam głęboki wdech i zabrakło mi głosu. Spojrzałam najpierw na jednego, potem na drugiego mężczyznę i przez kilka sekund zastanawiałam się, co mam im właściwie powiedzieć? Jak streścić w kilku zdaniach to, czego się dowiedziałam, tak żeby mi uwierzyli? Jak mam im powiedzieć, kto jest mordercą i kto mnie porwał?

– No? O co chodzi? Przed chwilą bardzo się pani spieszyło.

– Tak, przepraszam. Chcę zgłosić, że rozwikłałam zagadkę morderstwa kilku dziewczyn, których ciała były znajdowane w lasach na przestrzeni kilku ostatnich lat. Na dodatek jestem przekonana, że ten mężczyzna porwał i aktualnie przetrzymuje inną dziewczynę. To ważne, on w każdej chwili może ją zabić...

– Chwila, chwila – przerwał mi stojący obok mnie funkcjonariusz. – Co to za morderca? O jakich ciałach pani mówi, w jakich lasach?

– To nie takie proste – odpowiadam przez ściśnięte gardło, przestępując z nogi na nogę. – Te śmierci nie były zakwalifikowane jako morderstwa, tylko jako samobójstwa, po prostu nikt nie połączył tych przypadków. A one są powiązane ze sobą. Te dziewczyny mają te same obrażenia, rany na skroniach po przyklejanych tam maskach...

– Jakich maskach?

– Maskach! Takich maskach na oczy, żeby nie widziały zabójcy!
– Niecierpliwie się, spoglądając to na jednego mężczyznę, to na drugiego, zauważając, że ten za ladą przestał klikać na klawiaturze i przypatruje mi się spod zmarszczonych brwi. – To na ten moment nie jest istotne... Istotne jest to, że znam jego

motyw, on zabija je tak samo, jak próbowała się zabić jego matka. Odzwierciedla jej próby samobójcze na ofiarach, bo chce się z nią pożegnać, czego nie pozwolono mu zrobić wcześniej...

Tym razem nikt mi nie przerywa. Sama przestaję mówić. Patrzę to na jednego, to na drugiego policjanta i czuję, jak moje gardło mocno się zaciska, jakby mnie ktoś dusił.

Oni mi nie wierzą. Oni znowu mi nie wierzą! Jak mogą mi nie wierzyć?

– Jesteś nienormalna, dziewczyno. Przez chwilę myślałem, że coś naprawdę się stało. Wiesz kto to jest? – zwraca się ten zza lady do stojącego obok mnie mężczyzny. – To Laura Wagner. Ta pieprznięta córeczka starego Wagnera, co sobie skręcił kark. Ta, co próbowała się zabić, a później opowiadała na policji i w telewizji bajeczki o jakimś porywaczu, co się niby nad nią znęcał. Później się okazało, że kłamała.

– Faktycznie. Nie poznałem od razu. – Policjant założył ręce na piersi i oparł się o ladę.

– To jest jakaś bzdura! – podnoszę głos i ze złością uderzam otwartą dłoń w blat. – Chcę rozmawiać z Alicją! Proszę ją poprosić!

– Alicja dziś nie pracuje.

– To proszę do niej zadzwonić, proszę to zrobić teraz! Ona potwierdzi to, co powiedziałam!

– Alicji zmarła wczoraj teściowa. Wyjechała z miasta razem z mężem i dziećmi. Proszę wybaczyć, ale nie będziemy jej teraz przeszkadzać.

– Dziewczyno, przestań się awanturować. Jeszcze chwila, a znowu zamkną cię do czubków, tam, gdzie twoje miejsce.

Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami i zabrakło mi słów.

Tym właśnie jestem. Czubkiem. Dziwaczką. Kłamczuchą.

– Czy jest pani pod wpływem alkoholu? Narkotyków? – odezwał się drugi z mężczyzn, a ja drgnęłam nerwowo.

– Pan mówi serio?! Proszę pana, Igor porwał kolejną dziewczynę i nie wiemy, czy ona jeszcze żyje, może mamy szansę ją uratować...

– Igor – ten dziwak spod lasu? – roześmiał się stojący koło mnie mężczyzna. – Nieźle pani to sobie wymyśliła. Igor muchy by nie skrzywdził. Trzeba mieć naprawdę nie po kolei w głowie, żeby oskarżać go o bycie seryjnym mordercą. Co tak naprawdę tu pani robi, pani Lauro?

– Przyszłam po pomoc...

– Nie, nie tutaj. W miasteczku. Po co tu pani przyjechała?

Zamilkłam na chwilę. Spuściłam głowę, starając się nie rozpłakać.

– Do brata.

– Dlaczego?

– Bo umierał. Zmarł w zeszłym tygodniu.

– Bardzo mi przykro. Musiało to być dla pani bardzo bolesne doświadczenie. Często człowiek nie może dopuścić do siebie świadomości utraty kogoś bliskiego i szuka tematów zastępczych, aby odsunąć w czasie uporanie się z tragedią. Czy to, co mówię, ma sens?

– Tak, ma, ale w tym przypadku...

– Pani Lauro, proszę wrócić do domu. Kolega odnotuje, że była tu pani i złożyła zawiadomienie.

– Nie rozumie pan, ktoś musi to sprawdzić, to sprawa życia...

– ... i śmierci. Tak, już pani mówiła. Spełniła pani obywatelski obowiązek. Teraz proszę wrócić do domu, porządnie się wyspać i pozwolić sobie opłakiwać brata.

Spoglądam na niego, przez chwilę nie mrugając, zastanawiając się, czy mówi serio, choć przecież dobrze wiem, że tak jest. Próbuję jeszcze raz.

– Proszę ze mną pojechać do domu Igora, proszę pana...

– Pani Lauro. Jeśli w tej chwili pani nie przestanie, będę musiał panią zatrzymać. Czy naprawdę chce pani, żeby pani matka musiała wyciągać panią z aresztu? Po tym wszystkim, co przeszła z pani powodu i po śmierci swojego syna? Czy pani nie ma serca?

Gorące łzy spływają po moich policzkach. Zawsze byli tylko oni. Czemu o mnie nikt nigdy nie myślał? Czemu o mnie się nie martwił? Oprócz ojca. Ale jego już nie ma. Przeze mnie.

Opuszczam głowę, odwracam się i idę do wyjścia, szurając nogami po podłodze, jakby ważyły tonę, zdając sobie sprawę, że już na zawsze jestem tym chłopcem z przypowieści, którego pożarły wilki.

Rozdział LIII

Siedzę dłuższą chwilę w aucie, próbując się uspokoić po tym, jak po prostu rozplakałam się i łkałam głośno, opierając głowę na kierownicy.

Wytarłam twarz, napiłam się wody i wpatrywałam się przed siebie, zastanawiając, co dalej. Sprawdziłam telefon – żadnej wiadomości od Dorianana. Zadzwoiłam do niego setny raz, ale ciągle to samo – automatyczna sekretarka. Gdy byłam na posterunku, dzwoniła też matka, zapewne z pretensjami, że zabrałam bez pozwolenia samochód. Nie mam na to czasu.

Co mam zrobić? Co teraz mam uczynić? Mam odpuścić, zostawić tę sprawę, wrócić do miasta, do mojego pustego i zimnego życia, w którym wegetuję? Mam jechać na inny posterunek, później na kolejny i kolejny, bo nikt mi nie uwierzy? Co ty byś zrobił, ojczu?

Spoglądam w prawo, zatrzymując wzrok na leżącym na fotelu pasażera młotku. Wiem już, co muszę zrobić. Chciałam zamknąć tę sprawę jak należy, zawiadomić policję, odpychając od siebie żądzę zemsty, której chciałam dokonać własnymi rękoma. Właśnie

udowodniłam sobie, a właściwie to mi udowodniono, że już nikt nigdy mi nie pomoże. Że jestem zdana wyłącznie na siebie.

Wyłącznie na mnie zdana jest też dziewczyna, nad którą on się teraz znęca.

Zapinam pas i wyjeżdżam z parkingu, kierując się do biednej dzielnicy. Biorę telefon i wybieram jeden z numerów.

Po kilku sygnałach słyszę miły, żeński głos:

– Instytut Pinela, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z Igorem?

– Proszę pani, kto mówi? Z jakim Igorem? Z pacjentami łączymy tylko rodzinę po uprzedniej weryfikacji...

– Nie chcę rozmawiać z pacjentem, tylko z Igorem Martyńskim, jest pielęgniarzem!

– Rozumiem. Bardzo mi przykro, ale nie mogę pani połączyć.

– Dobrze, niech będzie, proszę tylko mi powiedzieć, czy Igor ma dziś zmianę.

– Chwileczkę.

Serce bije mi szybko. Mam nadzieję, że Igor jest w pracy albo właśnie do niej jedzie.

– Igor dziś nie pracuje. Ma zmianę jutro. Czy mam mu coś przekazać?

Rozłączam się i ciskam telefon na siedzenie obok. Niech to szlag.

Skrećam w leśną drogę i zatrzymuję auto w zatoczce, obok kilku drewnianych ławeczek i stolików, przy których można odpocząć w trakcie dłuższych podróży. Wypijam z butelki resztkę wody, wrzucam ją do śmietnika, zakładam plecak na ramię i wchodzę do lasu. Przede mną trzy kilometry przedzierania się przez chaszczę,

ale nie przejmuję się tym. Szybko pokonam dystans do domu Igora.

Wszystko układa się w całość. Dlaczego nikt nie zauważył, jak porywacz zabrał mnie z parku? Dlaczego nie dostrzeżono żadnego podejrzanego samochodu? Czemu przeszukiwanie pojazdów miejscowych nie przyniosło skutku?

Z prostego powodu. Igor nie potrzebował auta. Las, w którym znajduje się park, ciągnie się kilometrami. Ciągnie się też do posesji Igora, wcale nie tak bardzo oddalonej od miejsca, z którego mnie zabrał. Tak postawny mężczyzna jak on nie miał problemu, żeby donieść mnie do swojego domu. Dlatego uważam, że on więzi je gdzieś na swojej posesji. Idealne miejsce. Oddalone od cywilizacji, praktycznie pozbawione sąsiadów. Nikt nie usłyszy ani jednego krzyku.

Wyciągam telefon, przezornie wyciszam go i tym razem dzwonię do Alicji. U niej też odbywa się poczta głosowa. Nagrywam krótką wiadomość na wszelki wypadek, gdybym dziś nie wróciła do domu. Wiem, że Alicja zajmie się tą sprawą. Wiem, że na nią mogę liczyć.

Docieram do skraju posesji, na której znajduje się dom Igora i obserwuję otoczenie. Nigdzie nie widzę małego, czerwonego auta, co mnie bardzo cieszy, bo to oznacza, że mężczyzny najpewniej nie ma w domu. Mimo to muszę być ostrożna. Przekradam się na tyły budynku i po cichu podchodzę do tylnych drzwi. Podłoga ganku skrzypi pod moimi stopami. Staję pod drzwiami i nasłuchuję przez dłuższą chwilę, ale niczego nie słyszę. Naciskam powoli klamkę, ale drzwi nie ustępują. Rozglądam się za miejscem, w którym mógłby być schowany zapasowy klucz, wypatruję doniczki lub wycieraczki, ale nic

takiego nie dostrzegam. Wspinam się na palce i macam futrynę, ale jest tam tylko brud. No cóż, trzeba spróbować inaczej.

Wyciągam zza paska młotek, który zabrałam z garażu i podchodzę do jednego z okien na parterze, które – z tego co pamiętam – jest oknem salonu. Próbuję przebić wzrokiem gęste firany, ale nie widzę za wiele. Dostrzegam zarysy mebli, ale nie widzę żadnego ruchu, więc ryzykuję. Mocno i zdecydowanie uderzam w szybę osadzoną w starej, wykrzywionej ramie i okazuje się, że to wystarcza, aby pękła. Uderzam w nią jeszcze raz, a fragmenty szkła wpadają do salonu z cichym brzękiem.

Nie słyszę niczego prócz szumu drzew i pokrzykiwań ptaków ukrytych w gęstwinie. Czy czaisz się za firanami i zasłonami i zaatakujesz mnie, gdy tylko dostanę się do wewnątrz? Czy po prostu czekasz, zastanawiając się, co dalej zrobię?

Wkładam rękę do środka, ostrożnie otwieram okno i popycham skrzydło, które z lekkim skrzypnięciem się otwiera. Znowu czekam chwilę, aż w końcu podejmuję decyzję, żeby wejść. Siadam na parapecie i delikatnie stawiam stopy na podłodze salonu. Powoli podnoszę się i odchylam firanki.

Salon jest pusty.

Wychodzę na korytarz i idę do drzwi wejściowych. Przekręcam klucz w zamku, żeby ułatwić sobie ucieczkę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zdaję sobie sprawę, że jeżeli Igora nie ma w domu, to niedługo wróci i zdziwi się, że drzwi są otwarte, ale muszę zaryzykować.

Idę w kierunku kuchni i zatrzymuję się przy schodach prowadzących na górę. Nie słyszę żadnego chrapania, co oczywiście nic nie znaczy. Podchodzę powoli do drzwi pod schodami prowadzącymi najpewniej do piwnicy. Przyglądam im

się przez chwilę. Drzwi są mocne i sprawiają wrażenie nowych, co dość mocno kontrastuje z wnętrzem tego starego domu. Naciskam klamkę, ale nie ustępują. Rozglądam się bezradnie dookoła. Co, jeżeli ma klucz przy sobie? Ja bym miała, gdybym była na jego miejscu.

Niech to szlag! Muszę się tam dostać. Nie jestem w stanie wyważyć drzwi, ale może uda mi się rozbić klamkę młotkiem, uszkodzić zamek i wtedy w jakiś sposób je otworzyć? Z tym że wtedy usłyszą mnie wszyscy święci.

Wyciągam telefon z kieszeni. Dwa nieodebrane połączenia od matki, żadnego od Alicji czy Doriany. Żadne z nich nawet nie włączyło telefonu, gdyż przyszłoby powiadomienie, że mogę do nich zadzwonić, bo ich numery powróciły do sieci. Niech cię szlag, Dorian! Pałętałeś się za mną tyle czasu, śledziłeś i zawracałeś głowę, a kiedy naprawdę cię potrzebuję, to cię nie ma i nawet nie odbierasz pieprzonego telefonu!

Obok drzwi stoi drewniany stolik, na którym znajduje się wazon z ohydnyimi, sztucznymi kwiatami, stojący na poszarzałej serwecie. Zaglądam pod wazon, macam od dołu stolik, podnoszę go delikatnie, sprawdzając, czy klucz nie jest schowany pod jedną z nóg. Po czym robię to samo, co przy tylnych drzwiach – wspinam się na palce i przejeżdżam palcem wskazującym po wystającej futrynie.

Moje serce zamiera, ale nie na długo. Sekundę później wkładam klucz do zamka i przekręcam go, następnie delikatnie uchylam drzwi, za którymi panuje ciemność. Wyjmuję klucz, chowam go do kieszeni spodni, po czym wchodzę do środka, zamykam za sobą drzwi i otacza mnie nieprzenikniona, gęsta ciemność, jakby ktoś przykleił do moich skroni czarną, grubą opaskę.

Rozdział LIV

Mój ciężki oddech i łomot serca są głośne, dudnią, jakbym była na dnie głębokiej studni. Boję się, że Igor to usłyszy i mnie znajdzie. Moja prawa dłoń mocno zaciska się na trzonie młotka, a lewą przesuwam po ścianie, szukając włącznika. Po chwili wewnątrz ciemnego pomieszczenia rozświetla delikatne światło. Jedna żarówka znajduje się centralnie nade mną, a druga na dole, u podnóżu schodów.

Powoli zaczynam schodzić i widzę, że są tam kolejne drzwi, a obok nich stolik. Gdy staję obok niego, uczucie niepokoju wzmagą się jeszcze bardziej, choć nie sądziłam, że to możliwe. Czuję się jak w jakimś cholernym horrorze. Zasycha mi w gardle, gdy spoglądam na to, co znajduje się na stoliku: duża, oprawiona w toporną ramę fotografia martwej Elwiry leżącej w trumnie. Jej twarz jest woskowo biała, a ręce zaplecione na mostku. Obok stoi kilka świec ze śladami dymu i luzem leży kilka polnych kwiatów, zerwanych niedawno, bo jeszcze nie zdążyły uschnąć. To wszystko robi upiorne wrażenie.

Na brzegu stolika spostrzegam duży, gruby brulion, oprawiony w brązową, poprzecieraną skórę. Jego obwoluta jest uniesiona i widzę, że to dlatego, że w środku jest sporo wycinków z gazet, zdjęć i włożonych luzem stron. Wkładam młotek z powrotem za pasek, biorę zeszyt do ręki i zaczynam przewracać kartki.

Kilka sekund później upuszczam go na podłogę i robi mi się niedobrze, zaczyna mi się kręcić w głowie i muszę przytrzymać się ściany. Pochyliłam się, walcząc z odruchem wymiotnym, mimo że wcale nie brzydzi mnie to, co zobaczyłam. Przecież widok krwi, ran czy wnętrzości mnie nie obrzydza. Nigdy nie obrzydzał.

Ale to było coś innego. Coś niewyobrażalnego.

Weź się w garść, Laura. Nie masz na to czasu!

Staram się uspokoić oddech, wycieram mokrą od potu i łez twarz, po czym podnoszę brulion i kładę go na stoliku. Wracam do kartkowania, zaciskając mocno szczęki, próbuję powstrzymać wyrywający się ze mnie szloch.

Zdawałeś się być taki miły i troskliwy, gdy nas krzywdziłeś. Jakby ktoś cię zmuszał, jakbyś wcale nie chciał tego robić. Takie sprawiałeś wrażenie. Ale to nieprawda. Przez chwilę było mi ciebie żal, Igor. Z powodu tego, co przeżyłeś w dzieciństwie, że stałeś się sierotą, że nie mogłeś być na pogrzebie własnej matki.

Teraz wiem, że niepotrzebnie.

Jesteś psychopata. Zwyrrodnialcem.

Brulion jest podzielony na części. W pierwszej z nich są nasze zdjęcia z krótkimi opisami. Każdy kolejny „rozdział” zawiera zdjęcia i zapiski dotyczące wszystkich po kolei okaleczeń i tortur, jakie nam zadawał. Opisywał wygląd i głębokość ran, ilości utraconej krwi oraz datę śmierci. Jak długo umierałyśmy. Ostateczny powód śmierci. Ilość narkotyków, jakie nam podawał,

żeby nie przedawkować, ale też nie zaaplikować ich za mało. Ile czasu trwała każda reanimacja, zanim udało mu się przywrócić ofiarę do życia. Jeśli mu się udało.

Te, które zmarły już po pierwszej próbie, były tylko etapem, potknięciem, na którym się uczył. Zdawały się być tylko rzeczami, środkami do celu.

Dziewcząt jest o wiele więcej, niż znalazł Dorian.

Ten brulion przypomina zapiski i badania szalonego naukowca, który próbuje znaleźć sposób na transmutację powietrza w złoto, obliczającego szatańskimi liczbami równanie na nieśmiertelność czy przepis na tchnięcie pierwiastka życia w potwora stworzonego z pozszywanych fragmentów zwłok.

Zatkałam dłonią usta i nos, kiedy dotarłam do sprawozdania na swój temat. Te wszystkie rany. Ten ból w płucach, gdy niemal się utopiłam. To prawda. To jednak prawda! Mimo że dobrze wiedziałam, że to wydarzyło się naprawdę, wciąż nachodziły mnie chwile zwątpienia, czy to jednak faktycznie miało miejsce, czy nie ja sama tak bardzo się skrzywdziłam. Przecież tak mocno nienawidziłam siebie po tym wszystkim, co się stało! Byłam nikim, córką bez ojca, bez matki, siostrą bez brata! Genetyczną pomyłką pragnącą niszczyć, zabijać, czuć metaliczny zapach krwi i patrzeć, jak z ciała ucieka życie. Dziwaczka, nienormalna, może naprawdę sobie wszystko wymyśliłam?

Patrząc na zdjęcia i zapiski w brulionie przede mną, wiem, że to nieprawda. Mimo że oni wszyscy wmawiali mi, że kłamałam, to nie mieli racji. A tu jest tego dowód.

Wyciągam z kieszeni telefon, robię zdjęcia tych kilku stron, które dotyczą mojej osoby i wysyłam do Dorian. Widzę tylko jedną kreskę zasięgu, ale mam nadzieję, że wiadomość do niego

dotrze. Zamykam brulion, biorę do ręki młotek i podchodzę do drzwi. Naciskam klamkę, ku mojemu zaskoczeniu drzwi ustępują, więc popycham skrzydło do środka.

Całe moje ciało jest napięte jak struna, która za chwilę pęknie, a mimo to udaje mi się napiąć je jeszcze bardziej, przesuwając wzrokiem po dużym pomieszczeniu, rozświetlonym delikatnym blaskiem z przydymionej żarówki podwieszanej pod sufitem.

Gdy byłam tu więziona, niczego nie widziałam. Słyszałam. Czułam. Smakowałam.

A teraz widzę. Wszystko widzę.

Stara, zardzewiała wanna jest właściwie dużą balią do zbierania deszczówki i w dalszym ciągu jest w niej śmierdząca woda, którą czuję z odległości kilku metrów. Smród wwierca się niemalże do wnętrza mojego mózgu.

W rogu znajduje się duży, zardzewiały zlew i kran, z którego przynosił mi wodę do picia. To z niego wlewał wodę do balii. Obok zlewu jest duża, metalowa szafka, na której stoi wiele różnego rodzaju buteleczek, część ze środkami odkażającymi, solą fizjologiczną, wielobarwnymi proszkami... słoje z narzędziami chirurgicznymi, mnóstwo jałowych wacików, strzykawek, igieł, są też gumowe wężyki i plastikowe opakowania zawierające jakieś płyny.

Coś powstrzymuje mnie przed postawieniem kroku naprzód i wejściem do pomieszczenia. Jeśli to zrobię, wszystko stanie się realne i nie wiem, czy to zniosę.

I wtedy to słyszę. Delikatny jęk i szelest, a po chwili obrzydliwe skrzypienie metalowego łóżka, które znam tak dobrze.

Uspokajam oddech, zaciskam dłoń na trzonie młotka, wchodzę do wewnątrz i cicho przymykam za sobą drzwi. Kieruję się

w prawo, w stronę czarnej zasłony, zawieszanej na linie rozciągniętej między ścianami piwnicznego pomieszczenia. Dysząc ciężko, wyciągam rękę i dotykam krawędzi materiału, bojąc się, co zobaczę, gdy go odsunę.

Rozdział LV

Staję jak wryta i przypatruję się drobnej, dziewczęcej postaci, przykutej kajdankami do metalowego łóżka, leżącej na materacu, którego zatechły smród czuję aż tutaj. Wpatruję się w nią, moje serce zwalnia i delikatnie się uśmiecham, bo przecież to nie może dziać się naprawdę. To niemożliwe.

Na łóżku leżę ja sama.

Jasne włosy przykrywają moją twarz. Nadgarstki mam obwiązane zakrwawionymi bandażami. Duża bluzka, w którą jestem ubrana, ubrudzona jest wymiocinami wymieszanymi z krwią. Moje ciało drży jak w gorączce, a ciężkie posapywanie lekko podnosi kosmyk moich włosów, który za chwilę opada z powrotem na usta. W okolicy brzucha znajduje się wielka, czarna dziura, którą identyfikuję jako zaschniętą plamę krwi dopiero, gdy mija pierwszy szok.

Zaraz oszaleję. Zaraz zacznę wrzeszczeć i wyrywać sobie włosy z głowy, bo powoli dociera do mnie prawda. Ja umarłam. Nigdy nie wygrzebałam się z grobu.

Jestem teraz błakającą się między światami duszą. A może tak wygląda czyściec? Albo piekło? Bo przecież powinnam trafić do piekła. Dlaczego nie ma cię tu ze mną, ojczy?

I wtedy to słyszę. Zniekształcony, przeciągły chrupot przeplatany rytmicznymi piskami. Zegar z kukułką wybija ósmą.

Ciało na łóżku porusza się z jękiem, jasne kosmyki przesuwają się po twarzy i opadają na poduszkę, a z mojego gardła wyrywa się szloch. Uderzam się kilkakrotnie w głowę, aby poczuć ból, który ma mnie otrzeźwić i doprowadzić do porządku.

Podchodzę do łóżka i dotykam rozpalonego policzka dziewczyny, która z pewnością nie jest mną, a ona gwałtownie drga.

– Przeszedłeś po mnie? – charczy cicho.

Nie jestem w stanie wykrztusić z siebie słowa. Dotykam jej dłoni, łudzając się, że kajdanki nie są zatrzaśnięte, ale tak nie jest. Muszę znaleźć kluczyki, a jeśli mi się nie uda, spróbuję je rozbić młotkiem. Przesuwam palcami po przyklejonej do skroni czarnej masce i z obrzydzeniem dostrzegam, że są na niej stare ślady kleju.

– Janek? Janek, to ty?

– Nie, Mariolu. Mam na imię Laura i przyszłam cię uratować.

– Jesteś prawdziwa?

Uśmiecham się przez łzy, a chwilę później wszystko dzieje się bardzo szybko.

Szarpnięcie za szyję jest podobne do tego, które poczułam w parku, ale nie takie silne. Wyrywam się, ale nie daję rady wyswobodzić się z silnego uścisku, więc po chwili przestaję, bo wiem, co on chce zrobić. Sprawić, żebym zemdląca, jak wtedy, w parku, albo po prostu mnie udusić. Tyle razy myślałam o tym, co powinnam była wówczas zrobić i jak zareagować...

Z impetem unoszę stopę i opuszczam ją na jego prawy but. Słyszę cichy jęk i ucisk lekko się rozluźnia, ale napastnik mnie nie puszcza. Zyskałam kilka cennych sekund przewagi – wychyliłam się i chwyciłam leżący na materacu młotek. Mocno go trzymając, uderzyłam na ślepo, ale z pewnym wyczuciem, bo trafiłam go w głowę raz i drugi. Z towarzyszącym temu krzykiem, zelżył uścisk na tyle, że udało mi się wyrwać. Obróciłam się tylko na chwilę i dostrzegłam wykrzywioną bólem i złością twarz Igora, któremu krew zalewała oczy. Biegnę w kierunku kotary, wychodzę za nią i chcę dotrzeć do stolika z narzędziami chirurgicznymi, ale mi się nie udaje. Igor z impetem rzuca się na mnie przez czarną zasłonę, zrywając linkę. Upadamy oboje, tarzając się po podłodze, kotłując w pułapce z czarnego materiału.

Po chwili podnoszę się i dopadam do stolika, przewracając wielki słoik z narzędziami, który z trzaskiem upada na podłogę. Klękam, nie zwracając uwagi na raniące moje palce odłamki szkła. Chcę złapać największe narzędzie, ale Igor chwyta mnie za włosy i ciągnie do tyłu.

Chwytam ostre, zakrzywione nożyczki, obracam się, czując, jak fragment skóry wraz z włosami odrywa się od mojej czaszki, i z impetem wbijam je w brzuch Igora tak mocno, jak tylko mogę. W tej samej chwili już wiem, że to był błąd. On na pewno poczuje ból, ale zatopiłam nożyczki w miejscu, które na długo go nie unieruchomi i na pewno nie zabije, a przecież to jest moim celem.

I wtedy to czuję.

Ogromny, rozdzierający ból w prawej części podbrzusza, taki jak ten, który czułam już kiedyś, dawno temu, zanim wypełzłam z grobu. Na kilka sekund wracam myślami do wspomnienia tego, kiedy to się stało.

Wtedy chyba bolało trochę bardziej, bo byłam przygotowana, spodziewałam się, nie było to dla mnie szokiem. Po chwili poczułam, jak ciepła krew spływa po moim biodrze i udzie, po czym pewnie wsiąka w obrzydliwy materac.

– Cholera – syknął mój oprawca. – Za bardzo krwawisz. Nie wiem, czy będę w stanie to zatamować. Dlaczego, powiedz mi, dlaczego? Zrobiłem wszystko jak trzeba!

Pamiętam, co wtedy pomyślałam – że to chyba ten moment, w którym wszystko powinno się skończyć. Już wystarczy, już po prostu więcej nie dam rady. Mimo że tak wiele razy próbowałam się zabić, teraz zrobiłabym wszystko, oddałabym wszystko, żeby nie umierać. A później spłynęła na mnie czerń, która trwała, aż poczułam w nozdrzach zapach wilgotnej ziemi, a mój oprawca chciał zakopać mnie żywcem.

Ile z nich zakopałeś żywcem, nie zdając sobie z tego sprawy?

A może zdawałeś sobie sprawę, ale wiedziałeś, że nie przeżyją do kolejnej, finałowej próby i tak czy inaczej się ich pozbywałeś jak zepsutych przedmiotów?

Chwytam za rękojęść wbitego w mój brzuch noża, ale go nie wyciągam. Spoglądam w górę, na Igora, który wstał z podłogi i wycofał się, trzymając za bok. Teraz przygląda mi się w milczeniu.

Oddycham szybko, z mojego gardła wydobywa się krótki jęk, gdy próbuję się podnieść. Ślizgam się na własnej krwi i upadam. Podejmuję kolejną próbę, również nieudaną. Syczę z bólu, bo ostrze w moim ciele przesuwają się z każdym ruchem. Chwytam je i puszczam, niepewna tego, co mam zrobić. Rzucam dookoła rozgorączkowane, urywane spojrzenia, szukając jakiegoś sposobu,

aby się uratować, aby się stąd wydostać. Dziwne dudnienie w mojej głowie z każdą chwilą się nasila.

Jestem ogarnięta szaloną potrzebą ucieczki, walki o przetrwanie, ale moje ciało mnie nie słucha. Dyszę ciężko i jedyne, co mogę zrobić, to odsunąć się jak najdalej od mojego oprawcy. Odpycham się piętami, ślizgając się po zakrwawionej posadzce, charcząc ciężko, aż czuję za plecami twardą ścianę. Dalej już nie ucieknę.

Igor przez chwilę przygląda mi się, po czym odwraca i podchodzi do metalowego stołu. Zdejmuje zakrwawioną koszulkę i zaczyna opatrywać swoją ranę. Z niepokojem obserwuję, że robi to prowizorycznie.

Zajmie się raną później.

Jak ze mną skończy.

Odwraca się i idzie w moim kierunku, a mi ściska się gardło, bo nie chcę tak umierać. Niech mnie zostawi. Niech pozwoli mi się wykrwawić!

– Proszę, nie zakopuj mnie. – Z mojego gardła wyrywa się żalсна prośba, zanim sama zdaję sobie sprawę, że wypowiedziałam ją na głos.

– Błagasz o litość, Laura? Twój ojciec byłby zawiedziony.

Czy on to powiedział naprawdę, czy to tylko głos w mojej głowie?

Mężczyzna zbliża się i zatrzymuje bezpośrednio przed plamą mojej krwi. Kuca, a jego twarz znajduje się na poziomie mojej. Przez chwilę mi się przygląda, po czym delikatnie uśmiecha.

– Zawsze walczyłaś. Najbardziej z nich wszystkich. Chyba dlatego przeżyłaś.

Mój oddech staje się urywany, nie jestem już w stanie go kontrolować.

– Pamiętam ten dzień, w którym zobaczyłem cię w telewizji. Nie mogłem uwierzyć, że przeżyłaś, że uciekłaś. Później doszedłem do wniosku, że z nich wszystkich tylko ty byłaś w stanie to zrobić. To chyba było zrządzenie losu. Gdy cię zakopywałem, usłyszałem strzał. Nie wiem, czy był to myśliwy, czy kłusownik, ale musiałem uciekać i wolałem tam nie wracać, na wszelki wypadek. Nie dokończyłem, ale byłem pewien, że jeśli jeszcze nie umarłaś, to i tak skonasz w tej dziurze. I zjedzą cię dzikie zwierzęta.

– Czemu nas zabijasz?

– Nigdy tego nie zrozumiesz. Nikt tego nie zrozumie.

– To przez twoją mamę, prawda? Zabijałeś na te same sposoby, na jakie ona próbowała zabić siebie.

– Niech nie wydaje ci się, że mnie rozumiesz. Nie masz pojęcia, kim jestem i przez co przeszedłem. – Igor złości się i podrywa. Zaczyna wędrować w tę i we w tę. – Nie rozumiesz, jak to jest, gdy ktoś, kogo kochasz, chce się zabić, a ty nie jesteś w stanie nic z tym zrobić. Nie jesteś w stanie tej osoby powstrzymać! Przecież ty też właśnie na to skazywałaś swoich bliskich... Ona zawsze robiła to, gdy mnie nie było w pobliżu. Gdy byłem w szkole, w sklepie, u babci czy pracowałem w ogrodzie. Chciała mi tego oszczędzić, ale co to zmieniało? To ja ją znajdowałem. Byłem tylko małym chłopcem... – Jego głos załamuje się, oczy szklą. Chowa twarz w dłoniach i odwraca się. – Raz chciała mnie zabrać ze sobą, ale nas odratowali. Leżałem w szpitalu, gdy zrobiła to kolejny raz. Ostatni raz. Nie miałem szansy jej pożegnać, tak jak zegnałem się z nią za każdym razem, gdy ją znajdowałem i zastanawiałem się, czy pomoc zdąży dotrzeć, zanim jej klatka piersiowa przestanie się ruszać. Nie było mnie przy niej ten

ostatni raz. Nie mogłem nawet iść na pogrzeb. Zakopali ją beze mnie.

– Przynajmniej nie zakopali jej żywcem, tak jak ty chciałeś zakopać mnie.

Odwraca się.

– Powiedział, że nie da się jej wyleczyć, że ta sprawa jest przegrana. Że to jak uporczywa terapia i powinienem pozwolić jej umrzeć.

– Kto tak powiedział?

– Twój ojciec.

Rozdział LVI

Siedzę na drewnianych schodach owinięty starym kocem. Jest mi bardzo zimno i wiem, że powinienem usiąść na huśtawce, ale nie mogę, bo jej skrzypienie doprowadza mnie do szału. A ja nie mogę w niego wpadać, muszę starać się opanowywać swoje emocje i trzymać się tego, co rzeczywiste.

A rzeczywistość jest taka, że jej już nie ma. Odeszła, mimo że ja tak bardzo chciałem, aby została. I robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby tak się stało. Miała tylko mnie, a ja zawiodłem. To przeze mnie. To wszystko moja wina. Na ostatniej drodze, w ostatnim momencie, była sama. Nawet nie miałem możliwości się z nią pożegnać, powiedzieć jej, że ją kocham, trzymać mocno za rękę i patrzeć jej w oczy na chwilę przed tym, jak uleciało z niej życie.

Cały drżę, szczękam zębami i zaciskam coraz mocniej wokół siebie koc, ale to nic nie daje, bo w głębi serca zdaję sobie sprawę, że to nie z powodu chłodu. Czuję zimno, ale wewnątrz mnie, które teraz powoli, komórka po komórce, mnie pochłania, aż stanę się bryłą lodu i może wtedy przestanę cokolwiek czuć.

Może, gdy to się stanie, już nie będę cierpiał i wypominał sobie, że moja najukochańsza na świecie osoba była sama w chwili śmierci. Że ja na tę śmierć pozwoliłem. To ja jej nie dopilnowałem, podczas gdy to było moje zadanie. Nie odwiodłem jej od tego niszczącego, morderczego pomysłu, który zrodził się w jej głowie, gdzieś pomiędzy porankiem a wieczorem, pewnego pochmurnego dnia.

Od tamtego momentu już nic nie było takie samo.

To wtedy zaczęła się walka między życiem a śmiercią, każdego dnia i każdej nocy.

Nigdy nie sądziłem, że ktoś tak bardzo może nie chcieć żyć.

Nie starałem się wystarczająco. Niewystarczająco starałem się wyrwać jej z głowy tę szaloną ideę, rozwiać ten mrok, który spowił ją od czubka głowy aż po palce u stóp i już nigdy nie miał jej opuścić.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że cofam czas. Znowu stoję w kącie pokoju, zaciskając z całej siły pięści, bojąc się, że połamię sobie palce.

– Ona zabije się prędzej czy później. Możesz próbować ją zatrzymać, możesz udawać, że to nieprawda. Ale gwarantuję ci – ona czeka na to, aby się uwolnić i już nigdy więcej nie czuć tego przymusu, by oddychać.

Nie patrzy na mnie. Siedzi zwinięta w kłębek w fotelu i wygląda przez okno, niemalże nie mrugając. I to tak bardzo mnie uderza za każdym razem, gdy na nią patrzę – to już nie jest ona. To nie może być ona, mimo że wygląda jak ona. W jej ciele musiał zamieszkać ktoś inny, obcy albo potwór, albo opętał ją szatan, bo jej nie poznaję.

Oczy ma zatopione w dali, mimo że przed nią jest ściana. Nerwowe ruchy pocieranych dłoni, które po chwili gładzą mocno podbródek, aż staje się czerwony. Spokojny oddech przeplatający się z gwałtownymi szarpnięciami klatki piersiowej, jak gdyby zobaczyła coś strasznego, przerażającego, potwora, którego od dzieciństwa się obawia, mimo że patrzy cały czas w to samo miejsce. Ten skowyt po kilkunastu sekundach ustaje, jej ciało znowu przestaje się ruszać, a ja mam wrażenie, że za każdym razem, gdy tak się dzieje, ona staje się coraz chudsza, coraz mniejsza, coraz starsza. Jak gdyby znalazła sposób, aby zakłamać czas i przestrzeń i przybliżyć się do śmierci, której tak wytrwale poszukuje. Przeżywając życiowe męki i znoje w przyspieszonym tempie.

To przeraża mnie chyba bardziej niż fakt, że w końcu jej się uda.

– Moim zdaniem jej się nie da wyleczyć. Ona chce to zrobić i robi to, prędzej czy później.

– Przecież musi być jakieś wyjście!

– Tak. Można ją zamknąć do końca życia w psychiatryku, truć przez lata lekami i przywiązywać na noc do łóżka, żeby się nie skrzywdziła. I tak to ma wyglądać? Chciałbyś tak żyć przez wiele, wiele lat? Przecież to fizycznie zdrowa kobieta. Minie kilka dekad, zanim jej organizm sam zrobi to, co ona chce zrobić teraz.

Czuję się tak bezradny i nie, nie mam zamiaru zaakceptować, że jej może zabraknąć. Musi być jakieś wyjście! Jestem jej mężczyzną i powinienem się nią opiekować, przy mnie nie może stać jej się krzywda, mimo że ona sama jest swoim największym wrogiem.

– Zrobię wszystko, żeby ją zatrzymać – szepczę przez łyżę, wwiercając się w jej oczy. – Nie umrze. Rozumiesz? Nie umrze.

Płakałem wtedy i płaczę teraz.

Rozdział LVII

– Twój ojciec się mylił. Mogłem ją uratować. I ratuję ją. Wy nią jesteście. Ratuję ją z każdej próby, którą podjęła. Żeby w końcu móc złożyć ją do grobu. Żeby w końcu zaznała spokoju, a ja razem z nią.

– Jesteś szalony.

Mężczyzna uśmiecha się smutno, po czym znowu zmierza do szafki, z której wyciąga dużą rolkę papierowego ręcznika i worek na śmieci. Podchodzi do mnie i zaczyna wycierać krew z podłogi, powoli, metodycznie. Zawilgotniałe listki wrzuca do przygotowanego worka.

Coraz bardziej kręci mi się w głowie, robi mi się coraz zimniej. Zaczynam szcząkać zębami.

– Znajdą cię – szepczę. – Powiedziałam policji, że to ty. Mój przyjaciel ma dokumentację twojej matki... Nie uda ci się.

– Nie martw się o mnie. Przez tyle lat nikt mnie nie złapał, to nie złapie i teraz.

– Mój przyjaciel przyjdzie mnie szukać.

– To będzie musiał podzielić twój los.

– Co z dziewczyną? – Im bliżej jest Igor, tym ciszej mówię.

– Niestety nic. Nie udało się. Znowu się nie udało, nie rozumiem tego. Nigdy nie przeżywacie tej cholernej rany w podbrzuszu! Jakim cudem moja matka przeżyła? To nieprawdopodobne.

Wytarł z grubsza moją krew z posadzki. Nie zrobił tego dokładnie, bo, tak czy inaczej, będzie musiał to poprawić, jak już pozbędzie się mojego ciała.

– Dlaczego? – szepczę.

– Co, dlaczego?

– Dlaczego wybierałeś właśnie nas?

– Co masz na myśli?

– Dlaczego nas w ten sposób wybierałeś?

Igor nie dowierza, że o to pytam, zbliża się do mnie tak, że niemalże stykamy się kolanami, zagląda w moje rozbiegane oczy, a ja mam wrażenie, że twarz mężczyzny zamazuje się.

– Dlaczego dziewczyny ze szpitala?

– Jak to dlaczego? Przecież to oczywiste...

– Dlaczego nas nie żałowałeś? – szepczę, a on przysuwa głowę, żeby lepiej mnie słyszeć. – Dlaczego się nad nami nie litowałeś?

Spogląda na mnie zdziwiony.

– Nie rozumiem. Przecież odpowiedź na twoje pytania jest bardzo prosta. Wybierałem pacjentki naszego szpitala, bo chciały się zabić. Wybierałem was, bo wy już nie chciałyście żyć.

Gwałtownie wyrzucam przed siebie rękę, chwytam go mocno za włosy i przyciągam głowę Igora do siebie. Drugą dłonią wyciągam ze swojego boku nóż, wrzeszcząc z bólu na tyle, na ile mam siłę, i przesuwam gwałtownym ruchem ostrze po gardle zaskoczonych mężczyzny.

Tak jak to robiłam wiele razy. Dawno temu.

Tego ruchu się nie zapomina.

Puszczam go, jego ciało osuwa się do tyłu. Próbuje zatamować krwotok dłońmi, ale na nic się to nie zda. Za kilka sekund umrze.

Spoglądam w jego oczy, w malujące się w nich ogromne zdziwienie, patrzę na bryzgającą spod jego palców krew, która brudzi też moją twarz. Czuję metaliczny zapach posoki, a ono znowu się pojawia...

Uczucie, które ogarnia mnie od stóp do głów, sprawiając, że cała wrę od środka. Napinam się cała w oczekiwaniu na spełnienie, a ono po chwili nadchodzi, dając mi ogrom satysfakcji, którą połykam, wypijam i wchłaniam każdą komórką mojego ciała.

Spoglądam w zastygłe oczy Igora i czuję, że to ten moment. Moje ciało staje się całkowicie bezwładne. Wypuszczam z dłoni nóż i przewracam się na bok, a w moich uszach dźwięczy ogłuszająca cisza.

– Wychodzimy na zewnątrz, kochana. – Słyszę znajomy głos. – Odetchnijmy świeżym powietrzem.

Rozdział LVIII

– Myślisz, że będziemy kiedyś mogli stąd wyjechać? Tylko ty i ja?

– Dlaczego chciałabyś wyjechać?

– Wszyscy mnie tutaj znają. Uważają za dziwaczkę. Może moglibyśmy pojechać razem gdzieś, gdzie nikt nie zwracałby na nas uwagi? Nie przywiązywał wagi do tego, że jesteśmy inni niż wszyscy? Zaczęlibyśmy z czystą kartą. Zostawiłabym za sobą ludzi, którzy mnie oceniają, którzy mnie nie akceptują, śmieją się ze mnie i czekają na każde moje potknięcie. I kto wie, może znaleźlibyśmy innych, podobnych do nas?

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Bo to byłaby ucieczka, kochanie. Jeśli zaczniesz uciekać, już nigdy nie przestaniesz. Ucieczka jest łatwa, ale nie służy tworzeniu niczego stałego, mocnego. To, co powinnaś zrobić, żeby być silną, to zostać i stawić czoła temu, co cię goni i nie pozwala spać. Życie jest bezwartościowe, jeśli ciągle słyszysz sapanie nad uchem i obawiasz się, że za chwilę coś cię pochwyci i pochłonie.

Ale gdy zatrzymasz się, odwrócisz i spojrzysz temu w oczy, wygrasz. Wiesz dlaczego?

– Nie.

– Bo niczego tam nie ma.

– Nie rozumiem, tato.

– To ty jesteś tym strachem. Ty go tworzysz i przed nim uciekasz, uciekając tym samym przed sobą. W momencie, gdy podejmiesz decyzję, gdy odważysz się stawić temu lękowi czoła, zobaczysz, że zniknął. Nie ma go i nigdy nie wróci.

– A ty już się nie boisz?

Ojciec uśmiecha się, pochyla w moim kierunku i znajomym ruchem przesuwa dłoń z mojej głowy na kark i w dół pleców.

– Nie. I ty też nie powinnaś. A teraz obudź się, Laura.

– Co masz na myśli? Przecież nie śpię. Rozmawiamy.

– Obudź się, Laura! To już koniec. Twojego największego strachu już nie ma, stawiałaś mu czoła i się go pozbyłaś. – Ojciec delikatnie mnie przytula i szepcze do mojego ucha.

Czuję ciepły pocałunek na czole i wzruszam się tym, jaki ojciec jest czuły.

– A teraz obudź się, Laura. Już, teraz, wstawaj!

Odsuwa się ode mnie i przygląda z uśmiechem, ale w jego oczach widzę smutek.

– Nie chcę cię zostawiać, tatusiu. – Moje gardło się zaciska i bez ostrzeżenia zaczynam płakać. Czuję się jak mała dziewczynka, która nie potrafi wyobrazić sobie świata bez swojego rodzica. – Proszę, pozwól mi zostać!

– Nie, kochanie. Musisz iść. Ale nie przejmuj się. Jeszcze się zobaczymy. Jeszcze razem zapolujemy.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. A teraz obudź się, Laura!

Ojciec z impetem tupnął w drewnianą podłogę ganku, dom zatrzęsł się w posadach, a ziemia zadudniła. Zamknęłam z przestraczem oczy i chwilę później je otworzyłam.

Ostre światło i biel sprawiły, że ponownie przymknęłam oczy, bo poczułam kłujący ból w czaszce.

Otaczała mnie cisza, przerywana powtarzającym się, rytmicznym pikaniem i czyjś oddechem. Powoli podniosłam powieki i z żalem zauważyłam, że ojca już koło mnie nie ma, a ja nie znajduję się w moim rodzinnym domu sprzed lat.

Przesuwam wzrokiem po swoich rękach leżących na białej pościeli, do których podłączone są rurki i kabelki. Spoglądam w lewo, ale widzę tam tylko parawan i pikającą maszynę. Po prawej stronie dostrzegam męską postać, która wpatruje się we mnie wyczekująco.

– Słyszysz mnie, Laura? Wiesz, gdzie jesteś?

– Tak – odpowiadam, choć z mojego gardła ledwo wydobywa się dźwięk. Mam wrażenie, że jest suche i podrażnione.

– Lekarze mówili, że powinnaś się powoli wybudzać, więc siedzę tu dzień i noc, i czekam. Boże drogi, Laura, jak ty mnie przestraszyłaś! Nikt nigdy nie napędził mi takiego stracha! Myślałem, że nie żyjesz i to przeze mnie...

– Dorian...

– Przestań. Najlepiej nic nie mów. Wszystko jest w porządku. Udało nam się, a właściwie to tobie się udało. Nie masz pojęcia, jak bardzo jest mi przykro, że...

– Dorian! Co z dziewczyną?

Chłopak uśmiecha się smutno.

– Ciężko powiedzieć. Podpytałem trochę pielęgniarki, podobno jej stan jest ciężki, ale stabilny. Istnieje szansa, że z tego wyjdzie, ale musimy uzbroić się w cierpliwość.

– A on?

– Nie żyje. Zabiłaś go.

– Jesteś pewien?

– Tak. Sam widziałem, jak pakowali ciało do worka.

Moje dłonie zaczynają się trząść, próbuję się nie rozpłakać, ale odczuwam ogromną, niemalże przytłaczającą mnie ulgę. Udało się.

– Policja była tu już kilka razy, chcą koniecznie z tobą rozmawiać. W końcu ci uwierzyli.

– Rychło w czas.

– Żebyś ty wiedziała, co tu się działo przez ostatnich kilka dni! W mediach jakby wybuchła bomba. Cały czas trąbią o tobie, o tym co się stało, że cię zdyskredytowali, a ty tak naprawdę cały czas powtarzałaś prawdę. Jesteś we wszystkich wiadomościach, a stacje informacyjne nie przestają o tobie mówić. Nie wyobrażasz sobie, jak oberwała policja i cała ta systemowa maszynka, przez którą cię przemielili.

Teraz już na pewno nie będę anonimowa. Nigdzie.

– Znaleźli więcej zwłok, tak jak podejrzewałaś. Nie zgadniesz gdzie.

Nie muszę. Wiem dobrze, gdzie je ukrywał. Czułam to całą sobą. Mój szósty zmysł.

– Na polance. Na tej, na której ktoś nas śledził. Osiem dziewcząt. Możliwe, że był tam też twój grób, ale tego chyba się nie dowiemy.

– Pokazałeś im?

– Nie. Igor napisał o tym w swoim notesie.

– Znaleźliście go? Bałam się, że go schował albo zniszczył, zanim napadł na mnie w piwnicy.

– Spokojnie, wszystko jest. Nie ma chyba lepszego dowodu na jego zbrodnię. Swoją drogą, to dość głupie, że prowadził taki dziennik. Gdyby żył, nikt nie miałby wątpliwości, czy go skazać.

– On nie patrzył na to w ten sposób. On próbował rozwiązać zagadkę i w ten sposób to traktował. Czy w dzienniku była Dorota?

– Co takiego?

– Czy jest w nim opisana Dorota? Ta dziewczyna, którą znaleźli jako ostatnią?

– Chyba nie... Nie wiem. Mogę zapytać Alicji, jeśli chcesz.

– Poproszę.

Rozmowa mnie wyczerpała. Jedyne, o czym teraz myślę, to sen. Ciężkie powieki powoli opadają.

– Wiesz... Oddałem ci krew.

– Co masz na myśli?

– No, nie bezpośrednio. Ale poszedłem do centrum krwiodawstwa i oddałem krew dla ciebie, na twoje nazwisko. Można tak zrobić. I z tego co wiem, wiele osób tak zrobiło po tym, jak pojawiły się pierwsze informacje o tobie.

Uśmiecham się delikatnie i przesuwam dłoń na pościeli w kierunku dłoni Doriana. Nasze palce się stykają.

Ojciec miał rację, mówiąc, że jeszcze zaznam dobroci.

– Dziękuję.

– Przepraszam, że nie było mnie tam z tobą. Zawiodłem cię.

– Nie, to nawet dobrze. Nic się nie stało. Musiałam to załatwić sama.

Rozdział LIX

W końcu nadszedł dzień, w którym lekarze z czystym sumieniem pozwolili mi opuścić szpital. Nie ukrywam, że bardzo na nich naciskałam, bo nie dość, że byłam niemałą sensacją na oddziale, to po prostu bardzo szybko wróciłam do formy. Czeka mnie jeszcze rehabilitacja i wizyty kontrolne, ale wróciłam do sprawności na tyle, że jestem w stanie poradzić sobie ze wszystkimi codziennymi obowiązkami.

– Musisz pamiętać, żeby za wiele nie dźwigać – mówił Dorian setny raz, gdy wychodziliśmy ze szpitala i niemalże pobiłam się z nim o moją szpitalną torbę. – Rób sobie, co chcesz, ale dźwigać nie będziesz. Tak powiedział lekarz i masz się do tego stosować, rozumiesz?

Myślę, że Dorian ma ogromne wyrzuty sumienia, że nie był ze mną w momencie, gdy odkryłam, kto jest mordercą. I gdy Igor prawie mnie zabił. Nadskakuje mi na każdym kroku i czasami nie mogę się od niego uwolnić. Ale te wyrzuty sumienia są niepotrzebne. Stało się tak, jak od początku zaplanowałam.

Morderca nie żyje.

To ja go zabiłam.

Wsiedliśmy do auta i skierowaliśmy się do mojego rodzinnego domu. Nie, absolutnie nie mam zamiaru tam zostawać! Muszę odebrać swoje rzeczy, a przede wszystkim laptopa. Później wracam do miasta i tam chcę już zostać. Pójść na studia. Zmienić pracę na lepszą. Przygarnąć z ulicy kolejnego kota.

W chwili, gdy umarł Igor, zaczęło się moje życie. Które to już z kolei? Wiem jedno – będzie lepsze niż to, którym żyłam do tej pory.

Powoli wspinam się po schodach na ganek i delikatnie otwieram drzwi. Moje rzeczy leżą spakowane obok sekretarzyka. Schyliłam się, aby je podnieść i słyszę głos matki:

– To niczego nie zmienia.

Odwracam się w kierunku głosu i dostrzegam, że stoi w drzwiach kuchni.

– Czego nie zmienia, matko?

– Tego, co mi zrobiłaś. Nigdy ci tego nie wybaczę.

Uśmiecham się, nie wierząc, że ona naprawdę niczego nie pojmuję.

– Nie kłamałam, mamo. A ty tak wiele razy nazywałaś mnie kłamczuchą! Nigdy mi nie wierzyłaś. Myliłaś się.

– Może. Ale to, że mówiłaś prawdę, niczego nie zmienia. Zniszczyłaś naszą rodzinę. Zniszczyłaś mnie. Nie jesteś moim dzieckiem. Odkąd byłaś mała, czułam, że coś jest z tobą nie w porządku, że chcesz mnie zniszczyć.

– Nigdy nie chciałam cię zniszczyć, mamo. Uratowałam cię! Jak dobitniej mogłabym udowodnić, że cię Kocham?

– Uratowałaś mnie! – Matka śmieje się w głos. – To wszystko twoja wina, Laura. To twoja wina, że Staś nigdy nie będzie miał

normalnego życia. To twoja wina, że ojciec przestał mnie kochać. Na Boga, to twoja wina, że jego tu nie ma! I to twoja wina, Laura, że ten mężczyzna cię porwał i torturował. Wyłącznie. Twoja. Wina.

Nie wiem, kiedy to się dzieje.

Dopadam do matki, szarpnię ją i przyciskam do ściany.

W jej oczach maluje się przerażenie i ogromne zaskoczenie.

Oddycham szybko, zaciskam dłonie na jej przedramionach aż do bólu, przysuwam swoją twarz do jej twarzy tak, że niemal stykamy się nosami, po czym mówię cicho:

– Nie. To twoja wina. To ty tamtego wieczora wysłałaś mnie po mąkę.

Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, po czym gwałtownie odrywam dłonie od ciała matki i odsuwam się od niej. Matka zaczyna płakać i upada na ziemię, zakrywając twarz dłońmi.

Patrzę na nią przez chwilę z góry, zastanawiając się, co mogłabym jej teraz zrobić, po czym odwracam się, biorę swoje rzeczy, wychodzę z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi i wiedząc, że już nigdy tutaj nie wrócę.

Uśmiecham się delikatnie, bo pierwszy raz od bardzo dawna czuję, że ten gargulec, mieszkający od lat na moim ramieniu, bliźniaczko podobny do tego należącego do matki, właśnie zniknął w niebycie.

Rozdział LX

- Pamiętasz, od czego to się zaczęło?
- Nie. Od czego?
- Od tego, jak powiedziałem, że zadam ci pytanie, którego nie zadał do tej pory żaden dziennikarz, odkąd nazwano cię kłamczuchą.

Uśmiecham się delikatnie, mając wrażenie, że od momentu gdy Dorian o to zapytał, minęły wieki. Tyle się wydarzyło. Nigdy nie sądziłam, że nam się uda. Mnie się uda. Że już nie będę patologiczną kłamczuchą. Szaloną samobójczynią. Niszczycielką rodziny.

Histrioniczną Laurą.

Siedzimy na tarasie na tyłach domu Dorigana, który otwarty jest na duży, zarośnięty ogród, pełen niedogładanych drzew i krzewów, zamieszkiwanych na stałe przez różne zwierzęta, które wyczułam od razu, gdy tylko tu przyszłam.

Świętujemy mój powrót do zdrowia i opublikowanie na blogu Dorigana szczegółowego opisu jego pierwszej rozwiązanej sprawy. Gdy tylko rozeszła się informacja, że pomagał mi w rozwiązaniu

zagadki i odnalezieniu mordercy, i że tak naprawdę to on znalazł powiązania między mną i innymi ofiarami, rozpętało się szaleństwo.

Jego blog odwiedzają teraz setki tysięcy osób dziennie, przybyło mu tylu patronów, że bez problemu będzie mógł realizować swoje cele i nie przejmować się kosztami. Udziela wywiadów w telewizji, w radiu, do gazet; zatrudnił specjalistów do przetłumaczenia bloga na kilka języków, aby zwiększyć zasięgi. Jest w swoim żywiole.

– Wreszcie mi się udało – powiedział cicho, wpatrując się w szumiące przed nami chaszczki. – Nie wyobrażasz sobie, ile razy przeżywałem chwile zwątpienia, ile razy myślałem o tym, żeby zrezygnować, poddać się. Ile razy uderzałem pięścią w ścianę i chciałem skasować stronę, rzucić to wszystko w cholerę... Ale nie zrobiłem tego. Boże, jednak było warto. Te wszystkie ciężkie chwile, te łzy... Było warto. Jestem pewien, że teraz pójdzie z górki, że reszta spraw nabierze rozpędu. No i dzięki temu, że sprawę nagłośniły media, jest większa szansa, że apele dotrą do potencjalnych świadków, do osób, które nawet nie zdawały sobie sprawy, że mają choćby strzępek wiedzy na temat nierozwiązanych zaginięć i morderstw... Wszystko przede mną, Laura. Wszystko przed nami. – Śmieje się w głos, po czym wypija do dna wino, którego sam sobie nalał.

Uśmiecham się delikatnie.

– Cieszę się, że wszystko układa się po twojej myśli.

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale jesteśmy do siebie z Dorianem podobni. Byliśmy w podobnej sytuacji. Jemu też nikt nie wierzył. Jego też odsyłano z kwitkiem.

– To wszystko dzięki tobie. To ty mi uwierzyłaś.

– Nie dziękuj mi, tylko sobie. Gdybyś nie zebrał tych wszystkich dowodów, gdybyś nie zwrócił uwagi na rany na skroniach po przyklejonych opaskach... Gdyby nie ty, twoja determinacja, nie byłoby mnie tutaj. Zmieniłeś moje życie, Dorian. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Chłopak uśmiecha się do mnie, ale nic nie mówi. To dobrze. Tu nie potrzeba słów.

– Myślisz, że im ulżyło?

– Komu?

– Rodzinom.

– W jakim sensie?

– Że jednak ich dzieci się nie zabiły. Że zrobili wszystko, co do nich należało.

– Nie wiem. Nie wydaje mi się. Ale kto wie? Może dla niektórych była to pewnego rodzaju ulga i mogli zamknąć za sobą ten rozdział.

– Chciałbym, żeby tak było.

Znowu zapada cisza. Tym razem ja dolewam sobie wina.

– Jest jednak jedna rzecz, która nie daje mi spokoju, Dorian. Znaleźliśmy powtarzalność w tym, jak Igor wybierał swoje ofiary, gdzie ich szukał, jak je zabijał. To wszystko trzyma się kupy. Jest jednak kwestia, która do tego nie pasuje.

– Co masz na myśli?

– Dorota.

Dorian marszczy brwi i przygląda mi się z uwagą.

– Co z nią?

– Nie widzisz, że ona nie pasuje? A oprócz tego wszystkiego czuję, że coś jest z nią nie tak. Wszystkie moje zmysły wrzeszczą, że ona tu nie pasuje.

- Przecież policja jasno się wyraziła, że Dorota była ofiarą Igora.
 - To dlaczego nie było jej w notesie?
 - Nie wiem. Może właśnie dlatego, że nie pasowała, że chciał spróbować czegoś nowego i nie wyszło, postanowił nie uwzględniać jej w swoim eksperymencie? Może miał inny notes? Bóg wie, ile tak naprawdę miał na sumieniu ofiar. Przecież to był psychopata, Laura. Cholera wie, co tak naprawdę siedziało mu w głowie.
 - Był też człowiekiem, któremu trauma, związana z ustawicznymi próbami samobójczymi matki, zniszczyła życie.
 - Bronisz go?
 - Nie, absolutnie. Po prostu uważam, że był bardzo dokładny w tym, co robił, jak robił i kiedy robił. Dorota w ogóle do tego postępowania nie pasuje.
 - Policji pasuje.
 - Policja mówiła, że nikt mnie nie porwał.
- Zapada cisza. Spoglądam przez chwilę na Doriana i widzę, że jest zirytowany, ale ciągnę temat dalej. Nasze wspólne burze mózgow już kilka razy przyniosły efekty.
- Od jakiegoś czasu Igor zakopywał dziewczyny na polance, przestał je porzucać. A tu proszę, ni stąd, ni zowąd pojawia się Dorota, po półtora roku od znalezienia poprzedniego ciała. I, tak jak mówiłam, pasuje tylko z pozoru – brak blizn na nadgarstkach, nie leczyła się w instytucie, nie pochodziła z bogatej rodziny, miała na skroniach najwięcej kleju. Tych nieścisłości jest więcej...
 - Daj spokój, Laura! – Dorian irytuje się i prostuje na swoim fotelu. – Czemu szukasz problemu tam, gdzie go nie ma? Sprawa jest wyjaśniona, Igor nie żyje, już nigdy nikogo nie skrzywdzi,

a rodzice tych dziewczyn wreszcie mogą zaznać spokoju. Czego jeszcze chcesz? Czy to już nie jest wystarczające?

– Dlaczego się tak denerwujesz? – Spoglądam na niego zdziwiona. – Po prostu z tobą rozmawiam. Spokojnie, nikomu o tym nie powiem. Nie martw się, nie zaszkodzę twojemu blogowi, nie mam zamiaru w żaden sposób pomniejszać twojego wkładu w rozwiązanie zagadki. Nie rozumiem, dlaczego się denerwujesz, Dorian.

Sięgam po swój kieliszek i popijam łyk wina.

– Nie denerwuję się – odparł chłopak. – Po prostu już nie chcę roztrząsać tej sprawy. Chcę cieszyć się z tego, że Igor nie żyje, a sprawa została zamknięta i skupić się na kolejnej. Jest tyle niewyjaśnionych zbrodni, Laura... Tylu ludzi cierpi, bo zaginął ktoś bliski. Tylu ludzi nie zaznało sprawiedliwości... Nie ma sensu teraz roztrząsać i zastanawiać się, dlaczego ją wybrał, dlaczego porzucił ciało na widoku, dlaczego miała ranę w lewym boku, a nie w prawym, czy podcinała sobie wcześniej nadgarstki czy nie, czy leczyła się w instytucie... Alicja mówiła, że dziewczyna wypija wybielacz, więc jak najbardziej wpasowała się we wzór samobójczyni. Dlatego zostawmy to, a ja z chęcią ci opowiem o kolejnej sprawie, która ma ogromny potencjał. Tu też znalazłem kilka powiązań i myślę, że jestem na dobrym tropie, dostałem parę nowych zgłoszeń od potencjalnych świadków. Może mi pomożesz, razem tworzymy niezły duet...

Często zastanawiałam się, jak zareaguję w takiej sytuacji.

Oglądałam wiele filmów, w których bohaterowie zdradzali się bez chwili namysłu i nie było już ucieczki. Zawsze mnie irytowali, bo przecież powinni zachować się racjonalnie – udawać, że nie połączyli kropek, że nie zauważyli, że ktoś się zdemaskował.

Łatwo jest karcić innych, dopóki nie znajdziesz się na ich miejscu.

Wyczuł to od razu.

Delikatnie uniosłam się i wyprostowałam na krześle, stawiając mocno stopy na ziemi. Jeszcze nie odstawiłam kieliszka.

Wpatrujemy się w siebie. Żadne z nas nie mruga. Moje szczęki są mocno zaciśnięte.

– Powiedz to na głos – szepnął cicho, świdrując mnie wzrokiem.

– Czasami nienawidzę mieć racji.

Nie wiedziałam, że to tak zboli.

Tu jestem. Znowu popełniam błąd.

Czuję ludzkie uczucia. Ufam ludziom. Przywiązuję się do nich. Zależy mi na nich.

Czy naprawdę warto?

– Czym się zdradziłem?

– Raną w podbrzuszu. Tylko u Doroty była po lewej stronie. Nie miałeś prawa tego wiedzieć, nie było tego w żadnym twoim raporcie, w żadnych notatkach i informacjach, do których dotarłeś. Nie wiedziałbyś o tym, chyba że to ty tę ranę zadałeś.

– Skąd wiedziałaś, po której była stronie?

– Alicja mi powiedziała.

– Nie wspomniałaś mi o tym.

– Postanowiłam to zachować dla siebie. Na tamten moment to nic nie wносиło do sprawy.

– Sprytna dziewczynka.

Dorian odrywa ode mnie wzrok i opiera się ponownie o krzesło. Nie odzywa się.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie zrozumiesz.

– Czy wiesz, co to oznacza?

– Co?

– Będziesz musiał za to odpowiedzieć.

Chłopak prychnął i śmieje się w głos.

– Nigdy niczego mi nie udowodnią, Laura. Dorotę zabił Igor, koniec, kropka. Nikt nie będzie otwierał tej sprawy. Poza tym i tak niczego nie znajdą. Moje słowo przeciwko twojemu. Jestem spokojny.

Opuszczam głowę i czuję, że za chwilę się rozplączę. Ufałam mu. Czulałam tę silną więź między nami...

– Jesteśmy tacy sami, Laura.

– Nie jestem taka jak ty!

– Oczywiście, że jesteś. Myślisz, że chciałem to zrobić? Myślisz, że czerpałem z tego jakąś przyjemność? Nie, Laura, nienawidziłem siebie za to, że musiałem to zrobić! Tak jak ty nienawidziłaś siebie, kiedy pomogłaś Michałowi przejść na tamten świat.

Gwałtownie podnoszę się z fotela.

– O czym ty, do cholery, mówisz?! – warknęłam. – Czy ty naprawdę myślisz, że mnie znasz? Myślisz, że wiesz, kim jestem i co siedzi w mojej głowie?

– Uspokój się! Zbierz się do kupy. To nie czas na lamenty.

– Dlaczego zabiłeś Dorotę, Dorian?

– Żeby nadać sprawie biegu. Żeby zatrzymać mordercę.

Zatkało mnie. Zabrakło mi słów.

– Zabiłeś niewinną dziewczynę, żeby zatrzymać mordercę? Przecież sam się nim przez to stałeś!

– Wiedziałem, że nie zrozumiesz. Dorota miała zwrócić uwagę policji, miała powiązać całą resztę ofiar z mordercą. Podrzuciłem

im trop, żeby odnaleźć zaginione i żeby ocalić kolejne dziewczyny przed śmiercią, nie rozumiesz tego? Jak możesz tego nie widzieć? Nie zrobiłem nic złego. Po prostu potrzebny był czysty trop, żeby ratować życia. Śmierć Doroty miała uratować kolejne dziewczyny, bo przecież wiedziałem, że on cały czas poluje!

– Jesteś szalony, Dorian!

– Może. Ale to nie zmienia faktu, że poświęciłem jedno życie, żeby uratować wiele innych. Poza tym, ona i tak nie chciała żyć.

Łzy lecą po moich policzkach i czuję, jak zaczynam wrzeć od środka. Moje dłonie zacisnęły się w pięści. Mam ochotę rzucić się na niego, przewrócić, uderzać jego głową o beton, aż roztrzaskam jego czaszkę.

– Przecież policja nie zainteresowała się tą sprawą. Dorota zginęła na marne.

– Wiem. Musiałem się z tym liczyć, podjąć ryzyko. Choć miałem ogromną nadzieję, że tak nie będzie.

Nie. Nie mogę w to uwierzyć. To się nie dzieje naprawdę.

Rozglądam się gorączkowo dookoła, szacując najszybszą i najbezpieczniejszą drogę ucieczki.

– Spokojnie, Laura. Nie zrobię ci krzywdy. Nie jesteś mi w stanie niczego udowodnić. Może i dziś jesteś na pierwszych stronach gazet, ale pamiętaj, że jesteś niedoszłą samobójczynią, która wiele miesięcy spędziła w psychiatryku. Która była torturowana przez zwyrodnialca. Nigdy nie będziesz w pełni wiarygodna.

Mierzymy się wzrokiem.

– Ilu sprawom w taki sposób chciałeś nadać tempa?

– Myślę, że powinnaś już pójść.

– Ilu jeszcze sprawom będziesz nadawał w ten sposób tempa?

– Nasza rozmowa jest skończona.

Wpatruję się w jego piękne, duże oczy. Zazwyczaj pełne uczuć, teraz są puste.

Chwytam leżącą obok fotela torebkę i rzucam się do wyjścia z tarasu. Biegnę przez dom i wypadam z niego, chociaż dobrze wiem, że Dorian mnie nie goni, ale nie zatrzymuję się. Biegnę dalej, przed siebie, aż palą mnie płuca, próbując zatrzymać wyrywającą się ze mnie bestię.

Docieram do bloku, wpadam do swojego mieszkania, zatrząskuję za sobą drzwi. Opieram się o nie plecami i osuwam na podłogę, czując, że cała wrę, że za chwilę wybuchnę.

Uspokój się, Laura. Nie daj się ponieść emocjom. Musisz to zrobić metodycznie. Musisz zachować zimną krew.

Po kilkunastu minutach zwlekam się z podłogi i idę do kuchni, aby nalać sobie do szklanki wody z kranu, którą wypijam duszkiem. Siadam przy stole, włączam telewizor i uruchamiam laptop. Na ekranie widzę stronę Dorianą.

785 678 wizyt dzisiaj.

Przewijam menu z nierozwiązanymi sprawami i czuję, jak dostaję gęsiej skórki.

Nagle słyszę swoje imię i spoglądam w stronę telewizora.

– Laura Wagner została porwana i torturowana przez psychopatę. Z doniesień prasowych wynika, że została zmuszona przez policję do odwołania zeznań i przyznania się do kłamstwa. Jak pan to wytłumaczy?

Starszy policjant, którego wydaje mi się, że kiedyś widziałam, jest podenerwowany i wyraźnie spocony.

– Nie będę komentował doniesień prasowych. Kobieta odwołała zeznania, dlatego sprawa została uznana za zamkniętą.

– Dlaczego państwo nie przyjrzeni się sprawie bliżej? Jak to możliwe, że bloger potrafił dojrzeć zbieżność między przypadkiem Laury a śmiercią innych dziewczyn, błędnie zaklasyfikowanych jako samobójstwa?

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby sprawdzać wszystkie potencjalne tropy...

– Ale tego państwo nie sprawdzili. Jak się pan czuje, wiedząc, że Laura Wagner mówiła prawdę, a państwo odesłali ją z kwitkiem?

Laura Wagner mówiła prawdę.

Laura Wagner mówiła prawdę.

Laura Wagner mówiła prawdę.

Ukrywam twarz w dłoniach.

Przecież to wszystko dzięki tobie, Dorian.

Rozdział LXI

Manifest 3/3

Czasami mam wrażenie, że nikt mnie nie rozumie. Albo to ja nie rozumiem nikogo, bo nie mogę pojąć, dlaczego ludzie są tak bezradni wobec zła, które ich otacza.

Godzą się bezrefleksyjnie na to, że dziecko sąsiadów chodzi głodne, że w mieszkaniu obok sąsiad znęca się nad żoną, że na osiedlowym boisku grupa wyrostków okrada młodszych chłopców. I nic z tym nie robią. Czy oni naprawdę nie pojmują, że kiedyś ci chłopcy mogą okraść albo skrzywdzić ich? Że sąsiad bijący żonę, może pobić kogoś innego? Czemu udajemy, że niczego nie widzimy i nie słyszymy?

Jesteśmy bierni.

Jesteśmy egoistami.

Nie rozumiemy odpowiedzialności, jaka na nas ciąży, jeśli widzimy szalejące dookoła zło. Odwracamy się, a przecież mamy obowiązek – jako ludzkość, jako cywilizacja – z tym złem walczyć

i dążyć do jego całkowitej eliminacji, bez względu na koszty finansowe, etyczne i kulturowe.

Kiedyś jeden z moich czytelników zadał mi pytanie dotyczące dylematu wagonika i dopytywał, co ja bym zrobił. Jaką podjął decyzję.

Dla niewtajemniczonych – dylemat polega na tym, że po torach pędzi wagonik, którego nie można zatrzymać. Szalony filozof przywiązał do torów pięć osób, które czeka niechybna śmierć. Jednak ty możesz przekierować zwrotnicę i sprawić, że wagonik wjedzie na tor, na którym znajduje się tylko jedna osoba, ocalając tym samym wspomnianą wcześniej piątkę.

Dylemat etyczny rozkładany na kawałki przez filozofów i etyków. Ale dla mnie odpowiedź jest prosta.

Odpowiedziałem mojemu rozmówcy bez wahania, że przestawiłbym zwrotnicę tak, aby zabiła jedną osobę, a ocaliła pięć. Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Ale przecież angażując się, przyjąłbyś na siebie część odpowiedzialności. Naprawdę byś to zrobił?

Odpowiedziałem mu pytaniem na pytanie:

– Jeśli to jedno stracone życie miałoby uratować pięć innych, to chyba rachunek jest prosty? Czasami musimy godzić się na ofiary, bo musimy wybierać mniejsze zło.

Od tej rozmowy minęło kilka lat, a dzisiaj, jak nigdy wcześniej, jestem przekonany, że miałem rację. I wiem, że jestem jednym z nielicznych, którzy mieli odwagę powiedzieć to na głos. Wiem, że to, co robię, ma sens. Wiem, że kierują mną ludzkie odruchy i chęć zadośćuczynienia za cudze krzywdy. Dla mnie każda zaginiona czy zamordowana osoba, która nie została odnaleziona albo jej sprawa nie została wyjaśniona, jest priorytetem i zrobię

wszystko, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Bez względu na cenę.

Możecie na mnie liczyć.

Chcesz przestać być obojętny?

Chcesz pomagać mi odnajdywać zaginione osoby?

Chcesz pomóc mi rozwiązywać zagadki niewyjaśnionych zbrodni?

Chcesz przywrócić pamięć zapomnianym?

Zostań moim patronem.

Epilog

Oboje znaleźliśmy genezę i tempo naszego upadku, tato.

Oboje zdawaliśmy sobie sprawę z naszej inności, naszych potrzeb i oboje słyszeliśmy ten nieludzki, spokojny głos z tyłu głowy. Szalał w nas ogień, który nas rozpierał i rozsadzał od środka, i to ty nauczyłeś mnie, jak sobie z nim radzić.

I mimo że byliśmy tak bardzo podobni, to w pewien niewytłumaczalny sposób byłam inna niż ty, było we mnie coś więcej. Byłam jak studnia bez dna, w której rozchodzi się echo, będące kiedyś wyraźnym zdaniem. Teraz jest zniekształcone przez nieskończone odbijanie się od kamiennych ścian, więc nie jestem w stanie go zrozumieć, ale wydaje mi się, że mogę rozróżnić zlewające się ze sobą, obce słowa.

Czasami myślę, że ty też to we mnie dostrzegałeś, tylko nie byłeś pewien, czy masz rację.

Przypominam sobie ten moment, kiedy w oborze ścisnęłam w objęciach koziołka, któremu zabiłam matkę. Bardzo chciałam dać mu ciepło i możliwość życia, bo to ja miałam się nim

opiekować. Zabiłam, ale chciałam, żebyś żył, koziołku. Czyż to nie jest bzdurą?

I pamiętam ten moment, kiedy uświadomiłam sobie, że przecież nigdy nie zastąpię ci matki. Zrobiłam coś, czego nie jestem w stanie naprawić, a ty nigdy nie zaznasz tego życia i wolności, których doświadczyć powinienes. I mimo że wiedziałam, jakie są konsekwencje, nie cofnęłam się. Tak będzie lepiej. Ciszę przerwał trzask łamanego karku.

Dokonało się.

Przypominam sobie ostatnią noc Michała.

Siedzę, tak jak wiele razy przed laty, w progu swojego pokoju, oparta plecami o framugę, wpatrując się w skrzydło drzwi do pokoju chłopców, zza którego dochodzi pikanie. Mam wrażenie, że nie mrugam, a moje oczy wyschły na wiór, choć przecież powinnam płakać.

Przypominam sobie te czasy, kiedy ja i moje rodzeństwo zawieszaliśmy na sobie nasz wzrok, gdy dookoła wirował i pękał świat, oraz poczucie bezpieczeństwa i pojęcie o tym, czym jest rodzina.

Nagle słyszę swoje imię i wiem, że to Michaś mnie woła.

Powoli wstaję i cicho, na bosaka przemykam do pokoju, w którym leży mój umierający brat. Przemykam za sobą drzwi.

Brat przez chwilę kołysze się w prawo i w lewo, zanim przybiera wygodną dla siebie pozycję. Wpatruje się we mnie, po czym delikatnie, na tyle, na ile pozwalają mu siły, uśmiecha się.

– Chciałem, żebyś wróciła, aby móc cię zobaczyć, zanim odejdziesz. Żebyś mnie widziała.

Moja głowa opada, bo nie chcę, aby widział, że płaczę. Tyle między nami było złego... ale więcej dobrego. Ty, ja i braciszek.

Gdy tłukły się naczynia, trzaskały drzwi, gdy matka tak głośno jęczała.

– To takie niesprawiedliwe, Michaś – szepczę, znowu spoglądając w jego oczy. – Nie widzisz tego? Ty, ja i braciszek jesteśmy przeklęci...

Milczymy, a tę ciszę przerywa dźwięk maszyn, czujników i ciężki głos mojego brata:

– Miałem... wszystko. W moim życiu była miłość... Mam piękną żonę i pięknego synka. I odchodzę, Laura. Odchodzę w środku tego wszystkiego. Nie powinno mnie tu być.

To ostatnie zdanie powtarzam za nim.

– Żałuję tak wielu rzeczy... Ale najbardziej żałuję, że ich zostawiam. Oni na to nie zasłużyli.

Mówi o swojej pięknej żonie, która zakochała się w nim na studiach miłością szaloną, irracjonalną. Nigdy nie sądziłam, że ktoś tak bardzo może pokochać drugą osobę. Mówi o swoim niespełna półtorarocznym synku, który tak często tulił się do jego piersi, a który go nie zapamięta. Michał nigdy nie nauczy go gry w piłkę, o czym zawsze marzył. Chłopiec zostanie wychowany przez pełną żałoby matkę.

– To już nie ma znaczenia – szepczę zgodnie z prawdą do twojego ucha.

– Wiesz, czego najbardziej w tym momencie żałuję?

Odchylam się delikatnie, żeby przypadkiem ciężar mojej głowy nie przysporzył mu bólu i cierpienia.

– Nie wiem, Michaś.

– Pamiętasz ten dzień, w którym wujek rozjechał Rumcajsa?

– Oczywiście, że tak. – Łzy toczą się po moich policzkach. Bo przecież moje wspomnienia dotyczące ciebie to nie tylko ten

cholerny kogut! To nasze wspólne zabawy, nasze oddanie, nasze zrozumienie i kucanie w progu pokoju, gdy rodzice rozrywali się na kawałki.

– Wiesz – szepcze, a jego twarz wykrzywia ból. – Nigdy później o tym nie rozmawialiśmy... Ale ja widziałem zacięcie w twoich oczach. Jak uderzałaś, nie w chaosie, nie w szale, ty wiedziałaś, co powinnaś zrobić i byłaś tego pewna. Ty widziałaś przyszłość, Laura. Ty wiedziałaś, że ja powinienem był wtedy odejść.

Wspomnienia wracają jak uderzenia młotem wprost w moją klatkę piersiową, a łzy już ciurkiem płyną po moich policzkach.

Nie miałam wyjścia.

– Wiesz, czego dziś żałuję?

Mój brat zadaje to pytanie, a ja boję się na niego spojrzeć.

– Że wtedy nie rozumiałem, że miałaś rację.

Paskudny, rzęzący charkot wydobywa się z jego płuc, gdy delikatnie układam dłoń na jego klatce piersiowej.

– Dziś najbardziej żałuję, że ojciec ci przerwał – mówi, a ja podnoszę głowę i spoglądam na niego przez wypływające spod moich powiek łzy. – Najbardziej na świecie żałuję, że mnie wtedy nie zabiłaś, Laura. Powinienem był wtedy zginąć.

Zaczynam się trząść, podczas gdy mój brat wypluwa krew i drży tak nieskoordynowanie, jak ja drżałam w dole przepełnionym śmiercią.

– Powinnaś była to zrobić, Laura. Powinnaś była wtedy mnie zabić. Wtedy nie byłoby mnie tu, wtedy nie byłoby Diany, nie byłoby...

Głos Michała się załamuje i wiem, że ma na myśli swojego synka.

– Jesteś mi to winna, Laura.

Wpatrujemy się w siebie, a świat wokół rozpada się na kawałki. Rozpada się po kolei, jeden fragment po drugim, a za tym fałszywym obrazem rozpościera się ciemność. Nieprzenikniona, pełna pytań i niepełnych odpowiedzi.

– Michaś... – szepczę przez ściśnięte gardło, nie potrafiąc pohamować emocji, mimo że zawsze potrafiłam to robić: gdy one umierały, gdy łamanie ich karku niszczyło wieczną ciszę, gdy popychałam cię na skraju urwiska i spadałeś, gdy odradzałam się tyle razy w pachnącej, wilgotnej ziemi.

Wtem, nagle, nie wiem jakim sposobem, ciągnę za sobą po podłodze poduszkę zabraną z kanapy w pokoju chłopców. Chłopca. Nieboszczyka.

Siadam bokiem na łóżku i przez łyzy spoglądam na mojego brata.

– Nie powinnaś się z tym czuć źle. Wtedy, lata temu, ja nie powinienem był walczyć. Mogłem się poddać i nigdy nie dopuścić do tego, co stało się później. Do tego, żeby mnie kochali, a później patrzyli na to, jak odchodzę.

Łzy grzeją moje policzki, gdy mój Michaś znowu zaczyna tak bardzo kaszleć.

Po chwili przestaje, spogląda na mnie i syczy:

– Powinnaś była mnie wtedy zabić.

Przyciskam poduszkę do jego twarzy.

Drżą moje mięśnie, drży jego ciało. Przypominam sobie ten moment, gdy chciałam go zabić i nie zrobiłam tego, bo powstrzymał mnie ojciec.

Czy ty to widzisz? Czy ty w końcu to zrozumiałaś? Ja nigdy nie robiłam nic bez przyczyny. Zawsze wiedziałam, jakie będą konsekwencje. Zawsze je znałam, ojciec.

Ciało znowu zaczyna drżeć i powoli upada, wtedy też zaczyna wrzeszczeć cała ta maszyna, która oplata Michasia.

Dokonało się.

To przeze mnie nie ma cię tutaj, ojczy. Nie ma dnia, abym za tobą nie tęskniła, abym nie rozpaczała, abym nie żałowała, że tak to się musiało skończyć. Zabrakło ciebie, jedynej osoby, która mnie rozumiała i kochała taką, jaka jestem.

Nie miałam wyjścia. Nie dałeś mi wyjścia w momencie, w którym zacząłeś upadać.

Siedziałam w progu pokoju, gdy matka wypadła za tobą z sypialni i zaczęła cię szarpać u szczytu schodów. Widziałam niejednokrotnie, jak to robiła, ale ty zazwyczaj byłeś opanowany, chwytałeś ją i czekałeś, aż się uspokoi. Jednak nie tamtej nocy.

Często zastanawiałam się, jak wygląda moja twarz, gdy wykrzywiam usta i jaki jest wyraz moich oczu, gdy ogarnia mnie to wewnętrzne wrzenie i chęć uderzania, aż nic nie zostanie. W tamtym momencie już wiedziałam, bo zobaczyłam to u ciebie.

Odwróciłeś się do matki i popchnąłeś ją na ścianę tak mocno, że uderzyła o nią głową, a na jasnej tapecie pojawiła się smuga krwi. Na chwilę ją to oszołomiło, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo z impetem złapałeś ją za szyję i zacząłeś dusić.

Ojczy, wiem, że miałeś jej dosyć. Wiem, że zacząłeś jej nienawidzić i Bóg mi świadkiem, ja też jej nienawidziłam. Zrobiła mi w życiu tyle złego, zafundowała tyle upokorzeń. Ale matka nie powinna umierać. Ona nie zasługiwała na śmierć.

Pamiętam, jak podniosłeś na mnie wzrok i przyglądaliśmy się sobie przez chwilę. Uśmiechnąłeś się. Szarpnąłeś matką i popchnąłeś ją na poręcz, nie zwalniając uścisku.

W sekundę byłam przy tobie, ale nie po to, aby ci pomóc, tylko żeby was rozdzielić. Chyba cię zawiodłam. Gdy zorientowałeś się, co robię, warknąłeś na mnie:

– Wynoś się stąd!

Uczepiłam się ciebie, zawiesiłam się całym ciężarem, aż ją puściłeś i spojrzałam ci w oczy, doskonale pojmując to, co w nich zobaczyłam. Że jeszcze nie skończyłeś. I wtedy cię popchnęłam.

Matka nigdy nie wybaczyła mi, że odebrałam jej ciebie.

Ja sama sobie nigdy nie wybaczyłam, mimo że wiedziałam, że to było konieczne.

Mam dar. Dar, który pozwolił mi uporządkować, opanować i zrozumieć mój ojciec. Dar zrodzony kiedyś, dawno temu, wyłuskany z chęci zadawania ciosów i miłości do zapachu krwi.

Wiem, kiedy żywe istoty powinny odchodzić.

I wiem, kiedy powinnam je powstrzymać, aby nie wyrządziły więcej złego.

Aby nie umierały w męczarniach.

Od kilkadziesiątu minut ukrywam się w gęstych krzakach, przyglądając się Dorianowi, siedzącemu na tarasowym krześle, intensywnie stukającemu w klawisze laptopa. Czekam, aż się ściemni i mój szósty zmysł wyczuje odpowiedni moment.

Jestem cierpliwa.

Jestem cicha.

Jestem skuteczna.

Jestem na polowaniu.

Zamykam oczy i znowu leżę w puszystym śniegu nieopodal zamarznętego jeziora, którego powierzchnia za chwilę zabarwi się świeżą krwią.

I znów mnie wypełnia znajome, tak bardzo satysfakcjonujące uczucie gorąca, a krew zaczyna wrzeć, przyjemnie drażniąc każdą komórkę mojego ciała, zapowiadając spełnienie i dając mi zrozumienie.

Matka ze zranionym policzkiem, ze spuszczoną głową, oddalająca się w kierunku domu, zostawiając za sobą marzenia o byciu kochaną.

Michał z szeroko otwartymi oczami wpatrujący się w zaciśnięty w mojej dłoni kamień. Przestający oddychać pod ciężarem poduszki z dziecięcego pokoju.

Braciszek z powiększającą się aureolą z krwi na bielutkim śniegu.

Ojciec zatrzymujący się na zawsze na marmurowej posadzce u podnóży schodów.

Ja, ślizgająca się we własnej krwi, z nożem w boku, niemająca siły się podnieść.

Wszyscy upadamy w ciszy.

Zaciskam dłoń na rękojeści noża, bo podjęłam decyzję.

Wiem, że gdybyś tu był, ojcze, przyznałbyś mi rację.

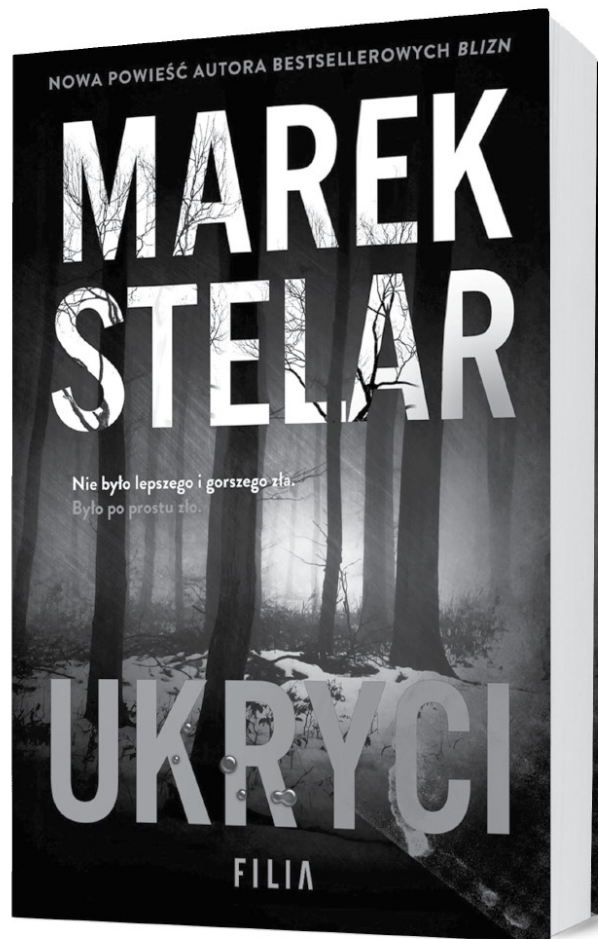
I nagle słyszę znajomy, ciepły głos i wiem, że nadszedł czas:

– Spójrz, Laura. Popatrz.

W sobie samym, w wymiarze moralnym siebie samego, nauczyłem się rozpoznawać niezaprzeczalną i poniekąd naturalną dwoistość ludzkiej istoty. Zauważyłem, że jeśli mogę utożsamić się z którąś z dwu natur, co w mej świadomości walczą ze sobą zajadle, to może tak stać się dlatego jedynie, iż jestem i jedną, i drugą.

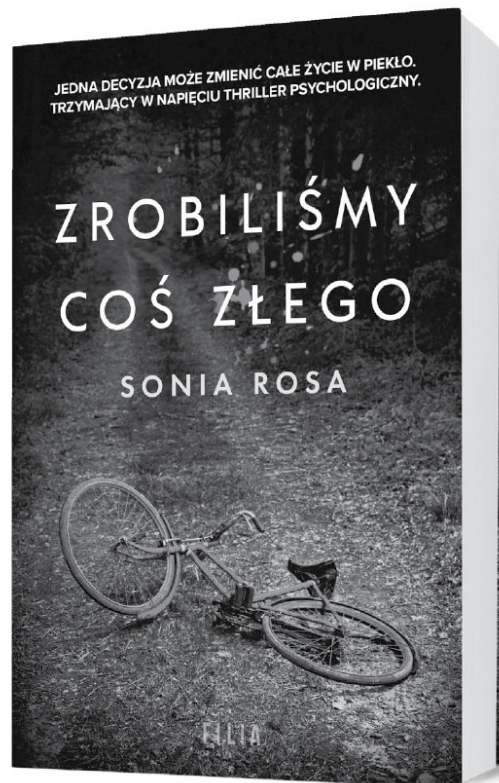
Robert Louis Stevenson, *Doktor Jekyll i pan Hyde*

Nie było lepszego i gorszego zła.
Było po prostu zło.



FILIA

JEDNA DECYZJA MOŻE ZMIENIĆ CAŁE ŻYCIE W PIEKŁO.
TRZYMAJĄCY W NAPIĘCIU THRILLER PSYCHOLOGICZNY.



Zrobiliśmy coś złego to opowieść o tym, jak jedna zła decyzja może zniszczyć całe życie. To opowieść o obsesyjnej miłości i zemście. O przeszłości, która nie pozwala o sobie zapomnieć.

FILIA

Spis treści

Karta tytułowa

Cytat 1

Cytat 2

Prolog

Cytaty

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

[Rozdział XVII](#)
[Rozdział XVIII](#)
[Rozdział XIX](#)
[Rozdział XX](#)
[Rozdział XXI](#)
[Rozdział XXII](#)
[Rozdział XXIII](#)
[Rozdział XXIV](#)
[Rozdział XXV](#)
[Rozdział XXVI](#)
[Rozdział XXVII](#)
[Rozdział XXVIII](#)
[Rozdział XXIX](#)
[Rozdział XXX](#)
[Rozdział XXXI](#)
[Rozdział XXXII](#)
[Rozdział XXXIII](#)
[Rozdział XXXIV](#)
[Rozdział XXXV](#)
[Rozdział XXXVI](#)
[Rozdział XXXVII](#)
[Rozdział XXXVIII](#)
[Rozdział XXXIX](#)
[Rozdział XL](#)
[Rozdział XLI](#)
[Rozdział XLII](#)
[Rozdział XLIII](#)

[Rozdział XLIV](#)

[Rozdział XLV](#)

[Rozdział XLVI](#)

[Rozdział XLVII](#)

[Rozdział XLVIII](#)

[Rozdział XLIX](#)

[Rozdział L](#)

[Rozdział LI](#)

[Rozdział LII](#)

[Rozdział LIII](#)

[Rozdział LIV](#)

[Rozdział LV](#)

[Rozdział LVI](#)

[Rozdział LVII](#)

[Rozdział LVIII](#)

[Rozdział LIX](#)

[Rozdział LX](#)

[Rozdział LXI](#)

[Epilog](#)

[Cytat](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Olga Kruk, 2022
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Andy Feliciotti/Unsplash

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-217-7

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

